

WIĘCEJ INTEGRACJI I MIGRACJI, ALE...

prof. Paul Krugman w Szkole Głównej Mikołaja Kopernika

POLSKI SEKTOR BANKOWY JEST BEZPIECZNY

prof. Małgorzata Iwanicz-Drozdowska, prezes Krajowego Związku Banków Spółdzielczych

GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

WRZESIEŃ 2024 // NR 9/1281 // CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

STARY KONTYNENT

Czy Europa odnajdzie się wreszcie w globalnej rywalizacji?



MIESZKO PAWLAK

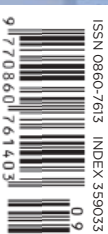
podsekretarz stanu, szef Biura Polityki Międzynarodowej w KPRP:

„Brutalne realia polityki, jaką znamy od wieków, wracają do nas z całą mocą. Najwyższy czas wyżyć się złudzeń, że skończyła się historia. Proces zmian w porządku światowym trwa nieustannie. Można wręcz postawić tezę, że jesteśmy u progu istotnego przesilenia.

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI

przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu:

„Jesteśmy uczestnikami procesu, który zmienia europejską politykę i europejską gospodarkę. Zmienia też myślenie o tym, jak rozwiązywać najtrudniejsze sprawy. I to jest właśnie ten czas nowych liderów. To jest czas, kiedy pojawiają się ludzie, którzy mówią: „My chcemy to rozwiązać inaczej!”.



ISSN 0860-7613 INDEX 359033

9 770860 761403

Numer w sprzedaży do 26 IX 2024 r.

GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

ZAMÓW PRENUMERATĘ I OSZCZĘDZAJ!



TYLKO dla stałych czytelników
ceny niższe niż **20%**
w kiosku nawet do

ZAPŁAĆ MNIEJ ZA ROCZNĄ PRENUMERATĘ!

WIĘCEJ INFORMACJI

www.gb.pl/prenumerata

ZAMÓWIENIA PRENUMERATY MOŻNA SKŁADAĆ:

► przez internet: gb.pl/prenumerata ► telefonicznie: **22 616 36 00** ► e-mailem: prenumerata@fratria.pl

Zawsze w trendzie wzrostowym

Najstarszy **magazyn**
ekonomiczny w Polsce



Portal pełen informacji
i opinii **o gospodarce**

Pobierz aplikację na:



PROF. GRZEGORZ SZULCZEWSKI

profesor SGH w Warszawie,
członek Zespołu Etyki Biznesu przy
Towarzystwie Naukowym Prakseologii



Znaj właściwy czas...

Wrzesień. Warto zadać pytanie: do czego wracamy po wakacjach? Można powiedzieć, że przysłowio-wo wszystko wisi na włosku. Zbliżające się wybory w USA, Chiny spoglądają na Tajwan, a Izrael walczy na kilku frontach. Reszta,

w tym duża liczba zantagonizowanych państw, dalej czeka na możliwość załamania globalnego układu sił.

W Europie nie jest lepiej: wzbierająca ukryta i jawna agresja wewnątrz społeczeństw Wielkiej Brytanii i Francji czy też największy od wyborów kryzys zaufania rządu w Niemczech. Nie mówiąc już o Ukrainie, z którą Rosja prowadzi zaplanowaną na lata wojnę na wyniszczenie.

W gospodarce też nie jest dobrze. Koledzy z mojej uczelni pesymistycznie widzą przyszłość naszej sfery finansów, przynajmniej można tak wywnioskować na podstawie ich badań. Jak stwierdzają: „Prognostyczna wartość wskaźnika (irgfin) na III kwartał 2024 r. wyniosła -2,7 pkt, co, mimo spodziewanej poprawy nastrojów, wskazuje na utrzymujący się pesymizm. Największy wpływ na wartość bieżącego wskaźnika koniunktury finansowej miała pogarszająca się ocena wyników z działalności. Znacząco pogorszyły się także warunki prowadzenia działalności i ocena ryzyka przez sektor finansowy oraz – choć w mniejszym stopniu – wielkość wypracowanego zysku. Wartości odpowiednich sald wyniosły: -25 pkt (spadek o 67,9 pkt w stosunku do poprzedniego kwartału), -22,2 pkt (spadek o 36,5 pkt), -42,9 pkt (spadek o 26,2 pkt) oraz 0,0 pkt (spadek o 14,3 pkt)”.

Wrzesień pokaże również, czy gwałtowne spadki kursów giełdowych były chwilowe czy ustalił się niebezpieczny trend.

Co możemy zrobić w tej sytuacji? Z jakimi myślami kierujemy się ku tej możliwej, nieciekawie zapowiadającej się przyszłości?

Dla mnie kluczowe jest to, czy etyka może nam pomóc odpowiedzieć na te pytania. W naszej tradycji kulturowo-cywilizacyjnej – w co trudno uwierzyć – od prawie trzech tysięcy podejmowane są próby udzielenia wskazówek, jak żyć dobrze, i to w sensie moralnym, nawet w najgorszych okolicznościach. Przykładem jest zachowanie Sokratesa, Seneki i Boecjusza w obliczu wyroku śmierci czy też mężna

postawa Marka Aureliusza, który przed wielką bitwą, objeżdżając w nocy obóz legionistów, prowadzi swe filozoficzno-moralne rozmyślenia.

Sięgnijmy dalej, do początków myśli moralnej. Jedną ze wskazówek – Znaj właściwy czas – przykuwa szczególną uwagę. Archaiczni Grecy przeżywali czas w dwojaki sposób. Jako zwykły czas nieustannych, nie zawsze przyjaznych przemian i jako czas szczególny, symbolizowany przez błyskawice. To dosłownie moment, w którym można dokonać czegoś wartościowego. Trzeba tylko widzieć trochę więcej niż czubek własnego nosa.

W bankowości zawsze jest właściwy czas, by być dobrym, i to nie tylko w swojej profesji, lecz i w sensie moralnym. Znowu będzie głośno o Muhamma-dzie Yunusie, etycznym założycielu Grameen Bank, gdyż jego twórca staje na czele rządu Bangladeszu.

Można też ze względów moralnych nie podejmować się pewnych działań na rynku finansowym lub nawet ich zaprzestać. Przykładem niech będzie działalność byłego tradera w Citibanku, Gary’ego Stevenso-na, który perfekcyjnie spełniał swoją funkcję. Jak mówi: „Robiłem (trafne) zakłady, że stopy procentowe nie wzrosną, a nierówności się pogłębią”. Nic więc dziwnego, że sowicie nagradzany i zdolny do właściwego inwestowania w wieku 26 lat był już milionerem. Zajął mu to tylko dwa lata. Potem jego majątek rósł jeszcze szybciej. Jak przyznaje: „Zarabiałem więcej pieniędzy, niż mogłem sobie wyobrazić”. Dodaje jednak: „Ale to nie było w porządku, gdyż doszedłem do wniosku, że praca jako bankier inwestycyjny przyczynia się do powiększania nierówności i sprawia, że najbiedniejsi w społeczeństwie staną się jeszcze biedniejsi”.

Rzucił więc dobrze płatną posadę w banku, bo stwierdził, że rodzaj jego inwestowania, który przynosił krociowe zyski, jest nie tylko niemoralny, lecz również zniszczy naszą gospodarkę. Założył prywatną organizację, która ma uświadamiać społeczeństwo, jak fałszywe modele inwestowania mają doprowadzić, według niego, do załamania gospodarki światowej. Stał się więc aktywistą, przygotowując front do walki z nierównościami.

Takiej postawie możemy poświęcić chwilę refleksji i zadać sobie pytanie: czyż to właśnie nie on jest tą osobą, która potrafi odpowiedzieć na antyczną rekomendację: Znaj właściwy czas? ●

dzarnie; bardziej oblegane i mniej. Wystarczy popytać okolicznych mieszkańców, a wskażą tę najlepszą.

Na taką wskazaną wędzarnię trafiłam U Mieci w Łebie. Działająca od niemal 15 lat wędzarnia Mieczysławy Wróblewskiej ma bogaty wybór ryb, które są wędzone drzewem olchowym. Mały to biznes, w którym czas się zatrzymał, ale ryby – znakomite. Spróbowałam wędzonego węgorza, pstrąga, makrele. I czegoś się nauczyłam – wędzonych ryb nie przetrzymuje się w plastikowych, próżniowych opakowaniach. W wędzarni ryb U Mieci pakują je w ekologiczne pudełka kartonowe. Ma to i wygląd, i smak, tak jak dobre wino przyniesione w drewnianym opakowaniu.

Mały chłopiec z Międzyzdrojów

Historia tej smażalni-wędzarni sięga co najmniej dwóch pokoleń – na stronie internetowej Smażalnia wędzarnia ryb KLIF w Międzyzdrojach została umieszczona czarno-biała fotografia. Możemy się domyślić, że widnieją na niej ojciec i syn. Ale kim są ci panowie? Mnie nie udało się tego ustalić. Nawet Chat GPT-4o nie dał odpowiedzi. Podczas poszukiwań nazwiska tych panów przekonałam się, że mocną stroną AI 4o jest fantazja. Jeżeli nie zna odpowiedzi, to wymyśla fakty, nazwiska... Zmienia daty itd. Ze strony www firmy wiemy, że „już jako mały chłopiec właściciel aktywnie pomagał w rybołówstwie swojemu ojcu, który w latach 80. wypływał w morze swoją łodzią rybacką, widniejącą po dziś dzień na plaży przy bazie. To też on zaszczepił w synu pasję. Całą wiedzę, którą obecnie posiada właściciel, pozyskał od ojca rybaka. Zaczynając od oprawiania ryb, po wyjątkowe przyprawianie, przyrządzanie solanek, aż do perfekcyjnego wędzenia. Nauczył go dobierania odpowiedniego drewna oraz całej sztuki wędzenia metodą tradycyjną”.

W Smażalni-wędzarni KLIF można zjeść polskie ryby, a także doświadczyć autentycznego klimatu rybackiej bazy. To nie tylko gastronomiczna podróż, lecz również podróż do czasów, gdy rybołówstwo było sercem tego regionu.

Czy lubimy ryby

Według danych statystycznych z 2021 r. produkcja ryb wędzonych w Polsce wzrosła o 15 proc. r/r i były to najwyższe wzrosty wśród wszystkich produktów spożywczych pochodzenia zwierzęcego. Według Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej w tym samym roku spożycie ryb wyniosło 14 kg na mieszkańca. Najchętniej Polacy jedzą: śledzie, mintaje i makrele. Polska znacząco odbiega od liderów takich jak Portugalia, w której statystyczny obywatel zjada 57 kg ryb rocznie, czy Hiszpania ze spożyciem 39 kg na osobę. „W Polsce popularnością cieszą się ryby przetworzone – w puszkach lub wędzone. W tej postaci naj-

Jak większość odkryć

Marian Zubowicz eksperymentował z rybami, także z łososiem, którego przyprawiał na różne sposoby. Wyfiletowany płat posypał mieszkanką polskich ziół oraz dużą ilością czosnku. Szczelnie go zamknął i schował do chłodzi, zapominając o tym. Ryba leżała ponad miesiąc. Po tym czasie znalazł zamkniętego przez siebie łososa, spróbował go i oniemiał. Smak ryby okazał się wyśmienity. Dał spróbować rodzinie i znajomym. Wszyscy byli zachwyceni. Tak przez przypadek powstał specjal firmy Zubowiczów – łosoś kiszony. Po śmierci Mariana Zubowicza receptura łososa kiszzonego została opatentowana przez jego najstarszą córkę Natalię. Łosoś stał się specjałem z Kamienia Pomorskiego i regionalną atrakcją kulinarną.



fol. Mat. prasowe

częściej kupujemy makrele. „Makrele jest jedną z najczęściej spożywanych ryb w Polsce, ale głównie znana jest pod postacią wędzoną. Ta ryba ma wiele zalet i jako kucharz doceniam jej walory smakowe, jej uniwersalność i cenę. Tak jak makrele wędzona podbiła nasze serca, tak również świeża może zawojować talerze Polaków” – wyjaśnia Jakub Kuroń, syn znanego Macieja Kuronia, znakomitego kucharza. ●

Źródła: m.in. www.gdanskiewedzonki.pl; PAP; <https://www.gdanskstrefa.com>; www.wedzarnia-marozek.pl; <https://carplive.pl/ryby/wedzenie-ryb>; www.wiadomoscispozywcze.pl; www.rybyzubowicz.pl; Chat GPT-4o

oraz Natalia Grabowska. I nadal bogactwo gatunków ryb – także wędzonych – jest tu niemal królewskie.

Wędzarnia Laguna

Wyroby firmy Laguna Spółka jawna z Łebcza – ktoś nie zna ryb sygnowanych przez to przedsiębiorstwo... Pierwsze kroki działalności wędzarni to początek lat 90. XX w. Pomysłodawcy-rybacy zaczęli od pracy na kutrze. Zajmowali się połowem ryb, handlem świeżymi rybami oraz wędzonymi w tradycyjnej przydomowej wędzarni. Zdobyte w tym okresie doświadczenie pozwoliło im na podjęcie decyzji o rozwinięciu działalności. Okazja nadarzyła się w 1999 r. – kupiono mały zakład do przetwórstwa i wędzenia ryb w Łebczu. Wędzarnia była sukcesywnie rozbudowywana i modernizowana. Obecnie to nowoczesny zakład produkcyjny, spełniający najwyższe standardy jakości. Właścicielami Laguny są Tadeusz Ustarbowski i Sylwester Rekowski (wpis do KRS). Ich przedsiębiorstwo ma w ofercie ponad 250 produktów dostępnych w całej Polsce. W portfolio są: ryby świeże, wędzone, solone, marynowane, wyroby garmazeryjne.

Produkty tej firmy są wytwarzane za pomocą oryginalnych receptur, z wykorzystaniem Systemu HACCP wg Kodeksu Żywnościowego (Codex Alimentarius) z dbałością o zachowanie najwyższych standardów jakości. W przypadku ryb wędzonych firma z Łebcza oferuje ponad 50 wyrobów, m.in. makrelę, dorsza, śledzia atlantyckiego, łososia, pstrąga.

Laguna Spółka jawna to dzisiaj firma nowoczesna, proekologiczna, niemal bio, rozwijająca się także dzięki Funduszom Europejskim jako projekt współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Morskiego i Rybackiego Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego „Rybacktwo i Morze”.

Wędzarnia z Kamienia Pomorskiego

Na początku lat 80. XX w. w Kamieniu Pomorskim Marian Zubowicz założył małą wędzarnię. Na początku nazywała się Kam 13, obecnie nosi nazwę Ryby Zubowicz. To także nazwa restauracji, którą prowadzi

”

Wędzenie na ciepło nadaje rybom intensywny smak, a mięso staje się delikatne i soczyste. Wadą tej metody jest krótszy czas przechowywania ryb w porównaniu z wędzeniem na zimno



fol. Mat. prasowe Wędzarnia Laguna

rodzina Zubowiczów. Restauracja oraz wędzarnia zlokalizowane są na terenie bazy rybackiej. Prosto z kutra ryby trafiają do obróbki według tradycyjnej, rodzinnej receptury. Każda wędzarnia, za którą stoi doświadczony rybak, ma swoje know-how dotyczące wędzenia. Ryby są wędzone drewnem olchowym w piecach wykonanych z szamotu. W ofercie firmy znajdują się ryby słodkowodne i morskie, m.in. węgorz, troć, sieje, karmazyn, łosoś, pstrąg, halibut, trewala, antara, tuńczyk, łosoś i oczywiście śledź. Novum jest kiszony łosoś, którego receptura została zastrzeżona.

Rodzina Zakrzewskich jako jedyna w Europie ma patent na kiszony łososia. Firma należy do Europejskiej Sieci Dziedzictwa Kulinarного. Pracownicy przedstawiają się jako zgrana załoga Kam-13. Zespół składa się z rybaków, którzy wstają o świcie i wypływają na połowy; kucharzy, którzy przygotowują dania i przetwory; wędzarzy, którzy znają się na sztuce wędzenia; oraz obsługi: kelnerów, kelnerek, sprzedawców, którzy doradzają, proponują i serwują dania.

Wędzarnia Marózek

Wędzarnia Marózek ma dłuższą historię. Prowadzi ją trzecie pokolenie rodziny Zakrzewskich. W latach 60. XX w. założył tę wędzarnię Kazimierz Zakrzewski, rybak, wraz z żoną Ireną. Kazimierz – mistrz rybacki – łapał i wędził ryby starą, tradycyjną metodą, którą wędzą obecnie także jego wnukowie. Wędzarnia Marózek Sp. z o.o. mieści się w Marózkach, nad jeziorem Maróz (woj. warmińsko-mazurskie). Następcą Kazimierza był jego syn Krzysztof (lata 80. minionego wieku). Obecnie firmę reprezentują trzej panowie: Piotr, Wojciech, Paweł Zakrzewscy, wnukowie założyciela firmy (wpis do KRS z 2022 r.). Pracują w niej również rodzice i siostra. Nadal przygotowują ryby według receptury dziadka, poddając obróbce wędzenia ryby morskie i słodkowodne – ich wyroby mają niepowtarzalny smak i aromat (to tajemnica rodu Zakrzewskich).

Można się rozpisywać o innych mniejszych i większych wędzarniach. I tak jak w każdym biznesie także w przetwórstwie rybnym są lepsze i mniej lepsze węd-

”

Wędzenie ryb było powszechne we wczesnym średniowieczu, a jednym z najbardziej znanych miejsc, gdzie stosowano tę technikę, były wędzarnie w Gdańsku

Wędzenie ryb było powszechne we wczesnym średniowieczu, a jednym z najbardziej znanych miejsc, gdzie stosowano tę technikę, były wędzarnie w Gdańsku. Kroniki z czasów średniowiecza opisują, że wędzarnie budowano z drewna i kamienia, a ich wnętrza wyposażano w palenisko oraz specjalne ruszty do zawieszania ryb. Wydzielany przez palenisko dym przenikał do wnętrza wędzarni, a jego temperaturę i wilgotność kontrolowano przez otwory wentylacyjne. Z upływem czasu ludzie zaczęli eksperymentować z innymi produktami, odkrywając, że wędzenie może poprawić smak i trwałość różnych produktów, np. serów.

Współcześnie wykorzystuje się różne techniki obróbki ryb, np. wędzenie na zimno, na gorąco czy wędzenie ciekłym dymem. W zależności od efektu końcowego, jaki chcemy uzyskać, stosuje się różne rodzaje drewna liściastego.

Na ciepło czy zimno?

Wędzenie na ciepło, nazywane również gorącym, polega na poddawaniu ryb działaniu dymu w temperaturze od 70 do 90 st. C. Proces ten trwa zwykle od godziny do czterech w zależności od wielkości ryb i preferencji smakowych, jakie wędzarcz chce osiągnąć. Wędzenie na ciepło nadaje rybom intensywny smak, a mięso staje się delikatne i soczyste. Wadą tej metody jest krótszy czas przechowywania ryb w porównaniu z wędzeniem na zimno, które odbywa się w temperaturze poniżej 30 st. C i trwa do kilku dni. Dietetycy uważają, że zdrowe wędzenie polega na stosowaniu niskich temperatur, które nie wpływają negatywnie na jakość ryb. Uwędzone ryby zachowują wartości odżywcze: białko, witaminy, minerały oraz kwasy tłuszczowe omega-3.

Współczesne wędzarnie ryb różnią się wielkością, materiałem, z jakiego zostały zrobione, oraz rodzajem zastosowanego ogrzewania (np. elektryczne, gazowe, drewniane). Umyte, osuszone, przyprawione ryby umieszcza się w wędzarni na hakach lub rusztach, a następnie trzyma się je odpowiedni czas we właściwej temperaturze. Ważne, aby wędzarcz kontrolował temperaturę oraz czas wędzenia, uzyskując dzięki tym para-

metrom oczekiwane walory wędzonych ryb. To sztuka, rzemiosło, którego należy się nauczyć.

Nabywcy ryb, smakosze doskonale wiedzą, które wędzarnie mają smaczniejsze wędzone ryby. I przed takimi punktami ustawiają się kolejki.

Stara wędzarnia

A wędzarni na polskim Wybrzeżu, Pojezierzu, nad jeziorami jest mnóstwo. Są tam także bardzo stare obiekty, rodzinne biznesy... Jednym z nich jest wędzarnia, która powstała na początku XX w. na Wyspie Sobieszewskiej (historyczna nazwa: Bohnsack), będącej częścią Wolnego Miasta Gdańska. Tutaj pracowało wielu rybaków i dzięki obfitości ryb powstało kilkanaście małych i większych wędzarni. Do jednego ze znanych punktów odwiedzanych nie tylko przez turystów należy obecna Stara wędzarnia z Gdańska. Ten obiekt został zbudowany w latach 20. i 30. XX w. przez specjalistyczną firmę z Hamburga. Kominy, o niespotykanej nigdzie w Polsce architekturze, przypominają kominy licznych wędzarni na Bornholmie. Pierwszym właścicielem wędzarni był Niemiec – Otto Bartsch (pisownia nazwiska ustalona na podstawie przekazu ustnego). Jego wędzarnia była jedną z kilku wędzarni funkcjonujących w Górkach Wschodnich (hist. Ostliche Neufahr, obecnie wyspa Sobieszewska) i była największą z nich. Po zakończeniu II wojny światowej, po wywłaszczeniu dokonanym na mocy zarządzenia Przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji do spraw Upaństwowienia z grudnia 1946 r., państwo Bartsch wyjechałi przez Republikę Federalną Niemiec do Stanów Zjednoczonych. Od tego czasu wędzarnia przechodziła różne koleje losu.

Po reformie gospodarczej z 1989 r. jej właścicielami zostali Teresa i Zbigniew Kryńscy. Prowadzili oni wędzarnię przez wiele lat, rozwijając ją jako rodzinną firmę. Po latach remontów, na terenie i budynkach Starej wędzarni oraz kilku rozbudowach i przebudowach, powstał dzisiejszy kurort Stara Wędzarnia. Nieznane są powody sprzedaży intratnego biznesu przez rodzinę Kryńskich. W spisie firm od 2023 r. właścicielami i członkami zarządu Stara Wędzarnia Sp. z o.o. są Bartosz Rafał Grabowski (ur. w 2000 r.), polski kajakarz,

Rodzaje drewna do wędzenia

- **Dąb** – daje intensywny, dymny smak, idealny dla większości ryb.
- **Buk** – zapewnia delikatniejszy smak, dobrze komponujący się z delikatnymi rybami, takimi jak pstrąg czy sandacz.
- **Jabłoni** – nadaje rybom słodkawy, owocowy aromat, szczególnie polecany do łososia.
- **Wiśnia** – podobnie jak jabłoni daje owocowy smak, ale nieco bardziej wyrazisty.

MAŁGORZATA DYGAS



Sztuka wędzenia z tradycjami

Śledzie, dorsze, makrele niemal codziennie gościły w polskich domach w latach 50. ubiegłego wieku. W stanie wojennym stało się godzinami pod sklepem rybnym po te frykasy. Obecnie Polacy ponownie przeżywają fascynację rybami, mając tym razem świadomość, że są one... superfood

W zamierzchłej przeszłości wędkowanie należało do rozrywki najbogatszych warstw społeczeństwa. Publius Ovidius Naso, rzymski poeta (ur. 43 p.n.e., zm. 17 lub 18 n.e.), w poemacie „Halieutica” („Sztuka rybołówstwa”) opisał wędkarskie sposoby łowienia ryb różnych gatunków. W I w. n.e. o wędkowaniu wspomina w swoim epigramie Marcus Valerius Martialis, a Claudius Aelianus w dziele „De Animalium Natura” zawarł obszernie opisy metod wędkowania. W średniowieczu uroki wędkowania naj-

pełniej przedstawiła zakonnica Lady Juliana Berners (Barnes) w dziele „Księgi św. Albana”, którego jeden rozdział – „Traktat o łowieniu ryb na wędkę” – poświęcony jest ówczesnym metodom i technikom łowienia.

Konserwowanie przez wędzenie

Poza soleniem i suszeniem wędzenie jest uznawane za jedną z najstarszych metod utrwalania żywności, co nadaje jej niepowtarzalny smak. Nasi przodkowie wiedzieli, że dym ma zdolność do konserwowania i mięsa, i ryb. Na terenach zamieszkałych przez naszych ro-

KRZYSZTOF KOTOWSKI

redaktor prowadzący
portalu wGospodarce.pl

Koniec drogi

Przez długie miesiące po przejęciu władzy przez koalicję anty-PiS uznawałem, że jakimś cudem uchował się obszar w życiu gospodarczym, który jest obiektem niepisanej umowy o nieagresji, który omijają konwulsje rewanżyzmu nowej władzy – chodzi o budowę infrastruktury drogowej.

To była z pewnością projekcja, która wynikała z doświadczeń ostatnich dwóch dekad, że udawało się lepiej lub gorzej zachować ciągłość inwestycji w drogi szybkiego ruchu i autostrady, których powstała sensowna i wysoka jakościowo sieć (ponury eksces, jakim była za rządów „pierwszego” Tuska fala bankructw krajowych firm przy budowie autostrady A2, by ukończyć ją przed Euro 2012, nie unieważniał moim zdaniem takiej tezy). Dałem się ponieść złudzeniu, tym bardziej że nie słysząc było dotąd – odpukać! – żadnych pohukiwań o zemście ani ściganiu byłego ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka z PiS i jego ekipy, przynajmniej tak głośnych jak w przypadku innych resortów gospodarczych. Powyborczy atak na program budowy 100 obwodnic też dawało się traktować jako nienaruszający ogólnej reguły, bo można go wpisać w logikę deprecjonowania – słusznie lub nie – projektów uwikłanych w logikę budowania przewagi w kampanii przed wyborami parlamentarnymi.

Przyznam się do jeszcze większego grzechu naiwności i idealizmu. Otóż traktowałem ten domniemany cichy pakt o zachowaniu ciągłości budowy dróg jako wartość wyższego rzędu, taki nienachalny hołd składany przez świat polityki wartości dobra wspólnego. Bo możliwość szybkiego, bezpiecznego i taniego poruszania się po kraju to bez wątpienia jeden z fundamentów zarówno życia społecznego, jak i ekonomicznego. Sieć publicznych dróg, które łączą całość obszaru kraju, zrównując szanse awansu społecznego, biznesowego i kulturowego, jest dobrem, które powinno być oczkiem w głowie każdej władzy, niezależnie od ideowej proveniencji. Dla każdego polityka jest tu coś miłego: dla lewicy walor równości szans społecznych, dla republikańskiej prawicy – element budowania spójności terytorialnej i siły państwa, dla liberałów

– ideał wolnościowy i inwestycja w swobodę działalności ekonomicznej. W Polsce, gdzie drobny biznes jest ogromnym i dynamicznym segmentem gospodarki, mobilność to nieoceniona wartość. Dla każdej władzy w rachunku całościowym tanie (najlepiej bezpłatne) i nowoczesne drogi to inwestycja w przyszłość nie tylko kraju, lecz również w szansę wyborcze własnej formacji politycznej i warto są, by powściągnąć w tym obszarze fiskalne apetyty. Zwłaszcza gdy się ma w portfolio gospodarczym branżę transportową, zbudowaną od podstaw przez prywatny biznes, nowoczesną i konkurencyjną w skali europejskiej, która daje 7 proc. PKB.

Ale się w tym wszystkim pomyliłem.

Najpierw Ministerstwo Infrastruktury pod koniec lipca poinformowało o pracach nad rozporządzeniem, na mocy którego jeszcze w tym roku ma być rozszerzona sieć dróg, za korzystanie z których przewoźnicy będą uiszczać opłatę drogową. Dziś sieć płatnych odcinków liczy 3,6 tys. km, a ma zostać rozszerzona o kolejne 1,6 tys. km; chodzi głównie o drogi zmodernizowane lub wybudowane po 2017 roku, czyli całe wiano, jakie wniosła ekipa ministra Adamczyka. Cóż, na wprowadzenie

opłat żaden moment nie jest dobry, ale ten, gdy akurat polska branża transportowa zderza się z falą dekonstrukcji, to fatalna koincydencja.

Ciężki cios przyszedł w pierwszych dniach sierpnia i dotyczył rządowego dofinansowania inwestycji w drogi lokalne. Były premier Mateusz Morawiecki w mediach społecznościowych alarmował: „Ogłoszono właśnie nabory do dofinansowania z Rządowego Funduszu Rozwoju Dróg na 2025 rok w 15 z 16 województw. Wnioski? Tragiczne, dla wszystkich. Średnio każdy z regionów dostanie aż o połowę środków mniej niż rok temu, za czasów poprzedniej ekipy rządzącej. Łącznie kwoty przeznaczone na rozwój dróg lokalnych zostały pomniejszone o ok. 2 miliardy złotych”. Ironią losu 30 lipca rząd powołał kolejnego wiceministra infrastruktury, powierzając mu funkcję pełnomocnika do spraw... wykluczenia komunikacyjnego. Czy w drastycznym kasowaniu finansowania dla dróg lokalnych chodzi perwersyjnie o to, by dać temu urzędnikowi zajęcie? ●

”

**Możliwość szybkiego,
bezpiecznego
i taniego poruszania
się po kraju to jeden
z fundamentów
życia społecznego
i ekonomicznego**



Były prezes GPW bez absolutorium

Zwyczajne Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy Giełdy Papierów Wartościowych 11 lipca nie udzieliło absolutorium byłemu prezesowi GPW Markowi Dietlowi z wykonania obowiązków członka zarządu w roku obrotowym 2023.

Ponadto niepodjęta została uchwała w sprawie udzielenia absolutorium członkowi zarządu Adamowi Młodkowskiemu. Walne zgromadzenie udzieliło natomiast absolutorium Monice Gorgoń i Izabeli Olszewskiej z zarządu GPW.

Stypułkowski z mBanku do Banku Pekao

Rada nadzorcza Banku Pekao SA powołała Cezarego Stypułkowskiego na prezesa zarządu banku oraz włączyła w skład zarządu – poinformował bank 9 lipca.

Stypułkowski obejmie stanowisko z dniem 5 października br., pod warunkiem uzyskania zgody Komisji Nadzoru Finansowego. Do tego czasu pracami zarządu będzie kierował Robert Sochacki, którego powołano w skład zarządu i na stanowisko wiceprezesa banku. Do zarządu Banku Pekao SA powołano też Dagmarę Wojnar. Cezary Stypułkowski był od 2010 roku prezesem mBanku; 4 lipca zrezygnował ze stanowiska i pełnienia funkcji w zarządzie.

20,01 mld zł

wyniósł w okresie styczeń–czerwiec 2024 r. zysk netto sektora bankowego, co oznacza wzrost o 28 proc. w stosunku do analogicznego okresu rok temu

Źródło: NBP

Piotr Żabski na prezesa Alior Banku

Rada nadzorcza Alior Banku zdecydowała, że od 1 stycznia 2025 r. nowym prezesem banku będzie Piotr Żabski, pod warunkiem że uzyska zgodę Komisji Nadzoru Finansowego – poinformował 1 sierpnia bank.

Piotra Żabskiego, który jest wiceprezesem Santander Consumer Bank, wybrano w ramach otwartego postępowania kwalifikacyjnego. Do zarządu Alior Banku powołano też: Jacka Iljina (od 15 sierpnia 2024 r.), Zdzisława Wojterę (od 1 września br.), Wojciecha Przybyła (od 1 października br.) oraz Marcina Ciszewskiego (od 1 listopada br.) na wiceprezesów zarządu banku.

Do czasu objęcia funkcji przez Piotra Żabskiego pracami zarządu Alior Banku będzie kierował Jacek Iljin.

Restrukturyzacja zakończona. VeloBank ma nowego właściciela

Bankowy Fundusz Gwarancyjny 1 sierpnia podpisał ostateczną umowę sprzedaży 100 proc. akcji VeloBank SA na rzecz Promontoria Holding 418 B.V., który pośrednio należy do funduszy Cerberus Capital Management, L.P., Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz International Finance Corporation (część Grupy Banku Światowego).

Sprzedaż banku oznacza zakończenie trwającego prawie dwa lata procesu przymusowej restrukturyzacji Getin Noble Banku. „Po zamknięciu transakcji VeloBank przestaje być instytucją pomostową i w związku z tym nie podlega już żadnym ograniczeniom działalności nałożonym przez Komisję Europejską, stając się normalnym podmiotem bankowym działającym na naszym rynku” – podał BFG.

Proces przymusowej restrukturyzacji został przeprowadzony we współpracy z Systemem Ochrony Banków Komercyjnych, składającym się z ośmiu największych banków komercyjnych działających w Polsce (Alior Bank, Bank Millennium, Bank Pekao, BNP Paribas Bank Polska, ING Bank Śląski, mBank, PKO Bank Polski, Santander Bank Polska).

Wraz z finalizacją transakcji przejęcia VeloBanku powołano nową radę nadzorczą, której przewodniczącym został Jakub Papierski. Do zarządu VeloBanku dołączył Tomasz Kubiak, który objął funkcję CFO.

Wymieniony zarząd BGK

Premier Donald Tusk odwołał 27 czerwca Radosława Kwietnia i 2 lipca Tomasza Robaczyńskiego z zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego.

Z dniem 28 czerwca powołał Leszka Maurycego Stypułkowskiego na stanowisko członka zarządu banku. Po zmianach zarząd BGK liczy cztery osoby: p.o. prezesem jest Mirosław Czekaj, pierwszym wiceprezesem – Marta Postuła, wiceprezesem – Maciej Kłiś, a członkiem zarządu – Leszek Stypułkowski.

dzo zyskały na wartości: Wojciecha Fangora, Romana Opałki czy Aliny Szapocznikow. – Mocno w górę poszły także ceny prac Henryka Stażewskiego, Jerzego Nowosielskiego, Ryszarda Winiarskiego czy Stanisława Fijałkowskiego, ale też wielu innych artystów – wlicza kolekcjoner.

Płynące okręgi idą za miliony

Ze współczesnych artystów bodaj najbardziej spektakularny wzrost zaliczyły dzieła zmarłego dziewięć lat temu Fangora. Wystarczy policzyć: pierwsza publiczna licytacja jego pracy odbyła się w 1985 r. w Sotheby's w Nowym Jorku. Obraz o tytule „38 M 56” poszedł za 304 dolary. Gdyby jednak wystawić go na sprzedaż dziś, to biorąc pod uwagę ceny młotkowe dzieł tego artysty, zakup przyniósłby właścicielowi niebotyczną stopę zwrotu. Prace Fangora kosztują dziś miliony złotych.

Kiedy przed niemal dwoma laty Grażyna Kulczyk wystawiała na sprzedaż 200 prac ze swojej liczącej wtedy ok. 500 dzieł kolekcji, wzbudziła sensację. Najwyżej wylicytowanym dziełem okazała się być praca „Pewnej nocy weszła do mojego pokoju Infantka Velazqueza” Tadeusza Kantora, za którą nabywca zapłacił ponad 5 mln zł. Drugi wynik osiągnęła praca „SU 2” Wojciecha Fangora – 3 mln zł.

Krytyk sztuki i publicystka Monika Małkowska tłumaczy, że popyt na Fangora jest zawsze. Marszandzi mogą sprzedać dowolną liczbę kompozycji „z kołem” lub „z falą” – to najbardziej rozpoznawalny etap twórczy (lata 60. i 70. XX w.) artysty, kiedy pracował nad rozplywającymi się okręgami, a później formami falującymi. A ponieważ Fangor próbował różnych wariantów kolorystycznych, prac o tytułach brzmiących jak szyfr jest całkiem sporo. I nawet jeśli – zauważa Małkowska – nie każda z nich osiąga cenowy Everest, są to przyzwoite sumy, np. w grudniu 2020 r. kompozycja z 1969 zatytułowana „M22” kosztowała nabywcę 7 mln i 316 tys. zł. W roku 2023 obraz „M39” pobił swój własny rekord: po pięciu latach od sprzedaży za 4,7 mln w 2018 jego wartość wzrosła o niemal 60 proc., osiągając cenę 7,5 mln zł. To wicerekord 2023 r.

Z zestawienia, jakie przygotował portal rynekisztuka.pl, wynika, że najdroższym dziełem sprzedanym na aukcji w Polsce w 2023 r. była grupa rzeźbiarska Magdaleny Abakanowicz (1930–2017), składająca się z 20 figur z brązu i zatytułowana „Caminando”. Nabywca zapłacił za nią 9,6 mln zł. Trzecie miejsce należy do Romana Opałki (1931–2011). Obraz „Opałka 1965/1 – ∞” z cyklu tworzonego przez artystę od 1965 roku sprzedano za kwotę 4,5 mln zł.

Może więc rację mają ci specjaliści, którzy twierdzą, że polska sztuka przez lata była niedoszacowana i dopiero od niedawna zyskuje należne jej miejsce, także pod względem cen. Musiał zwraca uwagę na jeszcze jeden czynnik: – Dawniej ludzi nie było stać, by tyle

”

Krzysztof Musiał: Sztuka to niewątpliwie inwestycja, chociaż mam nadzieję, że dla większości kolekcjonerów wciąż jest to pasja i zamiłowanie, a nie tylko zimna kalkulacja

wydawać. Dziś natomiast coraz więcej osób może sobie pozwolić na to, by kupić obraz Fangora czy Opałki za taką cenę – mówi kolekcjoner. – Z tym że te wzrosty są uzasadnione i były oczekiwane. To nie są nazwiska, które nagle pojawiły się na rynku i od razu kosztują miliony – podkreśla kolekcjoner.

Zamęt na rynku

A są i takie przypadki. Choć Musiał nie wymienia nazwisk, wskazuje na zjawisko, które jego zdaniem wprowadza na polskim rynku sztuki zamęt. Chodzi o młodych twórców, którzy do niedawna byli anonimowi, a ich prace można było dostać za 2 tys. zł. Dziś są wyceniane na 100 tys. czy 200 tys. zł, a czasem jeszcze więcej. – To coś, co mnie osobiście nie bardzo się podoba – wyjaśnia Musiał. – Zresztą mnóstwo osób tego nie rozumie. Skrobia się w głowę i pytają: ale dlaczego?

Dlaczego galerie, które reprezentują młodych artystów, windują ceny ich prac do tak niebotycznego poziomu? I dlaczego znajdują się kolekcjonerzy, którzy takie kwoty płacą? Mechanizm nie jest zapewne zbyt skomplikowany: ktoś dopiero zaczyna przygodę z kolekcjonerstwem, niezbyt pewnie porusza się w tym światku, a jakaś galeria się chwali, że założmy pani Kulczyk kupuje prace tego artysty. No więc jeśli pani Kulczyk kupuje, to musi być tyle warte. Tymczasem: – Może tak..., a może nie... Ja byłbym ostrożny z takimi zakupami – przestrzega Musiał.

Jego zdaniem najlepszym sprawdzianem dla dzieł są aukcje i specjaliści w domach aukcyjnych, którzy siedzą w tym biznesie po uszy i mają dobry ogłód całego rynku, a nie tylko jego fragmentów. On sam kupuje głównie na aukcjach i bezpośrednio od artystów, także w galeriach, choć tu trzeba być ostrożnym. – Każda galeria stara się ukierunkować swoich potencjalnych klientów na artystów, których reprezentuje – wyjaśnia kolekcjoner.

Zbiory ze swojej kolekcji sprzedaje rzadko, a jeśli musi, to wystawia je na aukcji. – Sztuka to niewątpliwie inwestycja, chociaż mam nadzieję, że dla większości kolekcjonerów wciąż jest to pasja i zamiłowanie, a nie tylko zimna kalkulacja – dodaje Krzysztof Musiał. ●

ślał o niej w kategoriach inwestycyjnych. W tamtych czasach nikt nie sądził, że można na tym zarobić. Kupowało się to, co się podobało. Kwestie inwestycyjne zaczęły się liczyć dopiero w ostatniej dekadzie. – Ale to nieunikniony kierunek. Nie da się od tego uciec – uśmiecha się Musiał. – Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś, wydając na obraz powiedzmy 100 tys. zł, nie zastanawiał się, czy jest on tyle wart. Wydajemy duże pieniądze, więc chcemy je wydać dobrze; mieć pewność, że nie wyrzuciliśmy ich w błoto – tłumaczy.

Rzecz jasna, inwestując w dzieła sztuki, trzeba się uzbroić w cierpliwość. Ekspertci twierdzą, że czas oczekiwania na zyski wynosi minimum 4–8 lat. Wiele zależy od tego, czy kupuje się dzieła uznanych artystów, czy tych będących na początku swojej artystycznej kariery. Czy stosunkowo niedrogie prace na papierze – co jest dobrym sposobem, by zacząć budować własną kolekcję – czy od razu chce się mieć najlepsze dzieła najsłynniejszych twórców.

Nobilitacja sztuką

Pozostaje jednak faktem to, że wraz ze wzrostem fortun rosną prywatne kolekcje. Tę prawidłowość możemy zaobserwować także w Polsce. Trudno nie odnieść wręcz wrażenia, że inwestycja w sztukę jest jak przepustka do wyższej ligi. – Tak, można to traktować jako nobilitację, pewien snobizm, ale w pozytywnym słowa znaczeniu – zastrzega Musiał. – Wiele osób nie tylko lokuje pieniądze w dzieła sztuki, lecz także chce się nimi pochwalić, zaimponować...

Swoimi zbiorami chwalą się więc nie tylko Grażyna Kulczyk, były tenisista Wojciech Fibak czy założyciel meblarskiej Grupy VOX Piotr Voelkel senior (część jego zbiorów współtworzy stałą ekspozycję sztuki współczesnej w Muzeum Narodowym w Poznaniu). W ostatnim czasie głośno zrobiło się o Marku Roefflerze, właścicielu firmy deweloperskiej Dantex i prywatnego muzeum Villa La Fleur w Konstancinie. Wystawia w nim swoje zbiory prac artystów kojarzonych z École

”

Inwestując w dzieła sztuki, trzeba się uzbroić w cierpliwość. Ekspertci twierdzą, że czas oczekiwania na zyski wynosi minimum 4–8 lat. Wiele zależy od tego, czy kupuje się dzieła uznanych artystów, czy tych będących na początku swojej artystycznej kariery



fol. Andrzej Wiktor

de Paris (szkołą paryską). W 2022 r. odniósł największy bodaj sukces w swojej wystawienniczej karierze: Villa La Fleur razem z Muzeum Narodowym w Lublinie zorganizowała pierwszą w Polsce monograficzną wystawę prac Tamary Łempickiej. To było wielkie wydarzenie frekwencyjne i medialne. Roeffler nie jest jednak nowicjuszem. Villa La Fleur działa od 2010 r.

Tymczasem stosunkowo świeżym przedsięwzięciem jest Krupa Art Foundation, „nowe, niezależne miejsce na kulturalnej mapie Wrocławia i Polski” – jak ekscytowały się przed rokiem branżowe media. Sylwia i Piotr Krupowie (on jest prezesem firmy windykacyjnej Kruk) w prestiżowym miejscu, na wrocławskiej starówce, wystawiają obrazy ze swojej kolekcji (ok. 400 dzieł). A takich przykładów, na mniejszą i większą skalę, znalazłoby się więcej.

Sześć razy więcej za Wyspiańskiego

A skoro coraz więcej ludzi zbiera dzieła sztuki, to licytacje na polskich aukcjach muszą być coraz bardziej ekscytujące, ceny szybować, a inwestycje zwracać się w dwójnasób. Dom aukcyjny Desa Unicum, który ma największe udziały w obrotach sztuką w Polsce, za najbardziej spektakularny przypadek uznaje wzrost ceny pracy Stanisława Wyspiańskiego „Macierzyństwo” z 1904 r.

Artysta namalował kilka obrazów o tym samym tytule, na których portretował żonę z dziećmi. Także tu Teodora Pytko trzyma w ramionach malutkie dziecko – zapewne synka – które z czułością wtula się w matkę. W 2007 r. właściciel sprzedał pastel za 620 tys. zł. Gdy w 2017 r. praca została znowu wystawiona na aukcji, cena wywoławcza wynosiła już 800 tys. zł. I ku zdumieniu wszystkich obraz został wylicytowany za kwotę 4 mln 366 tys. zł! W ciągu zaledwie dziesięciu lat jego wartość wzrosła niemal sześciokrotnie.

Krzysztof Musiał wskazuje przykłady współczesnych twórców, których dzieła w ostatnim czasie bar-



fol. Andrzej Wiktor

wią o zysku na poziomie 6,4 proc. Jakkolwiek by było, obrót dziełami sztuki to potężny światowy biznes.

Dynamiczny polski rynek

Choć polskiemu rynkowi sztuki wciąż daleko do rynków zachodnich, to w ciągu ostatnich kilkunastu lat w górę szły wszystkie wskaźniki: rosły ceny, obroty, liczba dzieł sprzedawanych na aukcjach, a także liczba licytacji. – Jeśli obecny polski rynek sztuki porówna się z tym, jaki on był 10 czy 20 lat temu, to zmiana jest ogromna. Rynek bardzo się wzmocnił, jest niezwykle dynamiczny – przyznaje Musiał.

Dość przypomnieć, że w pierwszych latach tego wieku obroty na aukcjach wynosiły zaledwie 100–120 mln zł rocznie. A już w rekordowym, pandemicznym roku 2021 suma ta wzrosła do 630 mln zł. Dynamika była ogromna, wzrost względem 2020 r. wyniósł aż 67 procent. Jak ocenia portal artinfo.pl, było to spektakularne zjawisko. W dwu kolejnych latach zanotowano spadek: rok 2023 zamknął się wynikiem sprzedaży na poziomie 436,9 mln zł, o ponad 20 proc. mniej niż rok wcześniej. Ale eksperci nie drą szat z tego powodu. Uważają, że nastąpiła zwyczajna korekta rynku. A poza tym – jak przekonuje artinfo.pl – to i tak o 15 proc. więcej niż przed pandemią.

Czym można to tłumaczyć? Zapewne także tym, że coraz więcej ludzi widzi, jak wielką inwestycyjną moc mają dzieła sztuki. – Możliwości zwrotu na kapitale są na rynku sztuki ogromne i właściwie pewne, podczas gdy inne narzędzia inwestycyjne, takie jak akcje, są bardzo niepewne – tłumaczy Krzysztof Musiał, który zanim zajął się kolekcjonerstwem, prowadził własny biznes.

Był jednym z prekursorów, a potem liderów polskiego rynku komputerowego. Dzięki założonej przez siebie firmie ABC Data w 2008 r. trafił na listę 100 najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost”. Na początku XXI wieku wycofał się z biznesu i skupił się na przedsięwzięciach artystycznych. Stał się mecenasem: sponzoruje wystawy, koncerty, spektakle teatralne i operowe, wspiera również państwowe muzea. W 2010 r. do Muzeum Miasta Łodzi przekazał zbiór ponad 130 dzieł polskich malarzy i rzeźbiarzy przełomu XIX i XX wieku w formie długoterminowego depozytu, a w 2016 podobna liczba prac malarzy tworzących po 1945 r. znalazła się w Muzeum ASP w Warszawie.

– Coraz więcej osób kupuje sztukę nie tylko dla zaspokojenia swoich ambicji artystycznych, lecz także jako inwestycję – przekonuje kolekcjoner i jako przykład podaje siebie. Kiedy trzydzieści kilka lat temu zaczął tworzyć kolekcję (dziś to ok. 1 000 dzieł), nie my-

BEATA ZUBOWICZ

Sztuka

– najpewniejsza z inwestycji

Wraz ze wzrostem fortun rosną prywatne kolekcje. Tę prawidłowość możemy zaobserwować także w Polsce. Trudno nie odnieść wręcz wrażenia, że inwestycja w sztukę jest jak przepustka do wyższej ligi

W 1958 r. w domu aukcyjnym Sotheby's w Londynie zostaje sprzedany obraz przedstawiający Chrystusa w pozie znanej w ikonografii jako Salvator Mundi: bliski plan, Zbawiciel w lewej ręce trzyma królewskie jabłko, a prawą wznosi do błogosławieństwa. Kosztuje 45 funtów. Nikt jeszcze nie przypuszcza, że autorem malunku na spękanej desce może być Leonardo da Vinci. Wizerunek uchodzi za dzieło jego ucznia, Giovanniego Antonia Boltraffio.

Niemal 50 lat później, w 2005 roku, obraz kupuje dwóch marszandów z Nowego Jorku za 1 175 dolarów. Poszukują zaginionego dzieła Leonarda i mają nadzieję, że właśnie trafili na jego ślad. Kiedy wizerunek Chrystusa zostaje oficjalnie przypisany mistrzowi renesansu (choć do dziś nie ma co do tego stuprocentowej pewności), historia obrazu zaczyna gwałtownie przyśpieszać, a cena bić kolejne rekordy. Osiem lat później Salvator trafia na aukcję i zostaje sprzedany w godnej cenie 75 mln dolarów. Kupuje go szwajcarski handlarz sztuki Yves Bouvier, by po kilku miesiącach sprzedać rosyjskiemu multimilionerowi Dmitrijowi Rybołowlewowi. Oligarcha, który majątek zbił na produkcji nawozów, płaci za dzieło już 127,5 mln dolarów. Mija trochę czasu i obraz trafia do domu aukcyjnego Christie's w Nowym Jorku. Tam w 2017 r. wylicytowana cena ustanawia aukcyjny rekord wszech czasów – 450,3 mln dolarów. Pracę kupuje saudyjski książę Badr bin Abdullah, ponoć na zlecenie syna króla Arabii Saudyjskiej.

Nie wiadomo, gdzie Salvator Mundi znajduje się obecnie, bo jego nabywca nie wystawia go publicznie. Wiadomo za to, że nikt nie zapłacił więcej za żadne inne dzieło sztuki. I żadne nie odnotowało tak spektakularnego wzrostu wartości w ciągu tak stosunkowo niedługiego czasu. – Rynek sztuki potrafi zaskakiwać – przyznaje Krzysztof Musiał, właściciel kolekcji przez znawców uznawanej za jedną z najbardziej znaczących prywatnych zbiorów w Polsce, oraz warszawskiej galerii aTak. – Z tym że – podkreśla kolekcjoner – to jest Leonardo. Absolutny wyjątek.

Ekspertcy są jednak zgodni, że nawet jeśli nie co dzień zdarzają się tak spektakularne transakcje, to sztuka co do zasady jest jedną z lepszych inwestycji. Statystyki Sotheby's kuszą średnim zyskiem 8,4 proc. w skali roku. Polscy eksperci są nieco ostrożniejsi i mó-

”

Sztuka co do zasady jest jedną z lepszych inwestycji. Statystyki Sotheby's kuszą średnim zyskiem 8,4 proc. w skali roku. Polscy eksperci są nieco ostrożniejsi i mówią o zysku na poziomie 6,4 proc.

”

Brak absolutorium może być szczególnie bolesny w przypadku ubiegania się o stanowisko w zarządzie banku, firmy ubezpieczeniowej, TFI czy domu maklerskiego

nego obrazu), chociaż problemy Grupy biorą się głównie z rujnącego polską chemię importu z Rosji i Chin. Portal WNP.pl cytuje szefa Polskiej Izby Przemysłu Chemicznego, dr Tomasza Zielińskiego, który podczas posiedzenia parlamentarnego zespołu ds. przemysłu chemicznego powiedział, że Rosjanie, nie mając rynku zbytu dla gazu z powodu zachodnich sankcji, postawili na produkcję nawozów, które sankcjami nie zostały objęte ze względu na tzw. bezpieczeństwo żywnościowe. To polski rząd może podjąć konkretne kroki, by m.in. walczyć z wykańczającym rodzimą produkcję zalewem nawozów z Białorusi i Rosji.

Szkoda na dobrym imieniu

Brak absolutorium może być poważnym problemem nie tylko dla władz spółki, lecz także dla niej samej. Po pierwsze, negatywnie wpływa na zaufanie inwestorów oraz klientów. Po drugie, powoduje niepewność i destabilizację w zarządzaniu, daleko wykraczając poza kadencję jednego zarządu czy rady nadzorczej.

Podobnie będzie w przypadku najnowszej fali braku skwitowań. Trudno sobie wyobrazić zarząd, który zdecyduje się na podjęcie ryzykownych decyzji – w dynamicznej sytuacji rynkowej mogą się okazać one konieczne – pamiętając o tym, że jeden drobny błąd, bez znaczących konsekwencji dla firmy, może nie tylko kosztować go utratę stanowiska i pieniędzy, lecz również położyć się cieniem na karierze zawodowej.

Takie bywają konsekwencje braku absolutorium. Od decyzji WZA można się odwoływać (w poprzednich latach zrobiło to wielu menedżerów, z pozytywnym skutkiem dla siebie), jednak droga sądowa jest długa i żmudna. Co więcej, jak pisze Joanna Chmieleńska (dawniej Czekaj), radca prawny obsługująca przedsiębiorców, były członek zarządu ma bardzo ograniczone możliwości obrony przed uchwałą odmawiającą mu absolutorium. „W takim stanie rzeczy, w ostatnich latach praktyka zaczęła korzystać z innych, znanych systemowi cywilnemu roszczeń. Zauważyć bowiem należy, że w przypadku nieudzielenia absolutorium może wystąpić zagrożenie naruszenia lub nawet wprost naruszenie

dóbr osobistych, w tym dobrego imienia członka organu, któremu – np. z nieujawnionych powodów – odmawia się udzielenia absolutorium”.

Brak absolutorium może być szczególnie bolesny w przypadku ubiegania się o stanowisko w zarządzie banku, firmy ubezpieczeniowej, TFI czy domu maklerskiego, ponieważ zgodę na objęcie funkcji musi wyrazić Komisja Nadzoru Finansowego. KNF bierze pod uwagę kwestię udzielenia lub braku absolutorium, tak jak zresztą wiele innych, choć trudno przesądzić, czy będzie miała ona kluczowy wpływ na decyzję nadzorcy.

To jeszcze nie koniec

Kancelarie prawne spodziewają się zalewu spraw z jednej i z drugiej strony. Nowe zarządy zapowiadają składanie wniosków do prokuratury, a menedżerowie bez skwitowania będą z pewnością walczyć o swoje dobre imię. Żadna z tych spraw nie będzie prosta, bo brak absolutorium otwiera tylko furtkę do kontynuowania sprawy w sądzie, ale w żadnym wypadku o niczym nie przesądza. Spółka skarżąca menedżera będzie musiała udowodnić jego winę i określić wysokość poniesionej szkody, co wcale nie jest takie proste, gdyż między jednym a drugim musi istnieć związek przyczynowo-skutkowy.

Problemów może być zresztą więcej, gdyż udzielenie audytu (w firmach kontrolowanych przez Skarb Państwa skwitowanie dostały np. zarządy Alior Banku, Banku Pekao SA i PFR) nie oznacza wcale, że sprawa jest zamknięta. Według Kancelarii Dudkowiak Kopeć Putyra „podjęcie uchwały o udzieleniu absolutorium opiera się wyłącznie na informacjach i dokumentach udostępnionych współnikom, w szczególności sprawozdaniu finansowym i sprawozdaniu z działalności spółki w danym roku obrotowym. W konsekwencji, jeżeli informacje i dokumenty przekazane współnikom przed wykonaniem przez nich prawa głosu okażą się nieprawdziwe, nierzetelne lub niekompletne, członkowie organów spółki mogą ponosić odpowiedzialność cywilną i organizacyjną, pomimo otrzymania absolutorium”.

Gra się więc wcale nie skończyła, bo nie wiadomo, czy nowe zarządy nie będą z determinacją szukały słabych punktów poprzedników i kierowały kolejnych spraw do prokuratury, czy też dadzą sobie z tym spokój. Rynek bardzo nie lubi tego typu ryzyka, bo jest ono nieprzewidywalne, a do tego nigdy nie wiadomo, na ile stoją za nim realne problemy spółki, a na ile wynikają z politycznych kalkulacji. Inwestorzy od dawna podchodzą z dużą rezerwą do firm z dominującym udziałem Skarbu Państwa, bo poza rynkowym ryzykiem są one dodatkowo obciążone ryzykiem politycznym. Po ostatnich zmianach personalnych, a właściwie stylem, w jakim one się dokonały, przekonanie to tylko się utrwaliło.

Zwyczajne Walne Zgromadzenia Akcjonariuszy, które powinny się odbyć w ciągu sześciu miesięcy od zakończenia roku obrotowego (okres ten bywa przedłużany przez stosowanie tzw. przerw w obradach). W ciągu ostatnich kilku lat zdarzały się sytuacje, że zarząd lub rada nadzorcza nie otrzymały absolutorium, z reguły wynikało to jednak z niepodlegających dyskusji względów merytorycznych. Tak było np. z zarządem pogrążonego w kłopotach finansowych Idea Banku w 2019 roku.

Tegoroczna plaga braku skwitowań w spółkach kontrolowanych przez Skarb Państwa odbywa się często przy okazji prezentowania bardzo dobrych wyników za ubiegły rok. Na przykład zarząd Orlenu nie otrzymał absolutorium, mimo że Grupa uzyskała w 2023 r. ponad 20,7 mld zł zysku netto. Grupa PZU zarobiła w ubiegłym roku na czysto 5,77 mld zł, przy przychodach z ubezpieczeń w wysokości 26,87 mld zł (zarząd został odwołany 23 lutego 2024, WZA nie udzieliło mu absolutorium 18 lipca). Tauron (zarząd bez skwitowania) wypracował w zeszłym roku 1,7 mld zł, rok wcześniej grupa zanotowała stratę netto w wysokości 134 mln zł. Grupa PKP Cargo, mimo wojny na Ukrainie i dekonunktury na rynku, wypracowała 82,1 mln zł zysku. Wynik netto Grupy Kapitałowej GPW w zeszłym roku wyniósł 156 mln zł (7,6 proc. więcej niż rok temu).

„Wyniki finansowe GPW są bardzo dobre i stabilne. Co więcej, nadaliśmy spółce kierunek rozwoju, który będzie przynosił profity w przyszłości. Strategią, którą realizowaliśmy na GPW, była wizja odbudowy tego biznesu podstawowego, jakim jest obrót giełdowy” – mówił w „Wywiadzie Gospodarczym” w telewizji wPolsce.pl dr Marek Dietl, były prezes GPW SA. „Na GPW była prowadzona wszechstronna kontrola KNF obejmująca okres 2017–2022 i nie było po niej żadnych zastrzeżeń. Także audyt wewnętrzny na GPW za rok 2023 wypadł bardzo dobrze. Nie znam żadnych innych audytów” – dodał Dietl.

Zarządy pozostawiły spółki z reguły w dobrej kondycji, choć nie ukrywały, że przyszło i przyjdzie im działać na coraz trudniejszym rynku. Oczywiście

ostatnie zawirowania rynkowe, globalne i krajowe, w tym personalne, spowodowały spore spadki na akcjach spółek kontrolowanych przez Skarb Państwa: Orlen stracił w ciągu miesiąca, do końca lipca, prawie 5 proc., PZU – ponad 6 proc., Tauron – 5 proc., GPW SA – prawie 13 proc., PKO BP – niemal 6 proc.

Wojciech Dąbrowski, były prezes PGE, w wypowiedzi dla portalu wGospodarcze.pl przypomniał, że w latach 2020–2024 władze spółki „zrealizowały szereg ważnych dla bezpieczeństwa energetycznego Polski działań”, a jej wartość giełdowa „wzrosła o 50 procent”. Jednocześnie dodał, że „agencje ratingowe takie jak Fitch czy Moody’s przyznawały jedno z najwyższych not, a kontrole urzędów takich jak NIK były pozytywne, zaś wybrane inwestycje oceniane jako wzorowo prowadzone”. Były szef PGE mówi także o tym, że od zmiany zarządu (w lutym tego roku), w następstwie zmiany rządu w kraju, wyniki finansowe firmy są o co najmniej 50 proc. gorsze. „To spowodowało obniżenie kursu akcji spółki o 20 procent, a jej wartość giełdowa spadła o blisko 3,5 mld zł” – wyjaśniał Wojciech Dąbrowski. „Jeśli utrzyma się ta tendencja spadkowa, to w dłuższej perspektywie odbije się na ratingach PGE, co spowoduje dalszą utratę wiarygodności wśród akcjonariuszy i ograniczy możliwość pozyskiwania środków na inwestycje” – dodawał Dąbrowski.

Spadki notowań spółek z udziałem Skarbu Państwa nie uszły uwadze inwestorów, którzy na portalach ekonomicznych gorzko komentowali kadrowe trzęsienie ziemi: „Jaki sens jest pozywać kogoś, dzięki komu zarobiło się pieniądze i to niemałe. Przed rządami PiS takich dochodów nie mieli. Oni dopiero przejrzą na oczy, jak dostaną po kieszeni w drugim kwartale, pierwszy już pokazał” (Stan); „Inwestorzy patrzą i wyciągają wnioski. Obyście się nie zagalopowali, bo nasze spółki zaczynają tracić na sytuacji. Po zmianie władzy zadziało się coś naprawdę niepokojącego, co bagatelizują ministrowie i sprzyjający im eksperci, udzielający się w mediach. Biznes traci zaufanie do rynku” (Hmmm).

Trudny rynek, ale to zarząd jest winien

Wśród spółek, których władze nie otrzymały absolutorium, są też takie, które w zeszłym roku miały straty, jednak wynikały one przede wszystkim z niezwykle trudnej sytuacji rynkowej. Na przykład Grupa Azoty (miesięczna strata na akcjach – 10,8 proc., a półroczna – 24,8 proc.) to ofiara drożającego gazu i rosnącej gwałtownie konkurencji. Grupa Azoty to drugi w UE producent nawozów azotowych i jedyny producent melaminy w Polsce. Przedstawiciele nowo powołanych władz zarzucają poprzednikom brak odpowiedniego przygotowania na wyzwania rynkowe (przy okazji wytykając im przekazanie darowizny dla muzeum na zakup jed-

”
Wiele spółek z udziałem Skarbu Państwa śmiało wchodziło na rynki zagraniczne, a tempo ich rozwoju było tak duże, że znalazły się w gronie najważniejszych graczy w naszym regionie Europy



foto: Andrzej Wiktor

STANISŁAW KOCZOT

Tegoroczny maraton walnych zgromadzeń akcjonariuszy, podczas których podejmowane były uchwały dotyczące sprawozdań finansowych za ubiegły rok, podziału zysku lub pokrycia straty, a także udzielenia absolutorium dla zarządów i rad nadzorczych, przejdzie do historii z powodu masowego braku zgody na skwitowanie władz firm, w których decydujący głos ma Skarb Państwa

W gronie zarządów i prezesów rynkowych potentatów, którzy nie otrzymali absolutorium, znaleźli się szefowie takich spółek jak Orlen, PGE, GPW SA, PKO BP, PZU, Enea, Tauron, KGHM, Grupa Azoty, PKP Cargo, Lubelski Węgiel „Bogdanka”, Polski Holding Nieruchomości. W kilku przypadkach część kierownictwa otrzymywała skwitowanie, a część nie, np. w PKO BP czy w GPW SA.

Zdecydowana większość spółek, w których pierwsze skrzypce gra państwo, ma kluczowe znaczenie dla gospodarki. Wiele z nich śmiało wchodziło na rynki zagraniczne, a tempo ich rozwoju było tak duże, że znalazły się w gronie najważniejszych graczy w naszym regionie Europy. Decydującą rolę w tym awansie odegrały zarządy i rady nadzorcze spółek, które przygotowały ambitne strategie i wprowadzały je w życie. Okręty flagowe polskiej gospodarki zaczęły tworzyć wojowniczą armadę, na widok której niektórym europejskim potentatom cierpła skóra. Czy awangarda naszej gospodarki pójdzie teraz na dno, zanim zdążyła wypłynąć na szerokie wody?

Duże zyski – i co z tego?

Zarządy polskich blue chips znalazły się na cenzurowanym po zmianie władzy w Polsce. Brak absolutorium dla poprzednich zarządów i niektórych ciał nadzorczych w spółkach kontrolowanych przez Skarb Państwa przybrał taką skalę, że trudno nie mówić o skręcie w kierunku politycznej dintojry.

Każdy właściciel – także państwowy – ma niepodważalne prawo do oceny pracy swojego zarządu. W spółkach akcyjnych rutynowym sposobem oceny są

Nie ma litości dla byłych zarządów



”

Projekty powiązane z transformacją energetyczną są kapitałochłonne i zapewne w celu zwiększenia ich bezpieczeństwa państwo powinno stworzyć system gwarancji dla finansujących banków

swojego lokalnego charakteru, przestaną być częścią społeczności, w której pełnią niezwykle istotne funkcje?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Jeżeli bank jest mały, ale ma klientów, oferuje produkty, które nie odstają od rynku, jest rentowny i bezpieczny, to da radę działać dalej. Jeżeli zaś zmiany demograficzne doprowadziłyby do znaczącego spadku liczby klientów, wtedy trzeba będzie szukać rozwiązań, aby w jakiejś postaci pozostać na rynku. Może się okazać, że ze względu na depopulację określonych regionów kraju nie będzie już wystarczającej bazy klientów, która pozwoliłaby małemu bankowi samodzielnie, bezpiecznie funkcjonować. To kwestie, które zarządy banków powinny przeanalizować, aby móc opracować adekwatne strategie postępowania. Starzenie się społeczeństwa i depopulacja to nie są „teoretyczne straszaki”. To realne przeszkody, które będą blokować możliwości rozwoju określonych regionów lub nawet całego kraju.

Aktywność finansowa banków spółdzielczych koncentruje się na społecznościach lokalnych, bardzo często na ośrodkach wiejskich. Priscille Szeradzki, prezes Europejskiego Stowarzyszenia Banków Spółdzielczych, którego KZBS jest członkiem, mówi w wywiadzie, że jednym z priorytetów obecnej kadencji jest transformacja energetyczna. To interesujące, pamiętając, jak kosztowny będzie to proces dla Polski, również dla mieszkańców wsi i małych miast. Priscille Szeradzki twierdzi, że banki spółdzielcze muszą otrzymać odpowiednie ramy, aby odegrać swoją rolę w umożliwieniu transformacji energetycznej wszystkim klientom, na poziomie lokalnym, gdzie mają silną pozycję. „Musimy znaleźć sposób na jak najlepsze wykorzystanie finansowania jako dźwigni do osiągnięcia celów zrównoważonego rozwoju”. Jak według pani mogłoby to wyglądać w Polsce? Jaką rolę mogłyby odegrać banki spółdzielcze w finansowaniu transformacji energetycznej? Czy dobra znajomość rynku lokalnego jest ich atutem? Czy posiadają wystarczające możliwości kapitałowe?

Banki spółdzielcze pewnie mogą się włączyć we wspieranie transformacji energetycznej, ale nie

udźwigną całego jej ciężaru. Potrzebna jest polityka transformacji energetycznej, wspierana przez państwo, zaś banki spółdzielcze mogłyby występować w roli pośredników, a nie kluczowych finansujących. Ponadto projekty powiązane z transformacją energetyczną są kapitałochłonne i zapewne w celu zwiększenia ich bezpieczeństwa państwo powinno stworzyć system gwarancji dla finansujących banków. Nie można też pominąć roli spółdzielni energetycznych, które zaczynają się tworzyć, jak na razie głównie w ośrodkach miejskich. Ich powstawanie i funkcjonowanie stwarza także bankom spółdzielczym szansę na zaangażowanie się w takiej formie w transformację energetyczną.

W unijnej Komisji Gospodarczej i Monetarnej (ECON), ważnej dla sektora finansowego, nie znalazł się żaden przedstawiciel Polski. Zaniepokojenie takim obrotem rzeczy wyraziły zarówno Krajowy Związek Banków Spółdzielczych, jak i Związek Banków Polskich. Dlaczego udział w tej komisji jest tak istotny z punktu widzenia KZBS? Czy spodziewają się państwo ważnych regulacji unijnych, które mogą nie uwzględniać polskich realiów?

Na szczęblu Unii Europejskiej powstają ważne dla sektora bankowego regulacje. Sektor bankowości spółdzielczej w takich państwach jak Niemcy, Francja czy Holandia ma znacznie silniejszą pozycję na rynku krajowym niż w przypadku Polski. Z tego względu głos z kraju, gdzie banki spółdzielcze mają mniejszy udział w rynku i są przeciętnie mniejsze niż we wskazanych państwach, byłby ważny dla zapewnienia zasady proporcjonalności w nowo tworzonych lub zmienianych przepisach. Z tego względu wyraziłbym zaniepokojenie brakiem przedstawicieli Polski w ECON-ie.

Jednym z obszarów pani zainteresowań naukowych jest bezpieczeństwo finansowe i stabilność finansowa. Jak z tej perspektywy prezentuje się bankowość spółdzielcza? Jak kwestie bezpieczeństwa i stabilności banków spółdzielczych wyglądają na tle całego sektora finansowego?

W wielu badaniach i analizach pomija się banki o charakterze lokalnym, jako że nie generują one ryzyka o charakterze systemowym. Wiele artykułów naukowych publikowanych w renomowanych czasopismach zagranicznych koncentruje się na największych bankach i ich kursach akcji lub spreadach na CDS-ach w analizie stabilności finansowej. W tak górnolotnej perspektywie znaczenie banków lokalnych dla stabilności finansowej nie jest uwzględniane. Analizy klasyczne, których dokonują instytucje sieci bezpieczeństwa finansowego, nie pomijają banków mniejszych. Na podstawie publicznie dostępnych danych i raportów można stwierdzić, że sytuacja bankowości spółdzielczej w Polsce jest dobra i w niczym nie odstaje od rynku.

o zestawienie obecnej sytuacji banków komercyjnych i spółdzielczych? Jakie są ich cechy wspólne, jakie różnice, jakie wyzwania stoją przed jednymi, a jakie przed drugimi?

Nie unikniemy porównań z sektorem bankowości komercyjnej, bo działamy w tym samym kraju, w takich samych uwarunkowaniach prawnych i makroekonomicznych. Banki spółdzielcze, z nielicznymi jak do tej pory wyjątkami – jak uproszczony sposób wyliczania NSFR czy wyłączenie banków działających w IPS-ach ze stosowania WFD [Wskaźnik Finansowania Długoterminowego – dop. red.] – podlegają takim samym regulacjom i wymogom sprawozdawczym. W porównaniu z bankami komercyjnymi przeciętnie trudniej jest im sprostać coraz to nowym wymaganiom. Pod względem efektywności mierzonej ROE i wskaźnikiem C/I przez wiele lat (2004–2021) sytuacja w bankach komercyjnych kształtowała się korzystniej niż w bankach spółdzielczych. Banki komercyjne miały wyższe ROE i niższe C/I. Rok 2022 był pod tym względem przełomowy, bowiem w szczególności dzięki wysokim przychodom odsetkowym, jak i przy braku problemu kredytów frankowych oraz konieczności finansowania przymusowej restrukturyzacji jednego z banków komercyjnych w ramach tzw. komercyjnego IPS, banki spółdzielcze osiągnęły lepsze wyniki niż komercyjne. Podobnie korzystnie kształtowała się sytuacja w 2023 roku. Nie jest to jednak sytuacja, która będzie trwać wiecznie. Wyniki finansowe banków spółdzielczych są bardziej wrażliwe na zmiany poziomu stóp procentowych. Istotne jest zatem, aby banki spółdzielcze budowały zdolność do generowania przychodów pozaodsetkowych. Stanowi to swoistą finansową poduszkę bezpieczeństwa w sytuacji spadku stóp procentowych. Pod względem przychodów pozaodsetkowych banki komercyjne mają większe doświadczenie i możliwości, ale jestem przekonana, że dzięki ciężkiej pracy banki spółdzielcze wykorzystają potencjał tkwiący w nich samych i produktach, jakie mogą oferować klientom. Pod względem wypłacalności i płynności sytuacja w obu sektorach kształtuje się pozytywnie. Polski sektor bankowy jest bezpieczny i dobrze wyposażony w kapitały własne, ale trzeba pamiętać, że spore grupy banków komercyjnych cięży portfel kredytów fran-

kowych. Jeśli chodzi o wyzwania, to z perspektywy banków spółdzielczych widziałabym, po pierwsze, dynamicznie rosnącą rolę rozwiązań cyfrowych, nie tylko w relacjach z klientami, lecz także do zarządzania własną działalnością (np. poprzez automatyzację procesów); po drugie – przygotowanie się na spadek stóp procentowych; a po trzecie – przygotowanie się na galopujące wręcz w niektórych regionach zmiany demograficzne. Z perspektywy banków komercyjnych te wyzwania także występują, ale jednostkowo wydają się być mniej odczuwalne, ze względu na skalę prowadzonej działalności.

Co tak naprawdę jest konkurencją dla banków spółdzielczych – czy są nią uniwersalne banki komercyjne? A może konkurencja jest wspólna dla całego sektora finansowego? W swojej książce „Zarządzanie Finansowe Bankiem w Erze Cyfrowej” zwraca pani uwagę, że banki kojarzone są coraz bardziej z aplikacjami mobilnymi i szybkim dostępem do usług finansowych, że przestały być one monopolistami oferującymi instrumenty płatnicze i pożyczkowe. Ich śladem idą fin-techy, oferujące szybki i sprawny dostęp do usług finansowych. Czy dotyczy to całego sektora finansowego w jednakowym stopniu, czy wyzwanie związane jest bardziej z sektorem komercyjnym, a w mniejszym stopniu ze spółdzielczym?

Wydaje mi się, że w pierwszym rzędzie jest to wyzwanie dla banków komercyjnych, ale banki spółdzielcze też czują oddech konkurencji ze strony fintechów. Należy podkreślić, że fintech bez licencji bankowej nie zapewni kompleksowego dostępu do usług finansowych. Banki pod tym względem mają przewagę, którą powinny jak najlepiej wykorzystać. Istotne jest także to, że wiele banków komercyjnych wchodzi we współpracę z fintechami i bigtechami. Banki spółdzielcze działające w Polsce nie prowadzą – według mojej wiedzy – takiej współpracy. Można by wskazać, że proces rozchodzenia się po rynku innowacji technologicznych zaczyna się od banków komercyjnych, a następnie przechodzi na banki spółdzielcze. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że banki spółdzielcze mają „coś”, czego na taką skalę nie posiadają ani banki komercyjne, ani fintechy. Tym „czymś” jest lepsza znajomość lokalnego rynku i klientów.

Często traktuje się bankowość spółdzielczą jako jeden organizm, tymczasem funkcjonuje na nim – tak jak pani wspomniała – 491 podmiotów, i to różnej wielkości: małych i dużych, o zasięgu lokalnym, ale i ponadregionalnym. Czy – według pani – konsolidacja sektora będzie postępować, będzie to proces organiczny? Czy raczej struktura bankowości spółdzielczej pozostanie rozproszona? Jakie rozwiązanie jest lepsze z punktu widzenia sektora? Z jednej strony mocne, skonsolidowane podmioty są bardziej odporne na kryzysy, dysponują mocniejszym zapleczem kapitałowym. Ale czy z drugiej strony – skonsolidowane – nie zatracą

”

Proces rozchodzenia się po rynku innowacji technologicznych zaczyna się od banków komercyjnych, a następnie przechodzi na banki spółdzielcze

”

Wyniki finansowe banków spółdzielczych są bardziej wrażliwe na zmiany poziomu stóp procentowych.

Istotne jest zatem, aby budowały zdolność do generowania przychodów pozaodsetkowych

zmian – trzy banki zrzeszające. Dziś banki spółdzielcze działają w ramach dwóch zrzeszeń, a kilka z nich prowadzi działalność poza tymi strukturami. Istotnie zmniejszyła się też w tym okresie liczba banków spółdzielczych. W latach 90. było ich ponad 1,6 tys. Dziś w Polsce działa 491 banków spółdzielczych. Jedną z największych zmian organizacyjnych, jakie zaszły w sektorze w tym okresie, było utworzenie w 2015 r. systemów ochrony instytucjonalnej (IPS). Powołano je, bazując na rozwiązaniach, które sprawdziły się wcześniej w krajach Europy Zachodniej, w celu wzajemnego gwarantowania płynności i wypłacalności każdego z uczestników. W Polsce odbyło się to w ramach implementacji pakietu CRD IV/CRR. W ostatnich latach w bankowości spółdzielczej widać także przyspieszenie cyfrowe. Banki spółdzielcze poczyniły znaczący postęp we wdrażaniu nowych technologii. Podkreślić przy tym należy, że rozwiązania w tym obszarze ulegają ciągłym zmianom, w związku z tym transformacja cyfrowa jest *fe facto* procesem ciągłym. Dobrze oddaje to znany cytat z książki L. Carroll „Alicja po drugiej stronie lustra”: „Tutaj [...], aby utrzymać się w tym samym miejscu, trzeba biec ile sił”. Zakończenie wdrożenia jakiegoś rozwiązania nie kończy procesu transformacji cyfrowej. Aby utrzymać się ze swoimi rozwiązaniami „w rynku”, trzeba ciągle wdrażać nowości. Inaczej rynek nam ucieknie.

W jakim miejscu bankowość spółdzielcza znalazła się obecnie? Siłą rzeczy porównuje się ją z bankowością komercyjną – pamiętając oczywiście o porównaniach – i czy w związku z tym można się pokusić



fot. Mat. prasowe

finanse

Giełda & Waluty & Kredyty

ROZMAWIALI

MACIEJ WOŚKO I STANISŁAW KOCZOT

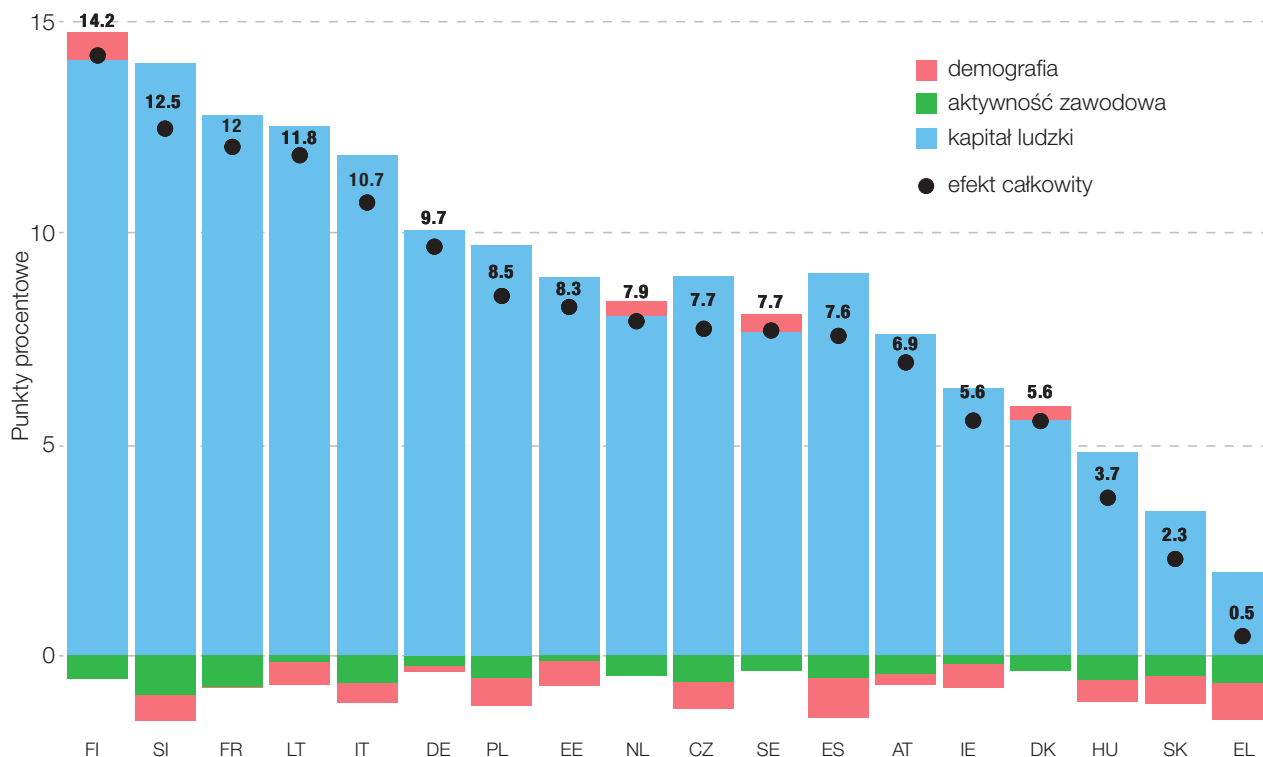
Starzenie się społeczeństwa i depopulacja to realne przeszkody

Jeśli chodzi o wyzwania, to z perspektywy banków spółdzielczych widziałabym, po pierwsze, dynamicznie rosnącą rolę rozwiązań cyfrowych, nie tylko w relacjach z klientami, lecz także do zarządzania własną działalnością; po drugie – przygotowanie się na spadek stóp procentowych; a po trzecie – przygotowanie się na galopujące wręcz w niektórych regionach zmiany demograficzne – mówi prof. Małgorzata Iwanicz-Drozdowska, prezes Krajowego Związku Banków Spółdzielczych, kierownik Katedry Systemu Finansowego, Kolegium Zarządzania i Finansów SGH

Pani profesor, gratulujemy wyboru na stanowisko prezesa Krajowego Związku Banków Spółdzielczych. KZBS to instytucja niezwykle ważna dla polskiego rynku finansowego, działająca już od ponad 33 lat. Oczywiście historia polskiej spółdzielczości jest o wiele dłuższa, jednak nie cofając się tak daleko w przeszłość, jak by pani scharakteryzowała zmiany dokonujące się w bankowości spółdzielczej w ciągu ostatnich trzech dekad? Sektor banków komercyjnych przeobraził się w tym czasie bardzo mocno, można mówić wręcz o rewolucyjnych zmianach – własnościowych, technologicznych. Czy podobnie stało się z bankowością spółdzielczą?

PROF. MAŁGORZATA IWANICZ-DROZDOWSKA: Dziękuję za gratulacje! Bardzo mi miło. Odnosząc się do meritum pytania, w bankowości spółdzielczej również zaszły rewolucyjne zmiany, przy czym – ze względu na formę prawną – nie dotyczyły one kwestii właścicielskich. Banki spółdzielcze były i są w 100 proc. własnością Polaków. Od początku transformacji systemowej sektor bankowości spółdzielczej przeszedł natomiast wiele zmian organizacyjnych. Istotnym przeobrażeniem uległa m.in. struktura zrzeszeniowa. Jeszcze 30 lat temu funkcjonowało dziewięć banków regionalnych, a potem – na skutek ich konsolidacji oraz innych

Prognozowane zyski/straty wynikające z poprawy kapitału ludzkiego, demografii i wskaźników aktywności zawodowej w 2040 r. według krajów



Źródło: na podst. MF Working Paper Series, "Human capital and GDP projections in selected EU countries"

krajach Unii Europejskiej wyraźną poprawą jakości kapitału ludzkiego i rosnącą aktywnością zawodową. „Akumulacja kapitału ludzkiego odpowiadała za wzrost średnio o 1,2 punktu procentowego, kompensując w 80 proc. negatywny wpływ spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym” – piszą autorzy analizy.

Sytuacja na zdecydowanie mniej korzystną zmieni się w latach 2020–2040. Według prognoz negatywny wpływ zmian demograficznych ma wzrosnąć do 4,2 pkt. proc., udział aktywności zawodowej ma wynieść średnio 3,9 pkt. proc., a całkowity wkład kapitału ludzkiego do wzrostu PKB w UE będzie wprawdzie dodatni

(0,7 pkt. proc.), ale znacznie mniejszy niż w poprzednim okresie. Warto jednak pamiętać, że taki wynik jest rezultatem przyjęcia dość konserwatywnego założenia, według którego poziom wiedzy, wykształcenia i umiejętności każdego następnego pokolenia będą takie same jak poprzednich. Jeżeli jednak kolejne generacje przewyższają pod tym względem swoich poprzedników, to wkład kapitału ludzkiego we wzrost gospodarczy może być znacznie większy, chociaż nie zrekomensuje w 100 procentach ubytków związanych z demografią.

Wnioski płynące z publikacji? Po pierwsze, okazuje się, że można sporządzać prognozy rozwoju jakości kapitału ludzkiego w długim okresie i szacować jego udział we wzroście PKB. Po drugie, inwestycje w kapitał ludzki mogą, przynajmniej w pewnym stopniu, łagodzić negatywne skutki starzenia się społeczeństwa dla wzrostu gospodarczego. Polityka publiczna powinna się koncentrować nie tylko na przeciwdziałaniu spadkowi liczby ludności w wieku produkcyjnym (według autorów publikacji skupia się ona na tym w nadmiernym stopniu), lecz również na inwestowaniu w umiejętności pracowników. „Jednym z pierwszych kroków do zmiany akcentów w polityce publicznej byłoby włączenie inwestycji w kapitał ludzki do formalnej definicji inwestycji”.

Oprac. SK

„Młodsze grupy wiekowe są obecnie lepiej wykształcone niż starsze, a czynnikami wpływającymi na wzrost produktywności są gotowość technologiczna i kształcenie ustawiczne



fot. Shutterstock

Jakość kapitału ludzkiego coraz wyższa

Kapitał ludzki zmienia się wraz z wiekiem: wzrasta w pierwszych latach życia zawodowego w wyniku ogólnego wykształcenia i uczenia się przez działanie, a osiąga maksimum w wieku około 30–40 lat. Następnie stabilizuje się do około 50-tki, kiedy zaczyna spadać. Ważnym powodem utraty produktywności jest nie tylko utrata zdolności do wykonywania zadań, lecz także zmieniający się ich charakter, co przyspiesza pogarszanie się kompetencji pracownika. Autorzy „Human capital and GDP projections in selected EU countries” przytaczają kilka opracowań naukowych, z których wynika, że poziom kapitału ludzkiego osób w wieku 50–59 lat jest o 3 proc. niższy od poziomu maksymalnego, a dla końcowej grupy wiekowej deprecjacja wzrasta do 5 proc.

Co ważne dla konkluzji zawartych w opracowaniu, młodsze grupy wiekowe są obecnie lepiej wykształcone niż starsze, a czynnikami wpływającymi na wzrost produktywności są gotowość technologiczna i kształcenie ustawiczne. To szczególnie ważne w przypadku starszych pracowników, którzy dzięki otwarciu na technologię i wiedzę są w stanie sprawnie funkcjonować w zmieniających się okolicznościach. „Wszystko to sugeruje, że zagregowana „jakość kapitału ludzkiego” poprawia się i w nadchodzących dziesięcioleciach

tendencja ta powinna się utrzymać” – twierdzą autorzy opracowania.

Polska i Słowacja

Autorzy przeanalizowali pod kątem kompetencji, wiedzy oraz umiejętności dwa kraje: Polskę i Słowację. Polska charakteryzuje się dużymi różnicami międzypokoleniowymi w poziomie wykształcenia (grupy młodsze o znacznie wyższym średnim poziomie wykształcenia niż grupy starsze) oraz znaczącą poprawą jakości edukacji w ostatnich dziesięcioleciach. Słowacja, przeciwnie: różnice w poziomie wykształcenia ze względu na wiek są niższe, a umiejętności spadają w miarę upływu czasu. Międzypokoleniowe dysproporcje, znacznie większe w Polsce niż na Słowacji, sprawiają, że „kraje takie jak Polska mogą więcej zyskać na akumulacji kapitału ludzkiego”.

Jak to wygląda w praktyce? Według Międzynarodowego Badania Kompetencji Osób Dorosłych PIAAC, w Polsce najwyższe wyniki uzyskała grupa wiekowa 20–24 lata, a ostateczny podział kapitału ludzkiego zostanie osiągnięty dopiero w 2035 r. Na Słowacji grupa z maksymalnym wynikiem to 40–44 lata, natomiast stabilizacja kapitału ludzkiego nastąpiła już w 2020 r. Oznacza to, że zmiany poziomu kapitału ludzkiego w tym kraju będą wynikały jedynie z demografii i zmian w aktywności gospodarczej. Jednym słowem, im starsza grupa z najwyższymi wynikami testów kompetencji, tym krótszy horyzont czasowy przewidywanej poprawy kapitału ludzkiego.

Zmiana akcentów w polityce publicznej

Najbardziej na wzroście kapitału ludzkiego w perspektywie końca przyszłej dekady może skorzystać Finlandia, następnie Słowenia oraz Francja. Najmniej Słowacja, Węgry oraz Grecja, przy czym w przypadku tego ostatniego kraju nie przewiduje się prawie w ogóle poprawy. Polska znalazła się w pierwszej części zestawienia, na siódmym miejscu w grupie 18 analizowanych państw, z wynikiem nieco mniejszym niż Niemcy, ale lepszym niż Estonia, Czechy, Holandia czy Szwecja. Należy pamiętać, że na łączny efekt wzrostu kapitału ludzkiego składa się również aktywność zawodowa oraz demografia, jednak w przypadku większości państw ich wkład jest ujemny, wynikający ze starzejącego się społeczeństwa i kurczącego się odsetka osób w wieku produkcyjnym. Aktywność zawodowa spada we wszystkich analizowanych krajach, natomiast demografia dokłada się do wzrostu kapitału ludzkiego tylko w Finlandii, Holandii, Szwecji i Danii.

Jak wszystkie te czynniki wpłynęły na wzrost gospodarczy? W poprzedniej dekadzie, w latach 2011–2020, zdecydowanie pozytywnie. Straty wynikające z demografii zostały zrekomensowane w badanych

Problemy demograficzne stają się coraz większym wyzwaniem dla gospodarki. Gwałtownie spadająca liczba osób w wieku produkcyjnym ciąży praktycznie wszystkim państwom, w tym oczywiście Polsce. Rozwiązaniem przynajmniej części tego problemu są inwestycje w kapitał ludzki

Zmniejszają się zasoby pracowników i do tego będzie ich coraz mniej, ponieważ niż demograficzny daje się we znaki całej Europie, a szczególnie dotkliwy stał się w Polsce. Współczynnik dzietności w naszym kraju spadł w 2023 roku do 1,158, czyli do historycznie najniższego poziomu (w 1990 roku wynosił 1,991, a w 2022 – 1,261). Demograficzna zapas obniża tempo wzrostu gospodarczego.

Czy konsekwencje tego procesu muszą być aż tak dramatyczne? Niekoniecznie. Według Izabeli Sobiech Pellegrini, Rafała Chmury, Jakuba Sawulskiego i Tymoteusza Mętraka, pracowników polskiego Ministerstwa Finansów i autorów opracowania „Human capital and GDP projections in selected EU countries”, zamieszczonego na łamach MF Working Paper Series, znacznej części negatywnych konsekwencji zapaści demograficznej uda się uniknąć dzięki kapitałowi ludzkiemu. Polska może się znaleźć w czołówce krajów, które zyskają na nim najwięcej.

Według większości długoterminowych projekcji PKB dla państw rozwiniętych, główną przyczyną spadku tempa rozwoju gospodarczego jest niekorzystna sytuacja demograficzna, czyli spadający odsetek osób w wieku produkcyjnym. Zdaniem ekonomistów z MF prognozy te nie biorą jednak pod uwagę poprawy jakości kapitału ludzkiego, która może w znacznym stopniu zrekomensować negatywny wpływ demografii.

Młodzi, lepiej wykształceni

Prognozy zarówno dla Unii Europejskiej, jak i dla reszty świata pokazują jednoznacznie, że dynamika PKB traci tempo. Według Komisji Europejskiej, w latach 2019–2070 wyniesie ona średniorocznie w UE 1,3 proc., wobec 1,6 proc. w dwóch pierwszych dekadach XXI wieku. Spowolnienie wzrostu PKB będzie w dużej mierze wynikać ze zmian demograficznych: spadku liczby mieszkańców i starzenia się ludności. Podobne wyniki prezentuje długoterminowa prognoza OECD, według której dynamika PKB na mieszkańca w krajach OECD obniży się z 1,3 proc. w latach 2007–2020 do 1,1 proc. w latach 2030–2060 (OECD podkreśla również, tak jak Komisja Europejska, spadek udziału ludności aktywnej zawodowo).

Czy ten spadek dynamiki wzrostu gospodarczego jest nieunikniony? Autorzy analizy twierdzą, że choć ilość siły roboczej będzie mniejsza, to jej jakość, czyli przeciętny poziom kwalifikacji, będzie wyższa. Grupy wiekowe wchodzące na rynek pracy są lepiej wykształ-

cone niż go opuszczające. „Interakcja tych dwóch czynników – demografii i jakości kapitału ludzkiego – w dużej mierze zadecyduje o przyszłej ścieżce rozwoju. O ile wpływ pierwszego czynnika cieszy się dużym zainteresowaniem w literaturze i polityce publicznej, o tyle ten ostatni czynnik pozostaje zaniedbywany”.

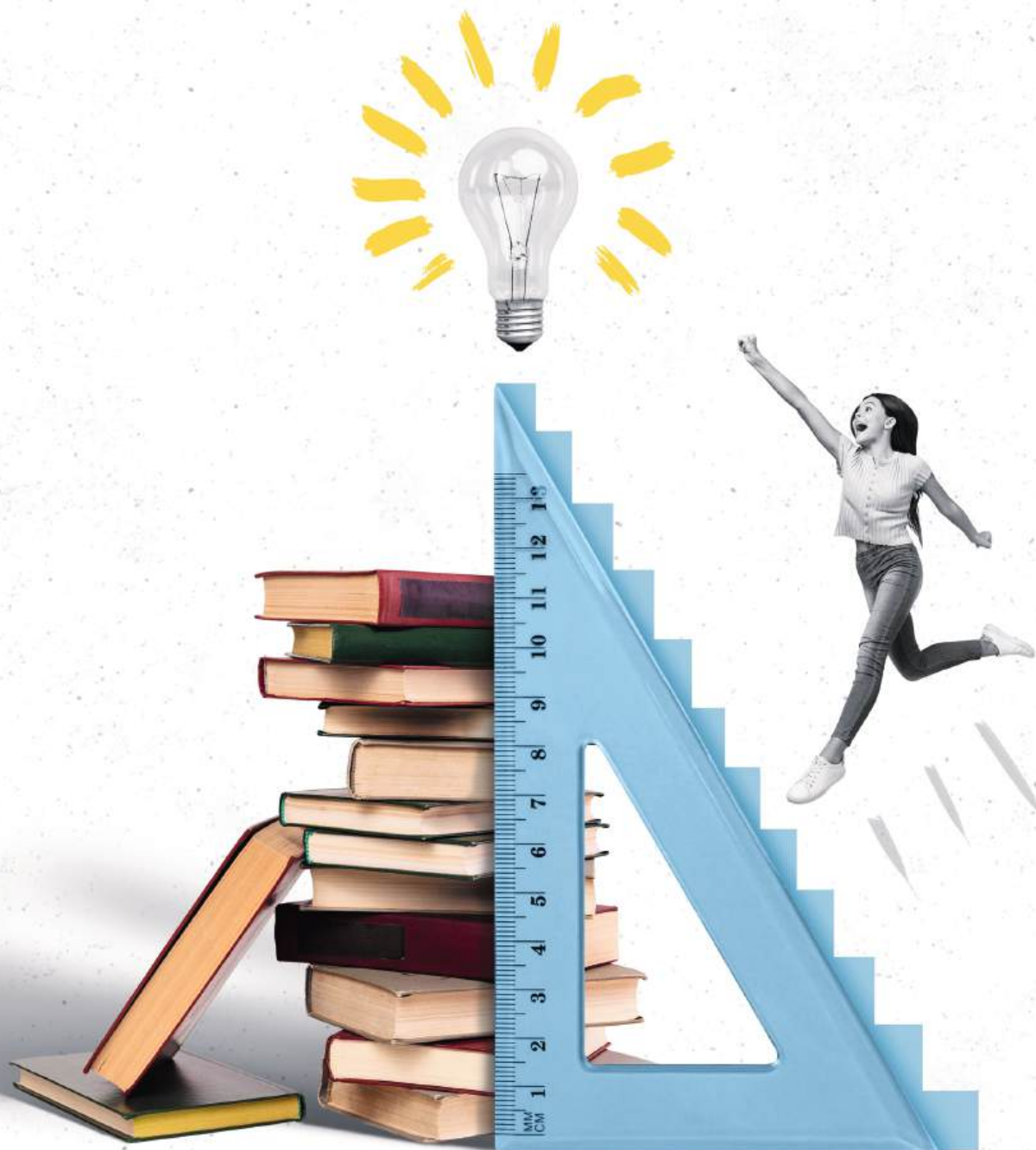
Finlandia z najlepszym wynikiem

Autorzy opracowania przeanalizowali znacznie rosnącej jakości kapitału ludzkiego w kontekście negatywnych skutków starzenia się społeczeństwa w 18 krajach Unii Europejskiej. Okazało się, że w drugiej dekadzie XXI w., w latach 2011–2020, pozytywny wpływ akumulacji kapitału ludzkiego na PKB niemal zniwelował negatywne skutki spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym. W ciągu najbliższych dwóch dekad, w latach 2020–2040, dalszy wzrost jakości kapitału ludzkiego zmniejszy negatywny wkład demografii co najmniej o 1/3.

Dzieje się tak m.in. dlatego, że grupy wiekowe wchodzące na rynek pracy nabywają umiejętności na maksymalnym poziomie grup znajdujących się obecnie w wieku produkcyjnym. Jeżeli jednak weźmie się pod uwagę poprawę poziomu wykształcenia i jakości edukacji, „potencjał pozytywnego wpływu wzrostu jakości kapitału ludzkiego na dynamikę PKB jest prawdopodobnie znacznie większy. W scenariuszu doganiania, w którym wszystkie kraje osiągają jakość edukacji kraju osiągnącego najlepsze wyniki (Finlandia), wzrost kapitału ludzkiego zrównoważyłby ujemny wkład demografii o prawie 3/4. Nasze wyniki są ważnym argumentem za uwzględnianiem jakości kapitału ludzkiego w długoterminowych szacunkach wzrostu PKB”.

”

Polityka publiczna powinna się koncentrować nie tylko na przeciwdziałaniu spadkowi liczby ludności w wieku produkcyjnym, lecz również na inwestowaniu w umiejętności pracowników



Niedoceniany kapitał ludzki

fot. Shutterstock

STANISŁAW KOCZOT

zastępca redaktora naczelnego
„Gazety Bankowej”

I dobrze, i źle

Ten rok nie będzie wyglądał tak różowo, jak wydawało się jeszcze kilka miesięcy temu. Na Polskę miał spaść deszcz euro z unijnej kasy, rodacy mieli ruszyć gremialnie na zakupy i cały swój optymizm rozładować w nabywaniu nowych lodówek, pralek i odkurzaczy, przemysł pełnymi garściami miał czerpać z kwitnącej gospodarki Niemiec.

Niewiele z tego wyszło i drugi kwartał, choć zakończył się wzrostem PKB nadspodziewanie wysokim, na poziomie 3,2 proc., znacznie wyższym od prognoz, to jednak pozostawił po sobie poczucie niedosytu. Na początku roku apetyty były znacznie większe, ponieważ nasza gospodarka miała pędzić do przodu zasilana nie tylko chimeryczną konsumpcją wewnętrzną, lecz także eksportem i inwestycjami. Tymczasem jedynie ta pierwsza pozostaje stosunkowo silna, choć nie tak mocna, jak można by oczekiwać, biorąc pod uwagę tak kluczowy parametr jak realny wzrost płac.

Rynek wewnętrzny rośnie, ale zdecydowanie za słabo jak na rekordowe podwyżki wynagrodzeń. W pierwszym kwartale, przy bardzo niskiej inflacji, siła nabywczą średniej pensji w sektorze przedsiębiorstw zwiększyła się o niemal 10 proc. – najbardziej od co najmniej 2000 r., w drugim kwartale nieco spadła, ale nadal była wysoka. W całej gospodarce narodowej przeciętne wynagrodzenie zwiększyło się realnie jeszcze bardziej, bo o ponad 11 proc.

Przy takich parametrach tempo konsumpcji powinno pędzić z szybkością błyskawicy. Tymczasem tak się nie dzieje. Dlaczego? Przyczyn prawdopodobnie jest wiele, ale to, co wydaje się bezsporne, to pogarszające się nastroje Polaków, spadające zatrudnienie w firmach, a także – w co trudno uwierzyć – strach przed bezrobociem.

Według wyprzedzającego wskaźnika ufności konsumentów GUS ryzyko bezrobocia rośnie regularnie od lutego i w lipcu sięgnęło minus 18,9 pkt. Jeszcze gorzej jest z oceną sytuacji ekonomicznej kraju, z minusem na poziomie aż 20 pkt, najgorzej od września zeszłego roku. Wskaźnik wyprzedzający źle też wypada przy ocenie sytuacji finansowej gospodarstw domowych – jest najgorszy od sierpnia ubiegłego roku. Jedyny plus to oszczędzanie. Od początku roku akurat tutaj jest dobrze.

Wygląda więc na to, że Polacy, zamiast wydawać na lewo i prawo, wolą zachować swoje kapitały na czarną godzinę. Rząd Tuska wypuścił z butelki wolnorynkowego Dżina i ludzie już wiedzą, że muszą się o siebie zatroszczyć sami. Włączyli więc tryb oszczędzania, co trochę podkręca wzrost gospodarczy, ale – paradoksalnie – nie pomaga bankom, w których narasta fala nadpłynności. Brunon Bartkiewicz, prezes ING BSK, widzi w niej wręcz zagrożenie dla stabilności całego sektora bankowego. Według danych za pierwsze półrocze depozyty przyrosły o 154 mld zł, natomiast akcja kredytowa – tylko o 61 mld zł! Nawis wolnej gotówki jest rzeczywiście potężny, banki muszą coś z nim zrobić – albo kupować kolejne pakiety bezpiecznych papierów rządowych (choć mają sejfy wypakowane nimi po brzegi), albo inwestować w aktywa, które tak bezpieczne nie są. Nadpłynność sektora ma też konsekwencje dla oszczędzających, ponieważ banki nie chcą kolejnych miliardów na kontach, i dlatego zapewne obniżają oprocentowanie lokat terminowych. Polacy nie tylko nie chcą kupować na potęgę, lecz nawet nie śpieszą się z zaciąganiem kredytów, choć teoretycznie mogliby to robić, gdyż dzięki lepszym pensjom wzrosła ich zdolność kredytowa.

Na razie wolą gromadzić kapitał. Czy wiedzą, co się święci, czy może odbudowują swój stan posiadania po trudnych latach pandemii i wysokiej inflacji? Być może i jedno, i drugie. Przynajmniej część z nich ma zapewne poczucie niebezpiecznego dualizmu, jaki zaczyna rządzić gospodarką. Zwrócił na niego uwagę Piotr Bujak, główny ekonomista PKO BP, który tak komentował nadspodziewanie dobry wynik PKB po drugim kwartale: „Ożywienie gospodarcze w tym roku ma bardzo specyficzny charakter. Głównym, a właściwie jedynym motorem wzrostu jest konsumpcja dzięki: 1) okolowoborczym działaniom podbijającym silnie nominalne dochody gospodarstw domowych, oraz 2) gwałtownej dezinflacji śrubującej realną dynamikę dochodów do rekordowego poziomu. Jednocześnie ekspresowa dezinflacja wywiera silnie negatywną presję na przychody, wyniki finansowe, nastroje, popyt na pracę i aktywność inwestycyjną firm, a aprecjacja złotego bije w eksport. Mamy więc dualną gospodarkę. Mocne ożywienie i bolesne spowolnienie jednocześnie”.

Jeżeli tak rzeczywiście jest, to nie ma co marzyć o konsumpcyjnych szaleństwach, tylko oszczędzać jeszcze więcej, ile się da i gdzie się da. ●

Niestety wydaje się, że z punktu widzenia USA nasze europejskie dylematy są czymś mało dostrzegalnym. W wykładzie Krugmana, czemu pewnie trudno się dziwić, Europa jest podmiotem niemal jednorodnym i nie są widoczne takie niuanse jak dystrybucja dobrobytu między poszczególnymi państwami. Ten wątek pojawia się, kiedy noblista mówi o walucie euro. Jako wybitny ekonomista dostrzega jej wady. Wybrzmiało to jednak dopiero w wywiadzie, jakiego udzielił Polskiej Agencji Prasowej już po swoim wykładzie.

Krugman w rozmowie z PAP zwrócił uwagę, że Europa nie spełnia wszystkich kryteriów dobrze funkcjonującej jednolitej waluty. Zaznaczył, że różnice ekonomiczne między krajami członkowskimi strefy euro są zbyt duże, co prowadzi do napięć i kryzysów. Wskazał na konieczność większej harmonizacji polityki gospodarczej oraz większej elastyczności w zarządzaniu gospodarkami narodowymi, aby strefa euro mogła lepiej funkcjonować. Zwrócił jednak uwagę na fakt, że posiadanie własnej waluty jest ogromną przewagą w sytuacji kryzysowej, bo jej dewaluacja może ocalić np. rynek pracy. Jako przykład podał tu pozostającą poza strefą euro Islandię, która zniwelowała skutki kryzysu w zasadzie „jednego dnia”, gdy spadła wartość jej waluty, do Hiszpanii, która jako część strefy euro wychodziła z kryzysu kilka lat, okupując to gigantycznym bezrobociem i zubożeniem znacznej części społeczeństwa.

Demografia: kluczowe wyzwanie dla przyszłości Europy

Krugman poświęcił również znaczną część swojego wykładu analizie demograficznej Europy, porównując ją do sytuacji w Stanach Zjednoczonych. Podkreślił, że zmiany demograficzne będą miały ogromny wpływ na przyszłość gospodarczą kontynentu. Noblista wskazał na problem starzejącego się społeczeństwa w Europie. Podkreślił, że wiele krajów boryka się z niskim wskaźnikiem urodzeń, co prowadzi do coraz większego obciążenia systemów emerytalnych i opieki zdrowotnej. W porównaniu z USA, gdzie wskaźnik urodzeń jest wyższy, Europa musi znaleźć sposoby na zrównoważenie swojego modelu społecznego i gospodarczego.

Zdaniem Krugmana jednym z potencjalnych rozwiązań problemów demograficznych Starego Kontynentu jest migracja. Zaznaczył jednak, że integracja migrantów musi być przeprowadzona w sposób, który zapewni ich aktywny udział w rynku pracy oraz społeczeństwie. Migracja może być kluczem do wypełnienia luk na rynku pracy i zapewnienia długoterminowego wzrostu gospodarczego. Warto podkreślić warunki, jakie noblista tu formułuje, bo z pewnością nie nawołuje on do niekontrolowanego napływu migrantów na zasadzie „herzlich willkommen” Angeli Merkel.

Krugman podkreślił, że kluczowym elementem radzenia sobie z wyzwaniami demograficznymi są inwe-

”

stytucje w kapitał ludzki. Europejskie kraje muszą inwestować w edukację i szkolenia, aby przygotować swoją siłę roboczą do przyszłych wyzwań

stycje w kapitał ludzki. Europejskie kraje muszą inwestować w edukację i szkolenia, aby przygotować swoją siłę roboczą do przyszłych wyzwań. Podkreślił znaczenie długoterminowych strategii, które będą wspierać rozwój umiejętności i innowacji technologicznych.

Czy Europa posłucha?

Podczas wydarzenia Krugman otrzymał również nagrodę „Futurysta Roku 2024” w kategorii bankowość, przyznaną przez SGMK. Nagroda ta jest wyróżnieniem dla osób, których praca ma znaczący wpływ na przyszłość w różnych dziedzinach, a jej symbolem jest astrolabium Kopernika, symbolizujące dążenie ludzkości do odkrywania nowych obszarów wiedzy.

Osoby sceptyczne wobec kierunku, jaki przyjęła Europa pod obecnym przywództwem, wykład Krugmana mogły odebrać jako zbyt kurtuazyjny wobec swoich europejskich gospodarzy. Ekonomista był bowiem raczej optymistą, jeśli chodzi o przyszłość naszego kontynentu, choć trudno się dopatrzeć w działaniach jego elit tych polityk, o które Krugman się upominał. Ani na niwie demograficznej, ani technologicznej nie mamy bowiem w Europie do czynienia z działaniami prorozwojowymi. Niekontrolowana migracja, brak sensownych programów integracyjnych, coraz większe zacofanie technologiczne Europy wobec państw Azji czy USA nie skłaniają raczej do optymizmu. Sama integracja instytucjonalna polegająca na zwiększaniu kompetencji organów zarządzających Unią Europejską może się stać przekleństwem, a nie szansą, w obliczu decyzji dewastujących rozwój kontynentu, a są nimi przecież wszelkie działania prowadzące do wzrostu kosztów energii i skutkujące exodusem przedsiębiorstw z Europy.

Nie wiadomo, dokąd zaprowadzi nas obecna polityka europejskich włodarzy, ale z pewnością ciekawie byłoby posłuchać, co Krugman będzie miał do powiedzenia o Europie za kilka lat. Dzięki Szkole Głównej Mikołaja Kopernika być może znów będziemy mieli taką szansę. ●



Paul Krugman (ur. 1953 r.) jest amerykańskim ekonomistą, laureatem Nagrody Nobla (2008) w dziedzinie ekonomii za swoje osiągnięcia w teorii handlu międzynarodowego i nowej geografii ekonomicznej. Ukończył studia na Massachusetts Institute of Technology (MIT), gdzie również uzyskał doktorat. Krugman jest profesorem ekonomii i spraw międzynarodowych na Uniwersytecie w Princeton, a obecnie związany z City University of New York (CUNY). Przez lata był członkiem Rady Doradców Ekonomicznych Białego Domu za prezydentury Ronalda Reagana. Krugman jest autorem ponad 20 książek i 200 artykułów naukowych. Jego prace są regularnie publikowane w takich czasopismach jak „The New York Times”, gdzie jest stałym felietonistą. Znany jest z krytycznych analiz polityki gospodarczej, a także z popularno-naukowych książek. Uznawany za jednego z najbardziej wpływowych ekonomistów naszych czasów.

czasach. To ciekawe spostrzeżenie zwłaszcza w momencie, gdy wobec kilku krajów Unii, w tym Polski, Bruksela wdrożyła właśnie procedurę nadmiernego deficytu.

Wciąż nie wiadomo, ile tej „integracji”

Krugman zaznaczył, że przyszłość Europy w dużej mierze zależy od zdolności do współpracy międzynarodowej. Podkreślił znaczenie integracji gospodarczej i politycznej w ramach Unii Europejskiej jako mechanizmu, który może pomóc w pokonywaniu wyzwań i wzmocnić pozycję Europy na świecie. Krugman podkreślił konieczność reform instytucjonalnych na Starym Kontynencie.

Zwrócił uwagę na potrzebę wzmocnienia instytucji unijnych, aby mogły skuteczniej reagować na wyzwania, takie jak kryzysy finansowe czy zmiany demograficzne. Wskazał, że silne instytucje są kluczem do stabilności i dobrobytu w długim okresie. W tym miejscu u polskich słuchaczy mógł się jednak pojawić pewien niedosyt wynikający z braku dopowiedzenia, jak uczynić bardziej efektywną gospodarczo współpracę w ramach UE, tak by korzystały na niej wszystkie kraje, a nie tylko Niemcy czy jądro tzw. starej Unii. W Europie mierzymy się właśnie z próbą wzmocnienia integracji poprzez całkowite odebranie głosu pojedynczym państwom. Z pewnością ten krok uczyniłby Unię bardziej sprawną, ale niekoniecznie bardziej sprawiedliwą.

BARTOSZ ŻYCIŃSKI

Więcej integracji i migracji, ale...

Czy w globalnej rozgrywce Chin ze Stanami Zjednoczonymi jest miejsce dla Europy? I co właściwie dla globalnych liderów kryje się pod nazwą Europa – mozaika narodów o często sprzecznych wewnętrznych interesach czy też jeden zjednoczony w ramach UE podmiot pod silnym przywództwem Niemiec i głównie na dobrobyt Niemiec pracujący? Częściowe odpowiedzi na te pytania przyniósł wykład, jaki wygłosił amerykański ekonomista i laureat Nagrody Nobla profesor Paul Krugman

Wykładu Krugmana można było wysłuchać w Warszawie dzięki Szkole Głównej Mikołaja Kopernika. Ta stosunkowo nowa na akademickiej mapie Polski instytucja realizuje bardzo ambitny międzynarodowy program, zapraszając do pracy dydaktycznej czołówkę naukowców z najlepszych uczelni na świecie. Wykład Krugmana zatytułowany „Przyszłość Europy” stanowił zwieńczenie roku akademickiego SGMK, która łączy pięć dyscyplin „kopernikańskich” w swoich ośrodkach w Toruniu, Olsztynie, Lublinie, Krakowie i Warszawie.

Uroczystość, co warto podkreślić, rozpoczęła się od złożenia wieńca pod pomnikiem Mikołaja Kopernika na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. W ceremonii tej uczestniczył sam profesor Krugman, jak również przedstawiciele SGMK oraz innych instytucji naukowych. Był to symboliczny gest oddania hołdu pa-

tronowi szkoły i jednemu z najwybitniejszych polskich naukowców.

Trzeba technologicznej jakości i fiskalnego luzu

W swoim wykładzie Krugman skupił się na kluczowych wyzwaniach stojących przed Europą. Rozpoczął od analizy aktualnej sytuacji gospodarczej kontynentu, wskazując na główne problemy, takie jak spowolnienie wzrostu gospodarczego, wysoka inflacja oraz bezrobocie. Podkreślił, że chociaż niektóre kraje Unii Europejskiej radzą sobie lepiej niż inne, to jednak cała Wspólnota musi stawić czoła wspólnym wyzwaniom. Dużo uwagi poświęcił kwestii zrównoważonego rozwoju. Wskazał na konieczność inwestycji w zieloną energię oraz technologie przyjazne środowisku jako klucz do długoterminowego wzrostu gospodarczego. Krugman podkreślił, że Europa ma szansę stać się globalnym liderem w dziedzinie zrównoważonego rozwoju, jednak jako warunek wymienił właściwe zainwestowanie w badania i rozwój w tym zakresie. Można sobie dopowiedzieć, że noblista miał tu na myśli raczej bardziej zaawansowane technologiczne rozwiązania niż przytwardzenie nakrętek do butelek mocniejszym kawałkiem plastiku.

Profesor Krugman omówił również rolę polityki fiskalnej i monetarnej w stabilizowaniu gospodarki. Wskazał na potrzebę elastyczności w polityce fiskalnej, która pozwoli na szybkie reagowanie na kryzysy. Krytykował zbyt surowe zasady fiskalne, które mogą ograniczać zdolność rządów do wspierania gospodarki w trudnych

”

Paul Krugman krytykował zbyt surowe zasady fiskalne, które mogą ograniczać zdolność rządów do wspierania gospodarki w trudnych czasach

Europejskiego Zielonego Ładu z góry skazują Unię na klęskę w gospodarczej rywalizacji z resztą świata, a jej obywateli w nieodległej przyszłości na wyrzeczenia, zubożenie i ograniczanie wolności.

[...] Sytuacja międzynarodowa, zwłaszcza w bezpośrednim sąsiedztwie Unii, radykalnie zmieniła się na gorsze nie tylko za jej granicą wschodnią. Arabska wiosna, choć budziła nadzieje na ewolucję państw Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu w stronę modelu demokracji zachodnich, w znacznym stopniu przyczyniła się do politycznej destabilizacji regionu oraz napędza (i będzie coraz bardziej napędzać) nierozwiązywalny dotychczasowymi metodami kryzys migracyjny. Definitywnie rozwały się akcesyjne perspektywy Turcji. I to wcale nie tylko z powodu postępującej autokratyzacji rządów Recepta Tayyipa Erdoğan; w równym stopniu winę za to ponoszą te same państwa, które współodpowiadają za sytuację za wschodnią granicą Unii, czyli Niemcy (szczególnie) i Francja.

Wreszcie jako akceptowany proceder utrwaliło się coś, czego nie ma w traktatach, ale co często można znaleźć implicite w wielu decyzjach Komisji Europejskiej czy TSUE, nie mówiąc już o wypowiedziach zachodnich polityków i przedstawicieli unijnego mainstreamu: podział na państwa pierwszej i drugiej kategorii, „lepszych” i „gorszych”, mogących pouczać i pouczanych. Kiedyś zapytano ówczesnego przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude’a Junckera o to, dlaczego Komisja nie dyscyplinuje Francji przekraczającej od lat dopuszczalny poziom deficytu budżetowego. „Bo to Francja” – brzmiała odpowiedź. Prezesem niemieckiego Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe został czynny polityk (nawiasem mówiąc, oskarżany o niejasności finansowe i konflikt interesów), który do tego trybunału trafił prosto z Bundestagu, ale to polskiemu Trybunałowi Konstytucyjnemu zarzuca się brak bezstronności i upolitycznienie. Węgierska ustawa zabraniająca promowania ideologii LGBT w szkołach sama w sobie jest niezbyt kontrowersyjna, ale jest węgierska, więc ogłoszono ją „haniebną”; holenderskie czy belgijskie prawo zezwalające na zabijanie ludzi chorych i starych z założenia jest „europejskie” i „praworządne”. W narzucanie lewicowo-liberalnych wierzeń coraz mocniej angażują się Komisja, Parlament Europejski, a nawet TSUE, mechanizm ich wymuszania zawierają również proponowane przez Parlament zmiany traktatów.

Realnej alternatywy dla członkostwa nie ma

Jesteśmy zatem członkami organizacji międzynarodowej całkowicie odmiennej od tej, do której wstępowaliśmy, w dodatku ewoluującej w kierunku coraz bardziej zideologizowanym, autokratycznym i marginalizującym znaczenie państw członkowskich (z wyjątkiem

dwóch największych). Nasze interesy narodowe nie są w tej organizacji reprezentowane lub – przy najlepszej dobrej wierze w ocenie – reprezentowane niewystarczająco. Realnej alternatywy dla członkostwa nie ma, chyba że Unia miałaby się rozpaść (czego całkiem wykluczyć nie można i na co należy być przygotowanym) – jednak nawet w takim wypadku posiadanie własnej polityki unijnej jest nieodzowne. Polscy politycy dzielą się na tych, którzy może i chcieliby samodzielną politykę europejską prowadzić, ale boją się zadurzonych w nieistniejącym bycie wyborców i wolą im schlebiać; na tych, którzy samodzielną politykę prowadzić nie chcą i dobrze im z tym, bo mają na to społeczne alibi; wreszcie na tych (niewielu), którzy Polskę w ogóle widzą poza Unią, nie bacząc na to, że nie jesteśmy Wielką Brytanią, i nie przedstawiając żadnej sensownej alternatywy, której zresztą nie ma. W tej sytuacji polityka zagraniczna, w tym unijna (a ściślej mówiąc to, co ją w Polsce udaje), służy do walki wewnętrznej, do publikowania fotografii i komunikatów mających świadczyć o tym, że „nasi” politycy są za granicą szanowani, a „tamci” lekceważeni, do ogłupiania wyborców. Wyborcza widowia zaś – mówiąc prorokiem Izajaszem – ma patrzeć i słuchać tak, „iżby oczami nie widziała ani uszami nie słyszała” (o co dbają między innymi – rzecz niesłychana – media z większościowym kapitałem niepolskim), w czasie gdy Niemcy (i inne państwa członkowskie) ponad wewnętrznymi podziałami prowadzą własną politykę unijną, oczywiście korzystną dla nich. Dwudziestą rocznicę naszego członkostwa w Unii będziemy obchodzili nie jako roztropny, przygotowany do dorosłego życia dwudziestolatek, tylko jako wiecznie kilkuletni berbec, szczęśliwy, że może beztrósko spędzać czas na zbudowanym z funduszy unijnych placu zabaw, nie martwiąc się o jutro, pełen wiary w dalszą opiekę pani przedszkolanki, której dawno temu zaufa i nadal we wszystkim jej słucha, mimo że tymczasem przedszkolanka się postarzała, stetryczała i wymaga kuracji oraz opieki. ●

*Blog Dariusza Lipińskiego,
www.dariuszlipinski.wordpress.com, 2 kwietnia 2024 r.*



Powyższy tekst jest fragmentem książki Dariusza Lipińskiego „Czy Unia Europejska przetrwa rok 2024?”, która ukazała się nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka. Tytuł i śródtytuły oraz skróty pochodzą od redakcji

Oprac. Sek

obdarzany jest obiektem, który nie istnieje. Przedmiot afektu Polaków jest wymaginowany. Unia Europejska A.D. 2024 tak bardzo różni się od tej, którą Polacy pokochali przed dwudziestu laty (i poślubili, zawierając intercyzę zwaną traktatami, z której – nawiasem mówiąc – partner intercyzy nic sobie nie robi), że jest bytem całkowicie odmiennym, a pod niektórymi względami nawet odwrotnym w stosunku do pierwowzoru: inne są traktaty, państwa członkowskie, reguły gry, obyczaje, interesy, a nawet arytmetyczne zasady obliczania kwalifikowanej większości w Radzie Unii Europejskiej.

Inne umowy, inna Unia

Przede wszystkim obowiązują inne umowy. Traktat lizboński, który wszedł w życie 1 grudnia 2009 roku, głęboko zmodyfikował unijne akty prawa i procedury; radykalnie zmienił zasady głosowania większością kwalifikowaną, rozszerzając je na nowe obszary; wprowadził nowe, wysokie stanowiska unijne (m.in. przewodniczącego Rady Europejskiej, co jeszcze bardziej niż przedtem wzmocniło znaczenie brukselskiej eurokracji); sformułował nową aksjologię Unii; wniósł poprawki do jej celów; nadał jej osobowość prawną i dokonał wielu innych zmian. Dla podmiotowości państw członkowskich konsekwencją najbardziej szkodliwą jest spadek znaczenia sprawowanej rotacyjnie przez te państwa prezydencji Unii. Przed traktatem lizbońskim mogły one – choć tylko raz na kilkanaście lat przez pół roku, ale w znaczący sposób – realnie współkreować kierunki rozwoju Wspólnoty i w istotny sposób wpływać na bieżące zarządzanie nią. Po traktacie nastąpiło poważne zmniejszenie ich roli i ograniczenie zdolności Unii do rozpoznawania w porę pojawiających się nowych problemów często – celowo lub nie – z brukselskiej perspektywy eurokratów niezauważalnych.

Inny jest zestaw państw członkowskich: trzy nowe przybyły (Rumunia i Bułgaria w 2007 roku, Chorwacja w 2013), jednego (Wielka Brytania z dniem 31 stycznia 2020 r.) ubyło. Brexit zburzył istniejącą wcześniej wewnątrzunijną równowagę polityczną, instytucjonalną, funkcjonalną, a nawet światopoglądową i mentalną. Z Unii wystąpiło państwo będące ex aequo drugą/trzecią gospodarką Wspólnoty, kierujące się w swoich działaniach większym politycznym pragmatyzmem i w mniejszym niż Niemcy czy Francja stopniu ideologicznymi mrzonkami. Zjednoczone Królestwo było największym i najważniejszym zabezpieczeniem przed utopijnymi pomysłami budowy europejskiego superpaństwa, armii europejskiej itp., rzecznikiem zdrowego rozsądku, a jako ojczyzna pojęcia fair play (ukutego wszak przez Williama Szekspira) – także strażnikiem przestrzegania unijnych reguł gry, czyli traktatów (to nie kto inny, tylko brytyjski premier Tony Blair pierwszy zakwestionował pomysły kontynuowania ratyfikacji traktatu konstytucyjnego, pojawiające się mimo odrzu-

”

Unia Europejska A.D. 2024 tak bardzo różni się od tej, którą Polacy pokochali przed dwudziestu laty, że jest bytem całkowicie odmiennym, a pod niektórymi względami nawet odwrotnym w stosunku do pierwowzoru

cenia tego projektu w referendach we Francji i w Holandii). Wielka Brytania była największym państwem członkowskim nienależącym do strefy euro, a zatem naturalnym liderem i adwokatem tej grupy państw tam, gdzie trzeba było blokować w Radzie niekorzystne dla nich propozycje. Nie należy też nie doceniać roli Brytyjczyków w podtrzymywaniu wysokiej rangi relacji euroatlantyckich, w obliczu zaprzysiężonego antyamerikanizmu Niemiec i Francji wcale nieoczywistej.

Traktat z Lizbony, a później brexit doprowadziły do całkowitego odwrócenia siły głosów w Radzie Unii Europejskiej. „Większość kwalifikowana” w roku 2024 oznacza coś zupełnie innego niż w 2004, niemal przeciwnego. [...] To z tego odwrócenia realiów dotyczących głosowania bierze się widoczna uległość Komisji Europejskiej w stosunku do Niemiec i Francji, a przede wszystkim tak wielkie parcie tych dwóch krajów na wprowadzenie kwalifikowanej większości również w tych obszarach, które dotychczas – jak polityka zagraniczna czy obronna – wymagały jednomyślności.

Unia zdeformowana

Pomiędzy rokiem 2004 a 2024 pogłębiona została dominacja lewicowo-liberalnej opcji ideologicznej. Bez żadnych podstaw, traktatowych czy wynikających z innych dokumentów międzynarodowych, narzuca ona swe własne zapatrywania jako jedynie dopuszczalne, „europejskie” i „demokratyczne”. Te odbiegające od mainstreamowych są pomijane, zniekształcane lub stygmatyzowane, nie wyłączając przekonań ojców integracji (o ich poglądach, nie mówiąc już o takich faktach jak procesy beatyfikacyjne Roberta Schumana i Alcide De Gasperiego, nie znajdzie się najmniejszej wzmianki ani w żadnych oficjalnych dokumentach Unii Europejskiej, ani na jej stronach internetowych, również tych „edukacyjnych”). W ten sposób zbiór specyficznych przekonań, jeden z wielu możliwych, w dodatku – jak się wydaje – wcale przez większość obywateli niepodzielanych, urasta pod nazwą „wartości europejskich” (wyłącznie w lewicowo-liberalny sposób interpretowanych) do rangi panującej świeckiej religii. [...] Klimatystyczne absurdy w rodzaju

Jesienią 2021 r. pewne zdziwienie, zaniepokojenie, a nawet oburzenie wzbudził w Polsce fakt, że partie tworzące gabinet kanclerza Scholza umieściły w niemieckiej (powtórzmy: w niemieckiej, czyli wewnętrznej) umowie koalicyjnej ustalenia dotyczące funkcjonowania Unii Europejskiej. Nie trzeba dodawać, że funkcjonowania w sposób pożądaný przez Niemcy: obejmowały one nawet takie szczegóły jak nowy system wyborów europejskich. O ile zapisy na temat szerszej polityki zagranicznej tego kraju (przynajmniej oficjalnie, teoretycznie i werbalnie) zdezaktualizowały się i sfalsyfikowały 24 lutego 2022 roku, dzisiaj Niemcy deklarują radykalną zmianę swego stosunku do Rosji, co – dopóki trwa wojna – może się wydawać oczywiste, choć w odniesieniu do dalszej przyszłości jest nieweryfikowalne i, szczerze mówiąc, niepewne – postanowienia dotyczące stosunków wewnątrzunijnych (mimo że logicznie nie ma żadnego powodu, by a priori uznać je za lepsze dla Europy od tych dotyczących relacji z Rosją) są realizowane

Emocje zamiast polityki

To normalne, trudno mieć do Niemców pretensje, że dbają o swoje interesy. Tym bardziej jednak rzuca się w oczy fakt, że w odróżnieniu od niemieckiej, polska polityka unijna nie istnieje. Choć przyczyn jest wiele, jedna wydaje mi się najważniejsza: nie ma na taką politykę społecznego zapotrzebowania. A nawet więcej – istnieje społeczne oczekiwanie, aby jej nie było. Stosunek Polaków do Unii nie jest bowiem racjonalny, tylko uczuciowy. Opiera się na emocjach, a słowo „kalkulacja” w stosunku do Unii nie jest używane. Wielu uznaloby je za niestosowne, wręcz świętokradcze. Przyczyn takiego sentymentalnego podejścia (innego nawet niż w krajach, które przeżyły podobną do naszej drogę do Unii, na przykład w Czechach) również jest wiele i ich omówienie wymagałoby osobnego tekstu. Tu wystarczy zauważyć, że konsekwencją tego rodzaju uczuć jest niemożliwość powstania w Polsce rządu zdolnego do prowadzenia realistycznej polskiej polityki unijnej. Ci politycy, którzy zdają sobie sprawę z konieczności jej posiadania, z obawy przed narażeniem się rozentuzjasmowanym wyborcom kluczą i lawirują: manewry rządu premiera Morawieckiego związane z pieniędzmi z KPO (o których przecież każdy wiedział, że ich nie będzie) stanowią najlepszą ilustrację tego mechanizmu. Ci z kolei, którzy z przekonania, lenistwa,

z żelazną konsekwencją. Zresztą nie tylko przez koalicjantów z rządu Scholza, lecz także przez cały niemiecki establishment polityczny: fakt, że spośród pięciorga sprawozdawców propozycji zmian traktatowych przyjętych przez Parlament Europejski czworo – z czterech różnych (!) partii – jest Niemcami, mówi sam za siebie. Trzeba stwierdzić rzecz oczywistą: nie oglądając się na innych, Niemcy prowadzą własną politykę unijną i jest to polityka korzystna dla ich kraju.

oportunistu, kosmopolityzmu lub osobistego interesu bezkrytycznie akceptują wszystko, co przychodzi z Brukseli/Berlina, mają dla swojej bierności dogodne uzasadnienie w postaci woli wyborców. Nic nie muszą robić. [...]

Społecznego zapotrzebowania na racjonalną politykę unijną zatem w Polsce nie ma, są tylko sentymenty. Lecz to nie wszystko. Jeszcze większym niż one same w sobie obciążeniem jest fakt, że uczuciem



Polska ★ polityka unijna nie istnieje, ★ bo...

...stosunek Polaków do Unii nie jest racjonalny, tylko uczuciowy. Opiera się na emocjach, a słowo „kalkulacja” w stosunku do Unii nie jest używane. Wielu uznałoby je za niestosowne, wręcz świętokradcze

RYSZARD CZARNECKI

europoseł 2004–2024,
w latach 2014–2018 wiceprzewodniczący
Parlamentu Europejskiego

Najgorsze igrzyska w historii

Doprawdy trudno mi pisać podsumowanie Letnich Igrzysk Olimpijskich w Paryżu Anno Domini 2024. Miały one miejsce w stulecie pierwszego startu Biało-Czerwonych na LIO, które odbywały się skądinąd także w stolicy Francji. Jestem ściśle związany z polskim sportem: przez lata byłem członkiem prezydium Polskiego Komitetu Olimpijskiego, ładnych parę lat wiceprezesem Polskiego Związku Piłki Siatkowej, byłem też wiceszefem Wydziału Zagranicznego PZPN w czasach, gdy skutecznie walczyliśmy o przyznanie naszemu krajowi organizacji piłkarskich mistrzostw Europy 2012. Byłem również przez osiem lat prezesem i wiceprezesem czołowego w Polsce klubu żużlowego (to najpopularniejsza nieolimpijska dyscyplina sportowa w kraju), byłem też przez rok w radzie nadzorczej klubu piłkarskiego, który teraz gra w europejskich pucharach. Moje spojrzenie na polski sport jest więc spojrzeniem „insidera”, a nie tylko kibica. I dlatego mówię z całą odpowiedzialnością: ponieśliśmy na tych igrzyskach jako Polska katastrofalną klęskę. Zdobyliśmy najmniej medali w XXI wieku (10 – tyle samo, co w Atenach). Nasi sportowcy stawali rzadziej na olimpijskim podium ostatni raz przed... 68 laty (w Melbourne A.D. 1956).

Tabela medalowa igrzysk prawdę ci powie. Jestem absolutnym fanem wszelkich statystyk, w tym sportowych. Wiem zatem, że na każdych igrzyskach od 1948 r. grano dla nas więcej „Mazurków Dąbrowskiego” niż teraz (w Australii w 1956 – tyle samo). Co się stało, że pierwszy raz w historii zostaliśmy w klasyfikacji medalowej igrzysk wyprzedzeni przez kraje, które zawsze były za nami, a nieraz bardzo daleko za nami? Mowa choćby o Izraelu, Indonezji, Algierii, Filipinach, Hongkongu, Chińskim Tajpej (Tajwanie), Słowenii, Chorwacji, Gruzji, Azerbejdżanie, Iranie, Irlandii, Norwegii, Uzbekistanie, Serbii.

Jak to się mogło stać, że na francuskich igrzyskach Polska jest w piątej dziesiątce w klasyfikacji medalowej (dokładnie miejsce 42.), a raptem trzy lata temu na igrzyskach w Tokio byliśmy na miejscu 17.? Teraz mamy, uwaga, najgorsze w historii startów Polaków na igrzyskach miejsce w tabeli medalowej! Dotąd najgorsze było w Londynie w 1948 r. – dopiero 34., ale

i tak lepsze o 8 pozycji niż w nieszczęsnym Paryżu. Proszę mi wytłumaczyć, Panie Ministrze Sportu oraz Panie Prezesie PKOl, co się zadziało, że przed trzema laty w stolicy Japonii byliśmy wśród państw członkowskich Unii Europejskiej na miejscu 6., a obecnie jesteśmy na miejscu 16.? Jaki kataklizm dotknął polski sport w ciągu tych raptem 36 miesięcy, że na IO w Tokio wśród państw Starego Kontynentu znaleźliśmy się na miejscu 8., a teraz na miejscu 24.? Skąd ta już nawet nie równia pochyła, ale spadek na łeb, na szyję? Tak, ja wiem, że konkurencja robi się coraz silniejsza, a jednak potrafiliśmy się poprawić między Rio De Janeiro (2016) a Tokio (2020) o 3 medale. Można? Można!

Do tego doszło jeszcze natrętne dmuchanie balona oczekiwań. To przecież nie krasnoludki ani sierotka Marysia, ale prezes PKOl mówił, że zdobędziemy na tych igrzyskach 16 medali. Minister sportu też podbijał bębenek. Skądinąd, gwoździł uczciwość, muszę powiedzieć, że po świetnych dla nas igrzyskach w Tokio oraz udanych mistrzostwach świata i Europy w wielu dyscyplinach, również wielu ekspertów na świecie, zarówno w Ameryce, jak i w Europie Zachodniej, oceniało Polskę jako potęgę sportową. Francuzi na przykład dawali nam 15 medali, a ściślej: aż 5 złotych oraz po 5 srebrnych i brązowych. Włosi byli niewiele mniej hojni, wskazywali bowiem, że zdobędziemy 14 medali. A potem ten balon został w drugiej połowie lipca i pierwszej dekadzie sierpnia jakże boleśnie przekłuty.

Czy jednak syndromu tej zapaści nie było widać wcześniej? Ostatnimi igrzyskami, na których nasze sporty drużynowe zaznaczyły mocniej swoją obecność, były IO w Brazylii, gdzie piłkarze ręczni dopiero po dogrywce ulegli w meczu o finał z późniejszymi mistrzami olimpijskimi – Danią, a siatkarze po tie-breaku przegrali w ćwierćfinale. Dziś okłaskujemy naszych srebrnych medalistów w męskiej siatkówce i uważamy za niezły występ naszych siatkarek, które doszły do ćwierćfinału, oraz koszykarzy 3 × 3, którzy byli w pierwszej szóstce. Jednak sportów drużynowych na tych igrzyskach było kilkanaście (licząc łącznie rozgrywki mężczyzn i kobiet). Byliśmy reprezentowani raptem w trzech...

Mam nadzieję, że władze polskiego sportu i ruchu olimpijskiego odpowiedzą na pytanie, dlaczego tak sromotnie przegraliśmy klasyfikację medalową igrzysk w Paryżu. Włączam odliczanie... ●

Opinia szefa RWE nie jest odosobniona. W swoim najnowszym raporcie Niemiecka Izba Przemysłowa poinformowała, że 4 na 10 istniejących firm produkcyjnych rozważa – z powodu drogiej energii – ograniczenie działalności lub jej przeniesienie poza Niemcy. W Barometrze Transformacji Energetycznej 2024, który uwzględnia opinie z 3,3 tys. firm w kraju, wskazano, że „wysokie ceny i brak możliwości planowania dostaw energii są bardziej niż kiedykolwiek barierami w rozwoju produkcji i inwestycji”. A takich barier nie ma nie tylko w USA, lecz także na przykład w Chinach. Stąd głośna inwestycja chemicznego potentata BASF w budowę zakładu produkcyjnego w Państwie Środka, wartego miliard dolarów.

Jak poważnym problemem staje się ucieczka przemysłu z Europy, świadczą nie tylko dane analityków, lecz również kosztowne, rządowe próby zatrzymania inwestorów. Na początku roku głośno było o pomocy publicznej w wysokości ponad 900 mln euro, jakiej udziela niemiecki rząd szwedzkiemu producentowi baterii Northvolt. I stało się to przy pełnej akceptacji Komisji Europejskiej. Chodzi o budowę gigafabryki produkującej ogniwa akumulatorowe wykorzystywane w pojazdach elektrycznych (EV) w Heide w Szlezwiku-Holsztynie. Wartość pomocy publicznej jest znacząca, biorąc pod uwagę, że zakład ma kosztować 2,5 mld euro. Bez niej zakład i tak by powstał, ale w USA (bepośrednia dotacja wynosi aż 700 mln euro, a gwarancje – 200 mln euro).

Informacje o tej gigantycznej pomocy publicznej wywołały jednak sporo kontrowersji. Po raz kolejny

okazało się, że nadzwyczajne kryzysowe rozwiązania wprowadzone przez unijne władze służą przede wszystkim najsilniejszym krajom. Przypomnijmy, że to Niemcy i Francja były liderami UE pod względem skali pomocy publicznej w czasie kryzysu energetycznego. Przypadło na nie aż 80 proc. z całej zatwierdzonej przez Brukselę kwoty 672 mld euro (notabene te dwa państwa było na udzielenie takiej pomocy po prostu stać).

Także teraz – mniej restrykcyjne zasady dotyczące publicznego wsparcia obowiązują do końca 2025 r. – mówi się o tym, że to najpotężniejsze kraje w UE będą mogły z nich głównie skorzystać. Chodzi o pomoc publiczną w kluczowych dla polityki klimatycznej obszarach (baterie, panele słoneczne, turbiny wiatrowe, pompy ciepła, elektrolizery do produkcji wodoru, wychwytywanie dwutlenku węgla, technologie, surowce krytyczne). Pytanie, czy inne państwa i rządy z mniej zasobnymi budżetami będzie stać na wspieranie tych branż.

Net Zero Industry Act, czyli papier jest cierpliwy

Odpowiedzią Europy na amerykański pakiet ustaw stała się (przyjęta w zeszłym roku) obowiązująca od kilku miesięcy strategia Net Zero Industry Act. Plan ten zawiera ambitny cel, by w 2030 r. Unia Europejska była w stanie wyprodukować 40 proc. produktów potrzebnych zielonym technologiom (takich jak turbiny wiatrowe czy panele słoneczne i akumulatory do pojazdów elektrycznych). Będzie to możliwe poprzez przyspieszenie procedur wydawania pozwoleń na nowe projekty, ułatwień w dostępie do finansowania, pierwszeństwie w przetargach dla firm europejskich i zwiększeniu ogólnej globalnej konkurencyjności unijnych przedsiębiorstw. Poza tym Bruksela próbuje wspierać zielone branże, przyjmując kolejne pakiety dla kilku z nich – przyjęto więc odpowiedni pakiet dla przemysłu energii wiatrowej, powstała Tarcza Solarna, a ostatnio mówi się wiele o podobnym programie (już jesienią) dla pomp ciepła (program miał się pojawić wcześniej, ale możliwe, że będzie zawierał jakiś rodzaj nakazu montażu tych urządzeń, więc nie mógł być ogłoszony przed czerwcowymi eurowyborami).

Wszystko to ma spowodować, że inwestowanie w Europie stanie się bardziej atrakcyjne. Problem polega na tym, że choć Bruksela tworzy jeden program za drugim, to i tak zarówno z głównej strategii Net Zero Industry Act, jak i z sektorowych dotąd wynikło niewiele i niewiele wynika nadal. W zasadzie pozostają one na papierze. Dlatego deklaracje Ursuli von der Leyen, że w ciągu 100 dni (po uformowaniu nowej KE) przedstawi ekstrakurazowania pobudzające przemysł i poprawiające jego konkurencyjność, budzą nie tylko duże zainteresowanie firm i ekonomistów, lecz także nadzieje. Pierwsze miesiące 2025 r. pokażą, czy słuszne. ●

Nowy europarlament, stare „zielone” podejście

W Brukseli i Strasburgu trwają targi o to, kto zasiądzie w nowych władzach Unii Europejskiej. Pomimo słabszego w czerwcowych wyborach wyniku ugrupowań stawiających na twardą politykę klimatyczną i tak będzie ona realizowana. Już zapowiedziała to szefowa Komisji Europejskiej – Ursula von der Leyen. Bez wątpienia dobierze sobie komisarzy podzielających jej poglądy. Wrzesień i październik to czas ustalania składu nowej KE, który ma być gotowy do 1 listopada. Można się spodziewać, że skoro von der Leyen znów jest przewodniczącą, to postawi na sprawdzone już nazwiska. Z drugiej strony pojawią się także nowe kandydatury, na przykład aspirująca do fotela komisarza hiszpańska minister Teresa Ribbera, szczególnie silnie wspierająca Zielony Ład. Ursula von der Leyen zdobyła o 40 więcej głosów w PE niż potrzebowała, choć przed ostatecznym (tajnym głosowaniem) pewności takiej nie było. A to dlatego, że skład europarlamentu po czerwcowych wyborach zmienił się na tyle, że silniejsza pozycja zyskała ugrupowania o charakterze konserwatywnym.

”

Każda działalność, która wiąże się z wykorzystaniem energii w takiej czy innej formie, jest w Europie w gorszej sytuacji niż w Ameryce

Ursula von der Leyen obiecała jednocześnie nowy „Pakt na rzecz czystego przemysłu” i to w ciągu pierwszych 100 dni nowej Komisji, który „pomoże obniżyć rachunki za energię hamujące naszą konkurencyjność”. „W walce ze zmianami klimatycznymi najważniejszy jest przemysł zero netto” – przekonywała von der Leyen. I zapewniała: „Chcemy wykorzystać ten moment”.

Słabe Niemcy, słaba strefa euro

Deklaracja szefowej KE pojawiła się krótko przed publikacją danych za czerwiec o produkcji przemysłowej w Unii Europejskiej, które nie tylko nie napawają optymizmem, lecz po raz kolejny budzą poważne obawy. Portal Politico informował wręcz, że „produkcja w przemysłowym sercu Europy osłabła, potwierdzając najgorsze obawy liderów UE zaniepokojonych kierunkiem, w jakim zmierza gospodarka Wspólnoty”. Według wskaźników S&P Global „sektor pogрузił się w recesję” – i to zarówno we Francji, jak i w Niemczech, gdzie gospodarka spada „przez gwałtowny i dramatyczny spadek produkcji przemysłowej”. Jeden z analityków stwierdził nawet, że „we mgle rozplynęła się nadzieja, że sektor skorzysta z lepszego globalnego klimatu gospodarczego”. Przypomnijmy, że indeks produkcji przemysłowej określany przez Eurostat dla strefy euro ciągle utrzymuje się „poniżej poziomu z 2021 r. i ma tendencję spadkową. Stąd konkluzja Politico, że unijni „decydenci zaczynają zdawać sobie sprawę, iż oczekiwana przez nich poprawa sytuacji się nie materializuje.

Miesiąc później znów się okazało, że sytuacja nie jest lepsza, skoro „aktywność przemysłowa w strefie euro w lipcu nadal spadała”. A analitycy ostrzegali, że „rozległy i gwałtowny spadek jest zaskakujący”, zatem sektor wytwórczy czeka trudne czasy.

O tym, że sytuacja europejskiego przemysłu jest zła, wiadomo od dawna. Do problemów przyczynił się kryzys energetyczny, wywołany agresją Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r., w efekcie którego gwałtownie wzrosły ceny surowców – ropy i gazu oraz energii elektrycznej. To wszystko odbiło się na kosztach produkcji wielu branż przemysłowych. I choć już w zeszłym roku sytuacja na rynkach surowcowych powoli zaczęła wracać do normy, to ograniczenie produkcji przemysłowej, zwłaszcza z cięższych sektorów, stało się faktem.

Także nowoczesne ekotechnologie znalazły się w gorszej kondycji, niż spodziewali się i decydenci unijni, i ekonomiści. To, co miało być kołem zamachowym europejskiej gospodarki – branża solarna, wiatrowa, pomp ciepła czy elektromobility – również popadły w kłopoty. Stowarzyszenia je reprezentujące otwarcie wystąpiły do Brukseli o pomoc. Oczekiwania są różne – od bezpośrednich dopłat, po ułatwienia inwestycyjne czy stworzenie zachęt do instalacji ekologicznych urządzeń przez obywateli. Nadal jednak każdy z tych ekosektorów ma problemy.

O tym, że źle się dzieje w unijnym przemyśle, ostrzegali już na początku roku związkowcy. Cytowana przez Euractive sekretarz Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych Ludovic Voet stwierdziła, że „fabryki są zamykane, a miejsca pracy są likwidowane” zwłaszcza w przemyśle chemicznym, nawozowym, aluminiowym. Z kolei Judith Kirton-Darling reprezentująca organizację IndustriALL Europe mówiła, że związkowcy już „od jakiegoś czasu podnoszą alarm w sprawie upadku przemysłu i zagrożenia deindustrializacją w Europie”.

FT, powołując się na ekspertów i analityków, napisał wręcz, że „powrotu w Europie do tradycyjnego przemysłu po kryzysie energetycznym nie będzie”, a niektórzy przewidują „trwałe zamknięcie części mocy produkcyjnych w Europie”. W tej sytuacji nie dziwią też opinie (cytowane przez Bloomberg) Jima Ratcliffe’a, szefa i założyciela giganta branżowego Ineos Group, iż „każda działalność, która wiąże się z wykorzystaniem energii w takiej czy innej formie, jest w Europie w gorszej sytuacji niż w Ameryce”. Jego zdaniem „wysokie koszty energii i emisji dwutlenku węgla sprawiły, że europejski przemysł petrochemiczny ma trudności z konkurencją z resztą świata”.

Zamykamy albo uciekamy za ocean

Gdy działalność w Europie staje się zbyt kosztowna, szefowie firm zaczynają szukać nowych lokalizacji poza nią. Proces ten nasila się od niemal dwóch lat, wraz z kryzysem energetycznym. Swoisty impuls do ucieczki z Europy dał amerykański pakiet ustaw Inflation Reduction Act, z systemem zachęt i dotacji do inwestycji w czyste technologie w USA. System zachwalał w rozmowie z FT wiosną tego roku szef RWE Markus Krebber, mówiąc, że „w USA obowiązuje spójna i kompleksowa polityka zachęcająca do produkcji w kraju”. Przy okazji przyznał, że niemiecki przemysł jest w niekorzystnej sytuacji i choć nastąpi „pewne ożywienie”, to należy się spodziewać „znacznej strukturalnej destrukcji popytu w energochłonnych sektorach”. Koncern RWE należy do największych europejskich inwestorów, po tym jak przejął za niemal 7 mld dolarów jedną z amerykańskich firm.

AGNIESZKA ŁAKOMA



Przemysł europejski potrzebuje koła ratunkowego

Szefowa Komisji Europejskiej zapowiada z jednej strony ratowanie przemysłu, a z drugiej – twardą realizację Zielonego Ładu. Szanse na realizację obu celów raczej nie są wielkie, zwłaszcza że już nie tylko branże energochłonne mają problemy z powodu wysokich cen energii, lecz nawet te przyszłościowe, czyli związane z zielonymi technologiami, domagają się interwencji Brukseli

Najbliższa pięcioletka ma należeć do przemysłu – tak powinno brzmieć główne hasło Europy. A przynajmniej tak wynika z zapewnień Ursuli von der Leyen, która właśnie teraz dobiera sobie komisarzy. Jeszcze jako kandydatka na przewodniczącą KE – chcąc przekonać do siebie większość nowego europarlamentu – zapewniała, że

w tej kadencji postawi na rozwój przemysłu, a jednocześnie będzie zdecydowanie obniżać (o 90 proc. do 2040 r.) emisję gazów cieplarnianych. To by sugerowało, że przyszłość będą miały w Europie przede wszystkim zielone branże i nowoczesne technologie, skoro cały kontynent w połowie wieku stanie się bezemisyjny. Pozostałe sektory, jeśli chcą przetrwać, muszą się do tego trendu klimatycznego dostosować.

to możliwości zaspokajania potrzeb mieszkaniowych, zwłaszcza przez osoby młode, które nie mogą sobie pozwolić na zakup mieszkania własnościowego, z drugiej zaś obniża opłacalność z inwestycji w mieszkania pod wynajem – a to może doprowadzić do nawrotu niedoborów podażyowych w kolejnych latach”. Poza tym, zdaniem ekspertów, silnie rosnące koszty zakupu mogą sprawić, że inwestycja w ten rodzaj aktywów będzie coraz mniej finansowo korzystna, szczególnie dla tych, którzy posilają się kredytem hipotecznym.

Najem z konieczności

Równie ciekawych spostrzeżeń dostarcza badanie „Szczęśliwy dom”, którego wyniki zostały opublikowane we wspomnianym „Roczniku”, opisujące szczegółowo grupę społeczną, jaką są osoby mieszkające w wynajmowanych mieszkaniach lub domach. To Polacy w okresie tzw. wczesnej dorosłości, czyli od 18. do 35. roku życia, które stanowią około 52 proc. ogółu. Osoby w średnim wieku, tj. między 35. a 65. rokiem życia, to ponad 40 proc. najemców. Najmniej liczną grupę, tj. 16 proc. ogółu, stanowią osoby w wieku studenckim, czyli między 18. a 25. rokiem życia. Wyniki badania wskazują, że dla 62,5 proc. aktualnych najemców wynajęcie mieszkania podyktowane jest koniecznością, ponieważ ze względów finansowych nie są w stanie go kupić. Jednocześnie najwyższy odsetek najemców, tj. 67,1 proc., których nie stać na zakup własnego mieszkania, dotyczy Warszawy, natomiast najniższy, tj. 59,9 proc., odnotowano dla grupy mniejszych miast wojewódzkich, co wskazuje na ograniczoną przystępność cenową mieszkań w dużych miastach.

Kolejną grupę stanowią osoby, które kierują się chęcią wyprowadzki z domu rodzinnego. Wskazywaną przez badanych przyczyną wynajmu jest również nieznaną przyszłość co do zamieszkania lub pracy. Co ciekawe, większość wynajmujących mieszkanie, tj. 56,6 proc. ogółu, deklaruje, że woleliby mieć je na własność.

Jeżeli chodzi o najem, wiceminister rozwoju i technologii Krzysztof Kukucki zapowiadał budowę 100 tys. mieszkań na tani wynajem w tej kadencji. Do tego pomysłu sceptycznie odnosi się prezes Apartments Possession: – Czy ktokolwiek z czytelników zna chociaż jeden projekt, w którym państwo wchodzi w miejsce biznesu i jest kosztowo lepsze oraz zyskowniejsze? Oczywiście bardzo się cieszę, że zostaną wybudowane, bo mieszkań jest za mało. Ale niestety ma to obsługiwać rząd, administracja jest wolniejsza, wszystko kosztowniejsze, więcej osób obsługuje projekty, wolniej wdraża sztuczną inteligencję... Wiele czynników wskazuje na to, że ten pomysł nie uratuje rynku mieszkań. Przykład – projekt Fundusz Mieszkań

na Wynajem. Czy on uratował rynek mieszkań? Projekt nic nie dał i było drożej.

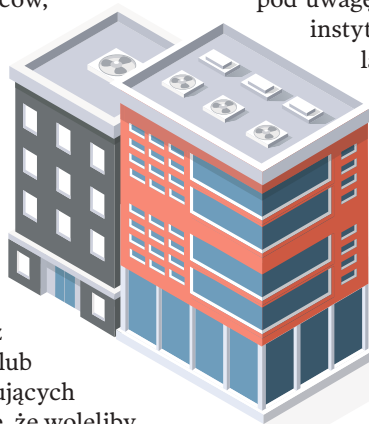
Fundusz Mieszkań na Wynajem jest projektem BGK, z założenia umożliwiającym wynajem nowoczesnych lokali na stabilnych warunkach i w oparciu o zasady rynkowe. Jego celem jest profesjonalizacja rynku poprzez stworzenie systemu najmu instytucjonalnego, w którym wynajmującym nie jest osoba prywatna, lecz instytucja państwowa. Oferta funduszu nieruchomości jest dostępna w największych polskich miastach, kieruje się ją do osób wypłacalnych. W rzeczywistości jednak realizacja programu daleka jest od założeń, a czynsze są wyższe od rynkowej średniej.

Instytucjonalny najem ciągle niewielki

Najem instytucjonalny stanowi dziś znikomą część rynku najmu w Polsce, którego struktura jest rozdrobniona i słabo sprofesjonalizowana. Największy udział w rynku najmu, tj. ok. 96 proc., posiadają prywatni inwestorzy. Natomiast aktualna oferta najmu instytucjonalnego, który oferuje kompleksową obsługę najemców przez profesjonalnych operatorów, obejmuje ok. 11,6 tys. mieszkań gotowych do wynajmu, głównie w największych aglomeracjach, m.in. w Warszawie, gdzie zlokalizowano ok. 40 proc. oferty ogółem, oraz w Krakowie, we Wrocławiu, w Łodzi, Trójmieście i Katowicach. Biorąc jednak pod uwagę szacunkowy udział mieszkań w wynajmie instytucjonalnym, określany na najbliższe pięć lat w wysokości ok. 65 tys. mieszkań, w ogólnej wielkości rynku stanowiącej 1,2 mln mieszkań w wynajmie, trudno oprzeć się wrażeniu, że w najbliższej przyszłości nie będzie on formą, która zaspokoi potrzeby Polaków. Niemniej okres spowolnienia rynku sprzedaży mieszkań bez wątpienia sprzyja rozwojowi funduszy PRS (Private Rented Sector) w Polsce. Z drugiej strony rozwój rynku najmu instytucjonalnego może się przyczynić do większego wyboru ofert i ich konkurencyjności, skutkując złagodzeniem presji na ceny.

Z kolei odsuwające się w czasie obniżki stóp procentowych, a także uruchomienie nowego programu Mieszkanie na Start to okoliczności, które będą zasilać rynek najmu. W sposób oczywisty jakaś część osób, które myślą o zakupie mieszkania, zostanie na bliżej nieokreślony czas „wypchnięta” na rynek najmu.

Patrząc długofalowo, na znaczeniu straci nie tylko prawo własności, lecz również banki, które będą tracić klientów na rzecz bardziej atrakcyjnych niż raty kredytu najmów. Już dziś dostępne analizy wskazują, że w I kwartale 2024 roku najem mieszkania jako alternatywa dla zakupu lokalu na własność, właśnie ze względu na wysokość stóp procentowych i stawki czynszów, był bardziej opłacalny. ●



JOANNA BUCZYŃSKA

Wynajem mieszkań mniej opłacalny

Tak jak Bezpieczny Kredyt 2 proc. był motorem wzrostu dla segmentu sprzedażowego rynku nieruchomości, tak impulsem zwwyżki cenowej na rynku najmu okazał się napływ uchodźców wojennych z Ukrainy

Wzmógł popyt ze strony Ukraińców odbił się w średnich stawkach ofertowych czynszów. Według „Kwartalnika mieszkaniowego. Raport o sytuacji na rynku mieszkań w I kwartale 2022 roku”, średni czynsz za wynajem mieszkania wzrósł między 24 lutego a 31 marca aż o 14 proc. Z rynku zniknęły w pierwszej kolejności mieszkania tańsze, w starym budownictwie i o niższym standardzie, a pozostające w ofercie droższe lokale istotnie podniosły średnią cenę najmu. I tak dla mieszkań mniej popularnych, o powierzchni powyżej 90 m², wzrost czynszu sięgał 19,7 proc., przy 9,5-procentowym wzroście czynszów lokali najmniejszych i 16-procentowym lokali wybudowanych przed 1945 rokiem.

Mniejsza dynamika

W kolejnym raporcie, sporządzonym na podstawie danych za I kwartał 2024 roku, mówi się o zatrzymaniu wzrostu cen najmu: średnia ofertowa cena w I kwartale 2024 roku wyniosła 3 243 zł, a średni wzrost wyniósł 0,7 proc. k/k, co oznacza, że roczna dynamika cen najmu w I kwartale spadła do 5,9 proc. Stabilizację rynku autorzy raportu wiążą z czynnikami strukturalnymi, wskazując m.in. na dalszy odpływ ukraińskich rodzin uchodźczych oraz zwiększone zainteresowanie zakupem mieszkań własnościowych, wynikające ze wzrostu dochodów, który przewyższył inflację, oraz ze zwiększenia zdolności kredytowej. Istotnym czynnikiem jest również systematyczny wzrost nowych mieszkań na wynajem. Tę okoliczność potwierdza duża liczba nowych ofert najmu, bowiem w I kwartale 2024 roku w serwisie Otodom aktywowanych zostało 56 tys. nowych ogłoszeń, co jest najwyższym poziomem od pandemicznej recesji w III kwartale 2020 roku, gdy liczba ofert najmu na rynku wyniosła 64 tys.

Tomasz Burcon, prezes Apartments Possession, spółki zarządzającej nieruchomościami, również potwierdza zachodzące na rynku najmu zmiany: – Wciąż jest dobrze,

nie zapowiada się pogorszenie. Dynamika się zmieniała, zarówno na rynku wynajmu długo-, jak i krótkoterminowego. Jest to związane z tym, że dużo uchodźców z Ukrainy zaczęło opuszczać Polskę, w związku z tym najem zaczął się zmieniać, z krótkoterminowego najmu na długoterminowy. Teraz następuje przełączanie w drugą stronę, jak i włączanie tzw. hybrydy, czyli mieszania najmu długoterminowego z krótkoterminowym.

Według Centrum Analiz PKO BP, w IV kwartale 2023 roku, wobec III kwartału, stawki nie zmieniły się lub lekko spadły, a wzrost stawek r/r w IV kwartale 2023 roku był jednocyfrowy i w dalszym ciągu zwalniał. Źródłem osłabienia popytu na wynajem można, zdaniem analityków, upatrywać w efekcie Bezpiecznego Kredytu 2 proc., czyli rezygnacji z wynajmu osób, które zakwalifikowały się do programu, co zwiększyło podaż na rynku wynajmu, zasilaną też nowymi, małymi lokalami, będącymi popularnym zakupem inwestycyjnym na rynku pierwotnym.

Taka tendencja utrzymała się na przełomie roku i zgodnie z Raportem NBP o cenach mieszkań oraz sytuacji na rynku nieruchomości mieszkaniowych i komercyjnych, w I kwartale 2024 roku liczba mieszkań oferowanych na wynajem nadal rosła. Było to m.in. efektem oddawania do użytku mieszkań kupionych w okresie boomu w latach 2020–2023, gdy wielu inwestorów decydowało się na zakupy mieszkania na wynajem. W tej sytuacji odnotowano spadek poziomu średnich transakcyjnych stawek najmu metra kwadratowego mieszkań, z wyłączeniem opłat eksploatacyjnych i opłat za media, we wszystkich grupach miast, co przełożyło się na zmniejszenie opłacalności najmu w dużych ośrodkach.

Również eksperci z „Rocznika Najmu”, przygotowanego wspólnie przez Politykę Insight oraz Otodom, zauważają, że na początku 2024 roku oferta na rynku najmu powróciła do poziomu sprzed rosyjskiej agresji na Ukrainę dwa lata temu. Ceny najmu, zwłaszcza mniejszych mieszkań w aglomeracjach, których oferta w ostatnich kwartałach rosła najszybciej, ustabilizowały się. Jak czytamy na łamach „Rocznika”: „Z jednej strony sprzyja

JAN ROKITA

publicysta, były polityk i poseł



Błędne koło długu

W 1982 roku rząd Meksyku obwieścił, że nie jest w stanie obsługiwać długu swego kraju, otwierając przewlekły „wielki kryzys zadłużeniowy”. Zaczęło się wtedy od Ameryki Łacińskiej, a katastrofa zadłużeniowa ogarnęła m.in. Brazylię i Argentynę. Wkrótce jednak miało się okazać, że problem długów, których kraje nie są w stanie nie tylko spłacić, lecz nawet prowadzić ich bieżącej obsługi, dotyczy w równej mierze licznych państw Afryki i Azji, zwanych w tamtych latach tzw. Trzecim Światem. A nawet (co Polacy mojego pokolenia doskonale pamiętają) niektórych zrujnowanych krajów komunistycznych, w tym Polski, Rumunii i Węgier.

Dług Trzeciego Świata miał wtedy genezę w kryzysie naftowym przełomu lat 70. i 80. XX wieku, za sprawą którego wielkie kapitały „petrodolarów”, lokowane w zachodnich bankach komercyjnych, popłynęły w części do państw biednych, jako pożyczki. A tamten kryzys rozwiązany został dopiero o pokolenie później – w roku 2005, gdy na szczycie Grupy G8 (jeszcze z udziałem Putina) najbogatsze kraje globu postanowiły doprowadzić do redukcji ⅓ długów Trzeciego Świata. Nawet w Afryce i Azji uznano to wówczas za przełom, który dla najbiedniejszych gospodarek miał oznaczać nową, lepszą przyszłość.

Przypominam teraz tamtą historię, bo właśnie przeglądałem w sieci raport z czerwca 2024 roku, jaki opublikowała Norweska Organizacja Pomocy Kościelnej, mająca (jak to bywa u praktycznych protestantów) swój think tank, zajmujący się kwestią zadłużenia państw najbiedniejszych. Raport ów zresztą odbił się tego lata dużym echem w światowych mediach. Okazuje się, że w roku 2024 tzw. Globalne Południe (czyli z grubsza rzecz biorąc dawny Trzeci Świat) znów stoi w obliczu „najgorszego kryzysu zadłużenia w historii, a prawie połowa budżetów tych krajów jest wydawana na spłatę wierzycieli”. Komentując ów raport w mediach, jeden z jego autorów, Matthew Martin, objaśnia, że

ta sytuacja jest wynikiem rozwoju rynków obligacji w krajach Globalnego Południa, które z łatwością przechodziły na międzynarodowe rynki obligacji, zaciągając dług w prywatnych agresywnych funduszach albo chińskich bankach. A teraz te fundusze wykorzystują sądy, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, do egzekucji swoich należności z kapitałów ulokowanych w afrykańskich czy azjatyckich obligacjach.

Norwegowie alarmują, że sytuacja zmierza do katastrofy, gdyż ponad sto najbiedniejszych krajów przystąpiło do cięć swoich wydatków na zdrowie, szkolnictwo, socjał i środowisko, ponieważ tylko w ten sposób mogą na bieżąco jeszcze obsługiwać swój dług. A taki proces – dodajmy – oznaczać musi jedno z dwojga: albo gwałtowne cofnięcie cywilizacyjne Afryki i Azji, albo nagły wybuch kryzysu niewypłacalności, podobnego do tego z 1982 roku, lecz dotyczącego znacznie większej liczby państw. Co prawda od roku 2020 znów ponawiane są starania o jakiś ratunek dla tych krajów, tym razem zainicjowane przez Grupę G20, ale ponoć nie przynoszą one efektów. Właścicielami obligacji są bowiem w znacznym stopniu agresywne międzynarodowe „vulture funds” (czyli „fundusze – sępy”), które nie zamierzają iść na żadne układy.

Trudno więc uniknąć w takich okolicznościach dwóch – tyleż ponurych, co oczywistych – konkluzji. Kryzys zadłużeniowy końca XX wieku rozwiązywano 23 lata, podczas gdy kryzys obecny wygląda na większy i bardziej zawiły od tamtego. A to znaczy, że Afryka i Azja nieuchronnie wpadną w najbliższych latach w dziurę cywilizacyjną, ze wszystkimi tego konsekwencjami, m.in. przyśpieszeniem wielomilionowej inwazji imigrantów na Europę. Konkluzja druga jest, kto wie, czy nie jeszcze bardziej ponura. Od 2005 roku, kiedy udało się przełamać tamten kryzys, nie minęły nawet dwie dekady, a sytuacja jest dziś jeszcze gorsza niżli przed tamtym rozwiązaniem. To nakazuje sądzić, że odradzający się dług biednych krajów Globalnego Południa ma naturę beznadziejnego błędnego koła. A bankructwo ubogich wisi nad nimi niczym fatum, którego usunąć nikt już chyba nie zdoła. ●

rozsądku przy kupowaniu i wykorzystywaniu tego, co już zostało wyprodukowane. Jak tłumaczy Polskie Stowarzyszenie Zero Waste, „beźsmieciowe” życie sprowadza się w praktyce do konsekwentnego stosowania pięciu zasad (5R):

- **Refuse (odmawiaj)** – np. nie bierz rzeczy niepotrzebnych tylko dlatego, że są bezpłatne, nie daj sobie wcisnąć ulotek i jednorazowych opakowań;
- **Reduce (ograniczaj)** – otaczaj się tylko tym, co jest ci naprawdę potrzebne, dąż do minimalizmu;
- **Reuse (używaj ponownie)** – zrezygnuj z opakowań jednorazowych, odwiedzaj miejsca typu second hand;
- **Recycle (segreguj i przetwarzaj);**
- **Rot (kompostuj)** – odpady biodegradowalne mogą się stać chociażby świetnym nawozem dla roślin.
- Czasem do zasady 5R dodaje się jeszcze jedną „erkę” – **Repair (naprawiaj)**. Barometr Providenta wskazuje, że idea zero waste jest bliska około 60 proc. polskich konsumentów. Właśnie tyłu z nich w ciągu ubiegłego roku oddało lub sprzedało używane rzeczy, przy czym 15 proc. robi to regularnie.

Jedenaste: nie wyrzucaj!

Przybywa osób, które w niepotrzebnych i nieużywanych przedmiotach dostrzegają „drugie życie”, dlatego zamiast wyrzucenia na śmietnik lub „chomikowania” w domu decydują się przekazać je wybranym organizacjom i instytucjom charytatywnym (21 proc.), rodzinie albo znajomym (19 proc.) czy też wystawiają zbędne, ale wciąż pełnowartościowe produkty na sprzedaż przez internet (9 proc.). Dla co trzeciego Polaka powodem przekazywania niepotrzebnych rzeczy jest niechęć wobec marnowania czegokolwiek. Czasem ekonomia jest ważniejsza niż ekologia. Aspekt finansowy i możliwość zarobku na używanych rzeczach bierze pod uwagę 15 proc. ankietowanych – wskazują na to głównie osoby młode do 24. roku życia (23 proc.), zarabiające 3–5 tys. zł (21 proc.) oraz powyżej 5 tys. zł (16 proc.). Z kolei 8 proc. Polaków przekazuje używane przedmioty innym, ponieważ... uległo modzie zero waste.

Moda na „swap party”

Jest jeszcze jedna, nieoczywista moda – na tzw. swap party. To nic innego jak towarzyskie spotkania połączone z wymianianiem się ubraniami. Idea przywędrowała do nas z innych krajów i zyskuje na popularności. Najdłuższą historią może się pochwalić odbywające się od 2012 roku Ciuchowisko. Impreza ma już swoich stałych bywalców. Organizowana jest kilka razy w roku w Warszawie i Krakowie. W dużych miastach Polski można znaleźć również „wymienialnie” odzie-



fol. Shutterstock

Dlaczego przekazuje Pan/Pani nieużywane rzeczy dalej?*

Mnie się już nie przydadzą, a inni skorzystają **49 proc.**

Nie lubię, gdy coś się marnuje **33 proc.**

Ze względów ekologicznych **24 proc.**

Ze względów finansowych **15 proc.**

Uważam, że przedmioty, które posiadam, są unikatowe **11 proc.**

Zero waste to moda, której uległem/uległam **8 proc.**

Źródło: Gumtree

* wskazania nie sumują się do 100 proc., gdyż można było udzielić więcej niż jednej odpowiedzi

ży i sklepy charytatywne. Przykładowo, w stolicy są to m.in. Bazar Miejski i Sue Ryder, w Krakowie – Sklep Charytatywny, a w Poznaniu – Podzielnia czy Magazyn Dobra.

To nie moja bajka

Choć moda z second handów to dziś realna alternatywa dla popularnych sieciówek, nie wszyscy gotowi są kupować odzież „z odzysku”. Górę wciąż biorą znane od lat uprzedzenia. 45 proc. badanych Polaków kojarzy tego typu sklepy z nieprzyjemnym zapachem. Prawie co trzecia osoba narzeka na panujący tam bałagan. 14 proc. respondentów niskie ceny łączy z kiepską jakością produktów. Z kolei najczęstszymi powodami, dla których Polacy omijają second handy, są – według badania Less Group – problemy ze znalezieniem tam odpowiednich ubrań (64 proc. wskazań) i fakt, że nie lubią nosić rzeczy po kimś (45 proc. badanych). Co trzeci ankietowany deklaruje, że nie ma czasu na zakupy w lumpeksach lub nie znajduje tam nic dla siebie.

Second handy, czyli sklepy z używanymi rzeczami, mają historię sięgającą XIX wieku. Właśnie wtedy zaczęły powstawać pierwsze sklepy z odzieżą używaną, nazywane dziś dość obrazowo ciucholandami, szmateksami, lumpeksami, a nawet grzebeksami.

W latach 20. i 30. XX wieku second handy stały się popularne w Stanach Zjednoczonych, gdzie zaczęły powstawać sklepy z używanymi przedmiotami codziennego użytku. W czasach Wielkiego Kryzysu (zaczął się w 1929 roku), gdy wielu ludziom brakowało pieniędzy, lumpeksy były jedynym sposobem na to, by kupić coś taniej i zaopatrzyć się w towary niedostępne w regularnej sprzedaży. W latach 60. i 70. XX wieku szmateksy ponownie zyskały popularność, tym razem jako forma protestu przeciwko konsumpcjonizmowi i marnotrawstwu. Dziś są popularne na całym świecie, a ich oferta obejmuje nie tylko odzież, lecz także książki, meble czy zabawki. Wraz z rozwojem internetu powstały również sklepy on-line, które umożliwiają łatwiejsze i wygodniejsze zakupy.

10 mld dolarów – i to nie jest ostatnie słowo

Globalna wartość rynku odzieży używanej szacowana jest na około 10 mld dol., ale już w 2026 r. przekroczy ona 218 mld dol. Jeśli chodzi o Europę, w ubiegłym roku obroty second handów przekroczyły 40 mld zł. Przewiduje się, że w ciągu najbliższych pięciu lat będą one rosnąć 11 razy szybciej niż sprzedaż detaliczna fabrycznie nowej odzieży.

Choć kolekcje popularnych marek kuszą modnymi fasonami, to coraz więcej Polaków po ubrania na nowy sezon wybiera się nie do sieciówek, lecz do... lumpeksów. Można tam upolować prawdziwe modowe perełki za bezcen. Wyróżnia je często wysoka jakość oraz ponadczasowe wzornictwo. To, co było modne dekadę, dwie lub trzy temu, znów widać na wybiegach. Trendy przychodzą i odchodzą. Ostatnio można zaobserwować

interesujące zjawisko socjologiczne: nastolatki coraz częściej umawiają się dziś nie „na mieście”, ale urządzają spotkania właśnie w szmateksach, gdzie razem szukają fajnych „outfitów” (ang. strój, kreacja).

Niedawno dużym zainteresowaniem cieszyły się, relacjonowane w sieci (a jakże), perypetie pewnej młodej blogerki. Zamieściła ona na swoim instagramowym koncie relację z „rajdu” po grzebeksach, gdzie szukała używanej sukni ślubnej. Przymierzyła ich w sumie kilkanaście. Najtańsza kosztowała... 24 zł. Dziewczyna z dużym zaangażowaniem promowała zakupy z drugiej ręki, klasyfikując ich najważniejsze zalety w pięciu hasłach: jakość i cena, moda powraca, prawdziwe modowe perełki, oryginalność, sposób na wyróżnienie się, inkluzywność (bardziej dla ludzi).

Slow fashion zamiast fast fashion

Popularność szmateksów ma związek z coraz częstszym odwracaniem się – szczególnie młodych ludzi – od tzw. szybkiej mody (fast fashion) na rzecz zrównoważonych zakupów (slow fashion), chroniących zasoby naturalne planety. Trend fast fashion wykształcił w konsumentach potrzebę kupowania odzieży zgodnej z obecnymi trendami – takiej, jaką możemy znaleźć w popularnych sieciówkach. Odzież jest dziś produkowana w hurtowych ilościach i szybko, ale jest nietrwała, a przez to mało ekologiczna. Trudno też być unikalnym, jeśli kupuje się te same ciuchy w tych samych sklepach co inni. Właśnie na bazie poszukiwania tego typu atutów zrodziła się moda slow fashion, z której coraz częściej korzysta pokolenie milenialsów i pokolenie Z. Kluczowa jest tutaj chęć bycia innym i niepowtarzalna możliwość zakupu produktów drogiej marki, na które normalnie osób z tych młodych pokoleń nie stać.

Zero waste – co to właściwie znaczy?

Do przestrzeni publicznej coraz powszechniej przebijają komunikaty, że branża odzieżowa jest jednym z największych trucicieli środowiska. Ta gałąź przemysłu odpowiada za 8–10 proc. światowej emisji gazów cieplarnianych i za produkcję jednej piątej ścieków przemysłowych. Skalę problemu zwiększa niepełne wykorzystywanie odzieży i brak recyklingu – 30 proc. wyprodukowanych ubrań nie zostaje sprzedanych, a na wysypiska co roku trafiają 92 mln ton odpadów stałych wytworzonych przez branżę fashion. Zakupy w second handach mogą być ulgą i dla portfela, i dla naszej planety.

Ostatnio coraz częściej spotykamy się z określeniami „zero waste”, „less waste” czy „ekonomia w obiegu zamkniętym”. Co to właściwie jest? Idea? Trend? Sposób na życie? W zasadzie wszystkie odpowiedzi są poprawne. Najprościej mówiąc, chodzi o zachowanie zdrowego

”

30 proc. wyprodukowanych ubrań nie zostaje sprzedanych, a na wysypiska co roku trafiają 92 mln ton odpadów stałych wytworzonych przez branżę fashion

Tani Armani

Niegdyś kupowanie w lumpeksach było uznawane za powód do wstydu, a pochodzące z takich sklepów ubrania – za kiczowate.

Obecnie second handy biją rekordy popularności nawet wśród zamożnych osób. Na czym polega fenomen sklepów z używaną odzieżą i dlaczego ich obroty rosną aż 11 razy szybciej niż sprzedaż nowych ubrań?



foto: Frania

według własnego uznania, jest konsekwencją kształtu umowy koncesyjnej, zawartej 12 września 1997 r. oraz późniejszych aneksów do niej. W ocenie MI umowa ta jest niekorzystna dla Skarbu Państwa, a interesy kierowców nie zostały w niej należycie zabezpieczone [...]. Zapisy umowy koncesyjnej dają firmie AWSA bardzo szerokie możliwości podnoszenia opłat. Działająca w imieniu rządu GDDKiA nie ma prawa wpływać na wysokość ani częstotliwość zapowiadanych przez koncesjonariusza podwyżek. Obecna zapowiedź podwyżek opłat, podobnie jak poprzednie, jest przez MI oceniana negatywnie, jednak ta opinia nie ma, zgodnie z zapisami ww. umowy, charakteru wiążącego dla koncesjonariusza”. Rzecznik dodawał, że resort od wielu lat uznaje podwyżki wprowadzane na A2 za nieuzasadnione.

A4 na trasie z Katowic do Krakowa – to kolejny koncesjonowany odcinek autostrad w Polsce, zarządzany przez spółkę Stalexport Autostrada Małopolska, która – zgodnie z umową – musi przekazać autostradę stronie publicznej do 2027 roku. To również jedna z najdroższych autostrad w Europie, a jej właściciel zarabia za przejazdy niemałe pieniądze. Według komunika-

tu firmy, który opublikowano po pierwszym kwartale tego roku, w ciągu pierwszych trzech miesięcy 2024 spółka Stalexport Autostrada Małopolska zanotowała 57,18 mln zł skonsolidowanego zysku netto, co oznacza wzrost o 46 procent w porównaniu z analogicznym okresem roku poprzedniego. Źródłem tego ogromnego wzrostu były przede wszystkim podwyżki na bramkach, które dotknęły kierowców wszystkich kategorii pojazdów. Od stycznia do marca 2024 roku firma osiągnęła przychody w wysokości 127 mln zł, czyli ponad 23 procent więcej niż w pierwszych trzech miesiącach poprzedniego roku. Najwięcej do zysków Stalexportu przyczynili się kierowcy samochodów osobowych, wpływy od nich wzrosły o 30 procent. O połowę mniejsza była dynamika wzrostu przychodów od kierowców autobusów i ciężarówek.

Różne systemy płatności w Unii

A jak z autostradami radzą sobie zarządzający tym systemem poza granicami Rzeczypospolitej? W wielu państwach autostrady są bezpłatne, przynajmniej dla kierowców samochodów osobowych. Takie rozwiązanie stosują: Niemcy, Litwa, Belgia, Dania, Szwecja, Finlandia, Holandia, Luksemburg, Cypr, Norwegia i Wielka Brytania. Jeszcze innym systemem jest system winiet, który upowszechnił się w Austrii, Bułgarii, Czechach, Rumunii, na Słowacji, w Słowenii, Szwajcarii oraz na Węgrzech. W niektórych z wymienionych wyżej państw pojawiają się czasami dodatkowo płatne odcinki, które rozliczane są na bramkach, podobnie jak w Polsce. System płatności odcinkowej, poza naszym krajem, stosowany jest też we Francji, w Grecji, Portugalii, Hiszpanii, Chorwacji, Irlandii i we Włoszech.

Przy okazji tego ostatniego państwa mała ciekawostka. Gdyby czytającym te słowa przyszło kiedyś podróżować trasą z Livorno do Genui, to czeka ich podróż autostradą bardzo różną od tych, które znają z Polski. Będzie to droga wijąca się przez gęstą sieć kilkunastu długich tuneli, które wykuto w skałach Apenin Północnych. Podróżnicy przejadą także przez kilka mostów, nierzadko rozciągających się na ogromnych wysokościach, tuż pod szczytami. Podziwiając kunszt włoskich inżynierów, o ile oczywiście warunki na drodze pozwolą, będzie można spojrzeć nie tylko przed siebie, lecz także w dół. Tam, w zaledwie kilku miejscach, gdy skończy się jeden tunel i nie zdąży się jeszcze zacząć kolejny, kilkaset metrów pod tą podniebną autostradą widać będzie zapierającą dech w piersiach przepiękną Zatokę Genueską. Warto wówczas przypomnieć sobie, że za tę niezwykłą przyjemność przyjdzie nam zapłacić na bramkach jedynie 25,3 euro, czyli odrobinę mniej niż za podróż autostradą A2 z Sługocina do Rzepina, którą zbudowano w szczerym, choć przecież także pięknym, wielkopolskim polu. Dodajmy, że w obu przypadkach jest to niemal taka sama odległość. ●

”

Patrząc na ogólną liczbę kilometrów autostrad w danym państwie, nie jest z nami najgorzej, plasujemy się bowiem tuż za Austrią, na 11. miejscu z 27 krajów, które trafiają do większości rankingów

Rzeszy Niemieckiej, takie jak A4 na Dolnym Śląsku czy A6 pod Szczecinem. Łączna długość odcinków dwujezdniowych wynosiła ok. 140 km, a mieliśmy jeszcze jednojezdniowe odcinki. Do 1989 r. wybudowano od podstaw tylko 127 km autostrad: A4 między Katowicami i Krakowem wraz z częścią obwodnicy Krakowa, A2 pomiędzy Wrześnią i Koninem oraz A1 Tuszyn–Piotrków Trybunalski. Najdłuższą dwujezdniową trasą była DK1 łącząca Warszawę z Katowicami, zwana popularnie gierkówką – przypomina GDDKiA. Dodajmy, że kiedy wstępowaliśmy do struktur UE, tj. 1 maja 2004 roku, dysponowaliśmy skromną siecią liczącą zaledwie 720 km dróg szybkiego ruchu. „Wydłużenie tej sieci po przemianach polityczno-gospodarczych 1989 r. było m.in. zasługą wykorzystania funduszy przedakcesyjnych, pożyczek z Europejskiego Banku Inwestycyjnego lub Banku Światowego, inwestycji krajowych i zawartych umów koncesyjnych. W kolejnych latach Polska stała się największym placem budowy dróg w Europie” – chwali się dziś GDDKiA.

To oczywiście prawda, tę zmianę jakości podróży po Polsce widać gołym okiem i jest to w dużym stopniu zasługą skutecznego wykorzystania funduszy unijnych. Trzeba tu jednak dodać, że nie jest to oczywiście relacja jednowymiarowa, bo ponosimy przecież także koszty wynikające z członkostwa w UE, a unijny budżet generowany jest również z naszych składek.

Właściciele i zarobki, czyli kto za to płaci?

Struktura systemu autostrad w Polsce, analizując sprawę pod kątem właścicieli dróg, to dziś ogromny chaos. Spróbujmy go trochę uporządkować, biorąc pod uwagę głównie wspomniane wcześniej koncesjonowane odcinki dróg. Ze wszystkich sześciu autostrad dostępnych w Polsce kluczowe są trzy, które są prawdziwą „żyłą złotą” dla ich właścicieli:

A1 na trasie z Gdańska do Torunia – zarządcą tej drogi jest Gdańsk Transport Company, czyli spółka, która została powołana do życia w 1996 roku, wyłącznie na potrzeby realizacji północnego odcinka Autostrady A1. Posiada koncesję na finansowanie, projektowanie, budowę i eksploatację odcinka A1, którego łączna długość wynosi około 152 km i obejmuje wspomniany fragment autostrady A1. Po wygaśnięciu koncesji, w 2039 roku, GTC zobligowane jest przekazać obiekt stronie publicznej.

Aktualnie opłaty za przejazd autostradą A1 pobierane są na trasie pomiędzy Gdańskiem a Toruniem i wynoszą dla pojazdów osobowych 29,90 zł za przejazd całym odcinkiem. Natomiast kierowca auta tzw. drugiej, trzeciej i czwartej kategorii zapłaci już 71 zł. Od września 2023 r. kierowcy aut osobowych (do 3,5 tony) i motocykli są zwolnieni z opłat, na tę chwilę do końca br. Nie oznacza to jednak otwartych bramek, nadal trzeba pobrać bilet lub korzystać z aplikacji, które umożliwiają przejazd przez bramkę. Darmowy przejazd nie oznacza



też, że firma GTC ponosi straty. Zarówno poprzedni rząd, jak i aktualny płaci koncesjonariuszowi ogromne kwoty z Krajowego Funduszu Drogowego. Jak duże to pieniądze? Oficjalnie szczegóły tej transakcji zasłonięte są tajemnicą handlową. Z Krajowego Rejestru Sądowego wiemy jedynie, że za 2022 rok przychody GTC wyniosły ponad 830 mln zł, a zysk spółki netto osiągnął 350 mln zł. W 2023 roku przychody wyniosły 803 mln zł, a zysk netto – ponad 240 mln zł.

A2 na odcinku z Konina do Świecka – to odcinek zarządzany przez Autostradę Wielkopolską SA, Autostradę Wielkopolską II SA i Autostradę Eksploatacja SA. To jednak dopiero początek. Otóż mierzący 149 km fragment Konin–Nowy Tomyśl zarządzany jest przez spółkę Autostrada Wielkopolska (AWSA), z kolei 106-kilometrowy odcinek Nowy Tomyśl–Świecko – przez spółkę Autostrada Wielkopolska II. Tylko w przypadku tego drugiego odcinka stawki ustalane są przez stronę publiczną. Płatny jest fragment Sługocin–Rzepin, który liczy 227 km i kosztuje – dla pojazdów osobowych – 114 zł, co czyni go jednym z najdroższych na świecie odcinków płatnych autostrad.

Oryginalnie właścicielem koncesji na zarządzanie A2 była firma Autostrada Wielkopolska (AWSA), założona przez Jana Kulczyka w 1992 r. do budowy w Polsce dróg szybkiego ruchu. Po śmierci odziedziczył ją jego syn Sebastian. Należąca do Sebastiana Kulczyka grupa KI One miała 23,8 proc. udziałów w spółce Autostrada Wielkopolska (AWSA) i 40 proc. udziałów w Autostradzie Wielkopolskiej II (AWSA II.). We wrześniu 2023 roku Kulczyk junior sprzedał udziały w Autostradzie Wielkopolskiej, a nowym właścicielem stał się francuski fundusz inwestycyjny Meridiam. Wartość transakcji miała wynieść ok. 3 mld zł. Negatywnie tę transakcję opiniował Szymon Huptyś, ówczesny rzecznik prasowy Ministerstwa Infrastruktury, który tłumaczył, że „fakt, iż prywatny koncesjonariusz może kształtować ceny

Z roku na rok rośnie liczba polskich kierowców, którzy korzystają z autostrad. Według analizy Autopay aż 41 proc. badanych deklaruje, że jechało drogą tego typu co najmniej kilka razy w ciągu ostatniego roku. To kilka punktów procentowych więcej niż w ubiegłym roku. Stale rośnie też odsetek tych kierowców, którzy korzystają z autostrad ze znacznie większą regularnością, często nawet kilkadziesiąt razy do roku. Duża część polskich autostrad to odcinki koncesjonowane, a to znaczy, że rosną też zyski tych, którzy mają prawo do pobierania opłat z przejazdów

Definicja „autostrady” nie jest wcale tak oczywista, jak mogłoby się wydawać. Dość powiedzieć, że większość państw ma własną definicję drogi tego typu i kryteriów, które trzeba spełniać, aby uznać drogę za autostradę. Każdy, kto podróżował choćby po Europie, ma też świadomość, jak różnie (mimo wielu oczywistych podobieństw) wyglądają tego typu drogi w innych państwach. Począwszy od ukształtowania terenu, liczby i szerokości pasów jezdni, poprzez jakość infrastruktury dodatkowej, aż po limity prędkości i cały szereg innych czynników, które definiują autostradę.

W Polsce tę kwestię reguluje art. 3 pkt 2 i art. 4 pkt 11 Ustawy z dnia 21 marca 1985 r. o drogach publicznych i z art. 2 pkt 3 Ustawy z dnia 20 czerwca 1997 r. – Prawo o ruchu drogowym. Zgodnie z tymi wytycznymi wiemy, że autostradą jest droga przeznaczona do ruchu wyłącznie pojazdów samochodowych, która posiada „z wyjątkiem uzasadnionych przypadków” oddzielne jezdnie dla obu kierunków ruchu. Jest oznaczona odpowiednimi znakami i może się łączyć lub krzyżować na różnych poziomach z innymi drogami transportu lądowego i wodnego.

”

Cała europejska sieć autostrad liczy ponad 81 tys. km. Pierwsze miejsce na podium zajmują aktualni mistrzowie Europy w piłce nożnej, którzy posiadają 15 930 km autostrad. Za Hiszpanami w tym rankingu są gospodarze ostatnich mistrzostw: Niemcy mają 13 180 km autostrad. Trzecie miejsce zajmują Francuzi, z 11 710 km

Mimo obiektywnych różnic wynikających z różnorodnych czynników sporo jest więc i takich elementów, które pokazują, że autostrady w wielu miejscach świata mają dużo cech wspólnych. To o tyle ważne, że za chwilę przejdziemy do analizy kosztów przejazdu i wówczas będziemy mogli zadać pytanie o to, co tak naprawdę je generuje.

Na papierze jest nieźle

W Polsce mamy – według stanu na sierpień 2024 roku – łącznie 3 293,3 km dróg ekspresowych i 1 849,2 km autostrad, w tym 465 km tzw. autostrad koncesyjnych. Te ostatnie później opiszemy szerzej, na razie pozostawmy przy tym, że tak definiuje je Generalny Dyrektor Dróg Krajowych i Autostrad. Łącznie w Polsce jest 5 124,5 km dróg szybkiego ruchu.

Cała europejska sieć autostrad liczy ponad 81 tys. km. Pierwsze miejsce na podium zajmują aktualni mistrzowie Europy w piłce nożnej, którzy posiadają 15 930 km autostrad. Za Hiszpanami w tym rankingu są gospodarze ostatnich mistrzostw: Niemcy mają 13 180 km autostrad. Trzecie miejsce zajmują Francuzi, z 11 710 km.

Patrząc na ogólną liczbę kilometrów autostrad w danym państwie, nie jest z nami najgorzej, plasujemy się bowiem tuż za Austrią, na 11. miejscu z 27 krajów, które trafiają do większości rankingów. Wbrew tej liczbie nie zawsze są to państwa UE, tylko te, w których jest co i jak mierzyć. Zatem, biorąc pod uwagę moment startu, nie jest to zły wynik, choć oczywiście nieco gorzej jest wówczas, kiedy spojrzymy na relację całości terytorium do liczby dróg szybkiego ruchu. Tu widać, że mamy jeszcze sporo do zrobienia.

Jednocześnie nie sposób nie zauważyć, że wielkim motorem zmian w polskim systemie dróg szybkiego ruchu były fundusze europejskie, które pomogły nam zbudować prawie 970 km autostrad i ponad 2 930 km dróg ekspresowych. GDDKiA regularnie publikuje na swoich stronach internetowych zestawienia pokazujące, jak długą drogę udało nam się w ostatnich latach przejść, de facto redefiniując myślenie o systemie drogowym w Polsce.

„Przez kolejne lata PRL-u dużą część autostrad stanowiły trasy, których budowę zapoczątkowano w czasach

Kto zarabia na polskich autostradach?



fol. Patra

które z Brazylii czy Chin będzie miało dotrzeć do Warszawy, nie zostanie przejęte w Hamburgu lub Bremie?

Jak zabezpieczyć rynek europejski

Jeżeli jako UE chcemy dalej lansować model „zielonego, przyjaznego planecie rolnictwa”, a jednocześnie nie obawiać się pozbawiania żywnościowej suwerenności, musimy dać naszym rolnikom narzędzia, które pozwolą im konkurować z tańszymi, mniej ekologicznymi dostawcami spoza UE. Zwraca na to uwagę minister Gembicka. – Po pierwsze, konieczne jest zabezpieczenie rynku europejskiego, jeśli chodzi o te produkty sprowadzane z zewnątrz, z państw trzecich – więc albo jakieś dodatkowe cła lub tzw. podatek (czy to będzie od śladu węglowego, czy będziemy go nazywać inaczej), który będzie dotyczył tych produktów z Ameryki Południowej albo z innych kontynentów, nawet z Ukrainy. Pamiętajmy, że przecież cła na większość zbóż z Ukrainy zostały zniesione już w 2014 r. – tłumaczy posłanka PiS.

Choć w okresie pokoju ukraińskie zboża nie stanowiły konkurencji dla uprawianych w państwach UE, to po rosyjskiej inwazji i zablokowaniu czy zajęciu portów czarnomorskich przez wojska rosyjskie i konieczności zbytu ukraińskich produktów rolnych oraz wykorzystaniu europejskiej sieci dostaw, problem zaczął eskalować. To jednak niejedyny aspekt, na którym musimy się skupić, jeżeli chcemy bronić europejskich rolników. – Druga sprawa to wsparcie tej „zielonej transformacji” w rolnictwie. Jeżeli chcemy od rolników wymagać i narzucać im dodatkowe ograniczenia czy wymogi, to trzeba to zrekompensować, trzeba na to przeznaczyć środki. Tutaj szansą jest choćby rolnictwo precyzyjne, czyli więcej środków na przyrządy, które pozwalają na bardzo precyzyjne dawkowanie, jeśli chodzi np. o wodę, nawozy, środki ochrony roślin. Natomiast to wszystko kosztuje, nie są to tanie urządzenia – zauważa była minister rolnictwa.

Niszczyć planetę w imię Zielonego Ładu

Co ciekawe, europejscy rolnicy i konserwatyści – wbrew temu, co sugerują lewicowo-liberalne media – wcale nie są zwolennikami wolnoamerykanki na rynku rolnym. Co więcej, część „zielonych regulacji” jest przez nich popierana – o ile dotyczą poprawy jakości produktów rolnych i mięsnych. Nikt w Europie nie protestuje przeciwko standardom, które mają ograniczać faszerozowanie upraw pestycydami, a zwierząt hodowlanych antybiotykami. „Jesteśmy tym, co jemy, i nie chcemy się faszerozować rakotwórczymi chemikaliami” – mówią. A taką właśnie żywność mogą zaoferować nam kraje Mercosuru. Przykład – argentyńska soja i wołowina.

W Argentynie od kilku lat gigantyczne sojowe farmy budzą coraz większy społeczny sprzeciw. W prowincjach, w których niegdyś uprawiono ryż, dziś na

”

Garcia Arriola: UE powinna kontrolować ceny produktów rolnych i porzucić politykę umów o wolnym handlu, w tym od dawna wstrzymywanej umowy handlowej z Mercosurem

przemysłową skalę uprawia się właśnie soję – jej zasięg obejmuje już ponad 60 proc. terenów uprawnych. Soja ta przeznaczana jest zarówno do celów konsumpcyjnych, jak i paszowych. Okazuje się, że to nowe argentyńskie złoto ma być przyczyną zatrucia ludzi i gleby. Tak przynajmniej twierdzą argentyńscy obrońcy środowiska. Coraz więcej zagranicznych, ale też polskich mediów informuje, że w ostatnich latach na tych terenach zaczęły masowo pojawiać się niewystępujące tam wcześniej nowotwory oraz zmiany genetyczne ludzi i zwierząt. „Widzicie park? Dom na rogu: syn – białaczka, ojciec – guz mózgu, senior za zakrętem – rak języka, 52 lata. Dalej – Deni, po dwudziestce, osierociła dwie córeczki. Tu kolega śpi z aparatem tlenowym. A na rogu rak szczęki” – mówił dziennikarzom „Gazety Wyborczej” lokalny działacz Andrea. „Wszyscy tak skończymy. Ludzie nie rozumieją, że to, co ich karmi, sprawia, że umierają” – dodaje.

Wielkim i nieuprawnionym uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że winna chorób jest soja. Przyczyny należy szukać gdzie indziej – w jej masowym i przemysłowym sposobie uprawy. Dniami i nocami nad ogromnymi obszarami Argentyny krążą samoloty rozpylające środki modyfikujące ją genetycznie, by była jak najbardziej wydajna i jak najbardziej odporna na choroby. Rozpylane substancje wnikają w glebę i zatrują wody gruntowe. Dostają się do warzyw rosnących w przydomowych ogródkach i do wody, którą piją hodowane tam zwierzęta. A argentyńska soja trafia na cały świat. Co się stanie, gdy granice dla południowoamerykańskich towarów staną całkowicie otwarte? Argentynska soja to tylko jeden z bardziej rażących przykładów. Wszystko wskazuje na to, że podobne praktyki stosowane są również w Brazylii, gdzie pod uprawy rolne wycina się coraz większe areale lasów tropikalnych.

Z jednej więc strony Unia Europejska, w ramach walki ze zmianami klimatycznymi, próbuje narzucić europejskim rolnikom Zielony Ład i idące wraz z nim ograniczenia, z drugiej zaś – rozważa otwarcie granic dla produktów pochodzących z terenów, gdzie środowisko naturalne jest degradowane. Jeżeli to ma być plan na zdrową i ekologiczną europejską żywność, to trzeba przyznać, że trudno go zrozumieć. ●



fot. Andrzej Wiktor

przede wszystkim o wieprzowinie, wołowinie i drobiu, których hodowla już dzisiaj staje się w Europie coraz mniej opłacalna. „To obniża ceny krajowe” – powiedział. I dodał, że UE faworyzuje „zorientowany na eksport model produkcji dla rolnictwa”.

Jak zauważył hiszpański rolnik, prowadzenie polityki wolnego handlu koliduje z założeniami Zielonego Ładu i strategii „od pola do stołu”, której celem jest uczynienie systemów żywnościowych UE bardziej zrównoważonymi. Aby spełniać europejskie standardy, należy się liczyć ze znacznymi nakładami, które już dziś uderzają w naszych rolników. Jak mówi była minister, najlepiej przekonali się o tym rolnicy ukraińscy, którzy chcieli otrzymać takie same dopłaty z UE jak te funkcjonujące w Europie. – Podobna sytuacja jest z Ukrainą. Co ciekawe zresztą, Unia Europejska zaczęła ukraińskim rolnikom wypłacać dotacje – tym do 120 hektarów – natomiast już w lutym tego roku pojawiła się informacja, że Ukraińcy stwierdzili, że podziękują za nie, bo jeśli mają spełniać wymogi Zielonego Ładu, to im się to nie opłaca – wyjaśnia posłanka PiS.

Niebezpieczna zielona ścieżka

Jak widać, ekologiczne rolnictwo nie ma nic wspólnego z konkurencyjnością i jeżeli europejskie nowe standardy będą wdrażane, wielu rolnikom nie będzie się opłacało uprawiać ziemi. Zresztą wyludnianie wsi i porzucanie gospodarstw widzimy w Polsce od lat. Obecna

polityka UE tylko pogłębia ten kryzys. Dla naszego kraju to scenariusz szalenie niebezpieczny, ponieważ w znacznym stopniu uderza w suwerenność i czyni nas zależnymi od silniejszych państw. – Musimy pamiętać, że za opłacalnością idzie kwestia bezpieczeństwa żywnościowego. Jeżeli rolnicy będą rezygnować z gospodarstw, to my jako kraj przestaniemy być samowystarczalni żywnościowo – zauważa minister Anna Gembicka. – Jeśli komuś się wydaje, że my możemy tę żywność sprowadzić z innych kontynentów, to się grubo myli. Pandemia pokazała, do czego mogą w bardzo szybkim tempie – bo tu nie było trzeba wcale dużo czasu – doprowadzić przerwane łańcuchy dostaw, gdzie momentalnie możemy przestać mieć dostęp do żywności – dodaje.

Podczas pandemii koronawirusa byliśmy jednym z nielicznych państw europejskich, które nie musiały się obawiać zamknięcia granic na produkty rolne i żywność, a tym samym pustych półek w sklepach. Z perspektywy czasu dziś wydaje się to abstrakcyjne, ale przypomnijmy sobie, jakie obawy pojawiały się wówczas. Walka o towary i produkty, których w Europie brakowało, nie miała nic wspólnego z uczciwą rywalizacją. Trudno nie pamiętać, w jaki sposób Niemcy bezprawnie przejęli maseczki i inne środki ochrony osobistej, które miały dotrzeć przez niemieckie porty z Azji do Włoch, gdzie pandemia zbierała śmiertelne żniwo. Czy mamy prawo przypuszczać, że w przypadku, gdy w grę będzie wchodziło wyżywienie obywateli, zachowają się inaczej? Czy zboże,



foto: Ludmiła Kozakova

PIOTR FILIPCZYK

O tym, że Unia Europejska ma zakusy, by jeszcze bardziej osłabić europejskie rolnictwo (a tym samym zwiększyć hegemonię w Europie państw nierolniczych), wiadomo nie od dzisiaj. Decydenci z Brukseli i Strasburga dwoją się i troją, by za pomocą ekologicznych dyrektyw oraz zarządzeń obniżać konkurencyjność, a tym samym zmniejszać opłacalność upraw na Starym Kontynencie. Mówi się, że europejską żywność ma zastąpić ta sprowadzana z Ameryki Południowej, a nawet z Azji.

Sprowadzanie zamiast uprawiania

Uwagę na ten problem zwraca m.in. była minister rolnictwa i wieloletnia wiceszefowa tego resortu Anna Gembicka. – Największym wyzwaniem jest zapewnienie opłacalności w rolnictwie, z czym borykają się polscy i w ogóle europejscy rolnicy – zauważa była minister w rządzie Mateusza Morawieckiego. Anna Gembicka wskazuje na kilka znaczących problemów zaserwowanych przez organy Unii Europejskiej, z którymi mierzyć się będą europejscy farmerzy. – To np. dążenia UE do zawarcia umowy z krajami Mercosuru [Mercado Común del Sur – Wspólny Rynek Południa, międzynarodowa organizacja gospodarcza powołana w roku 1991, zrzeszająca kraje Ameryki Południowej – przyp. red.], czyli tak naprawdę otworzenia rynku europejskiego na produkty z Ameryki Południowej, co stworzy ogromne zagrożenie dla rolników z Unii Europejskiej. My mamy dosyć wyśrubowane standardy, jeśli chodzi o żywność, natomiast żywność sprowadzana z innych państw już tych standardów nie musi spełniać – zauważa Gembicka.

Zdanie byłej minister nie jest w Europie odosobnione. Podobnie uważają rolnicy zrzeszeni w Europejskim Związku Rolniczym Via Campesina (ECVC) – organizacji, która już w latach 90. wprowadziła na europejskie salony pojęcie „suwerenności żywnościowej”. „UE powinna kontrolować ceny produktów rolnych i porzucić politykę umów o wolnym handlu, w tym od dawna wstrzymywanej umowy handlowej z Mercosurem” – mówił w lipcu 2024 r. w wywiadzie dla portalu Euractiv przedstawiciel ECVC Garcia Arriola, hiszpański rolnik i członek komitetu koordynacyjnego organizacji, który przekonuje, że Związek będzie się starał sparaliżować te negocjacje. Co ciekawe, największym zwolennikiem podpisania umowy z rolniczymi potęgami Ameryki Południowej – Brazylią, Argentyną czy Paragwajem – jest Europejska Partia Ludowa, w której szeregach zasiadają politycy Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz niemieckiej CDU-CSU. Garcia podkreślił, że polityka wolnego handlu przyczynia się do zastępowania lokalnych produktów rolnych produktami importowanymi. Mowa tu nie tylko o zbożach, lecz

Plan eurokratów: ziemię zaorac, żywność sprawadzać

Końcówka ubiegłego i początek nowego roku upłynęły pod znakiem protestów rolniczych. Choć wiosną największe z nich ustały, to wcale nie oznacza, że konflikt na linii rolnicy–rząd czy szerzej rolnicy–UE został rozwiązany. Problemy nie zniknęły.

Można się spodziewać, że jesienią, po żniwach, protesty powrócą z nową siłą

PROF. MAŁGORZATA ZALESKA

Dyrektor Instytutu Bankowości SGH
Członek korespondent PAN

Cyfryzacja bankowości stwarza wiele wyzwań

Swiat bankowości zmienia się, co jest oczywiste we współczesnych czasach. Banki stają się coraz bardziej cyfrowe. Najbardziej „ucyfrowione” banki oferują już praktycznie niczym nieograniczony i natychmiastowy zdalny dostęp do swoich standardowych produktów (zarówno depozytowych, jak i kredytowych).

Dzięki transformacji cyfrowej nie pojawiły się jednak nowe, przełomowe produkty, lecz unowocześniono już istniejące (np. przelewy były już dawno, ale obecnie są natychmiastowe i „na telefon”). Przełomem może być zaś dopiero powszechne wdrożenie pieniądza cyfrowego banku centralnego (CBDC), które uzależnione jest jednak od decyzji organów państwa, a nie od samych banków.

Cyfryzacja pozwala z pewnością personalizować ofertę produktową. Wiąże się z tym nie tylko korzyści, lecz również wyzwania. Klienci nie są bowiem w stanie w pełni docenić tej personalizacji, bo nie wiedzą, jaka oferta została skierowana do innych klientów, a ponadto nawet standardowa oferta może spełniać ich oczekiwania. Równocześnie klienci przestają się tak mocno identyfikować ze swoim „cyfrowym” bankiem jak wcześniej z bankiem tradycyjnym/stacjonarnym. Tym samym każda nowa oferta innego banku, niekoniecznie lepsza, ale lepiej zareklamowana, może spowodować przejście klientów do innego banku. Takie zachowanie może jednak prowadzić nawet do zagrożeń systemowych, np. w postaci nagłego odpływu depozytów z banku, nie z uwagi na jego trudną sytuację finansową, tylko lepszą reklamę konkurencji.

Powszechna cyfryzacja prowadzi też do zmniejszania liczby oddziałów stacjonarnych banków, a tym

samym ograniczenia kosztów ich działania. Coraz częściej można również usłyszeć, choć mówiło się o tym także już ćwierć wieku temu, że oddziały banków znikną. Otóż w najbliższej przyszłości nie znikną, choć ich liczba będzie się nadal zmniejszać. Wniosek taki można wysnuć chociażby po obserwacji postaw klientów wobec tzw. neobanków, które już dziś nie posiadają oddziałów. Klienci chętnie z nich korzystają, ale tylko w odniesieniu do najprostszych produktów depozytowych i rozliczeniowych oraz małych kwot.

Większe wartości i bardziej złożone produkty to wciąż domena banków z oddziałami. Oddziały będą stawiały się zatem coraz bardziej centrami doradztwa i zmniejszały swoją rolę w zakresie oferowania prostych produktów. Oferta oddziałów będzie zaś skierowana przede wszystkim do bogatych klientów indywidualnych i przedsiębiorstw.

Kolejne wyzwanie związane z cyfryzacją nawiązuje do prawodawstwa, a konkretyzując: prawo pozostaje w tyle za zmianami w zakresie nowych technologii. Regulacje prawne dotyczące sektora bankowego nawet całkiem nieźle nadążają za transformacją cyfrową. Gorzej jest jednak w zakresie regulacji ogólnych lub też dotyczących obszarów istotnych dla banków, ale spoza sektora, np. rynku nieruchomości czy spisów i rejestrów publicznych. Taka sytuacja wynika z faktu, że rewolucja technologiczna w tych obszarach

wymaga zaangażowania i istotnych nakładów państwa, a ono co do zasady działa wolniej niż sektor prywatny.

Powyższe refleksje nie wyczerpują listy wyzwań związanych z cyfryzacją bankowości. Wspomnieć można jeszcze chociażby o bardzo ważnym zagadnieniu cyberbezpieczeństwa, ale to temat na szersze i odrębne rozważania, nie zawsze w trybie jawnym. ●

”

**Większe wartości
i bardziej złożone
produkty to wciąż
domena banków
z oddziałami.**

**Oddziały będą stawiały
się coraz bardziej
centrami doradztwa
i zmniejszały swoją
rolę w zakresie
oferowania prostych
produktów**

—

jest jasna deklaracja MON. Nie chodzi tutaj o możliwość redukcji wydatków, ale o to, że wzrost wydatków może być mniejszy od zakładanego wcześniej! – wyjaśnia.

Jak to możliwe? Szopa tłumaczy, że dokument, który wyciekł z MON, był prawdziwy i stanowi on dowód na pewną debatę, która rozgrywa się między wojskiem, MON i resztą rządu. Czy więc wzrost wydatków może z czasem ulec zmniejszeniu? Jak mówi ekspert: – Może tak być, ale nie musi. Dokument, który wypłynął, jest zgodny z deklaracjami MON i Sztabu Generalnego, i stanowi jedną z propozycji, która była dyskutowana. Generał Kukula powiedział też, że obecnie jest ogromny napływ chętnych do wojska i trwa dyskusja, czy nie rekrutować w związku z tym więcej żołnierzy, niż planowano w tym roku. To generuje jednak większe koszty i może się przyczynić do redukcji wydatków na modernizację.

Mogłoby to wyjaśniać reakcję obecnej opozycji na ów dokument – wszak modernizacja Wojska Polskiego i jego pełne u-NATO-wienie były oczkiem w głowie Mariusza Błaszczaka oraz jego ekipy. Obecny MON deklaruje dalszą modernizację, powołując nawet tzw. Dowodztwo Transformacji, które ma koordynować proces. Jednak wątpliwości co do przyszłości pozostają.

Czy istnieje więc zagrożenie dla wydatków wojskowych? Wielu komentatorów wskazuje, że dla obecnego rządu motywatorem do utrzymania obecnych wydatków i dalszego ich zwiększania może być zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA. Jak podkreśla w rozmowie z „Gazetą Bankową” Szopa: – Niezależnie od wyboru Trumpa bądź nie Polska powinna i planuje utrzymać duży poziom wydatków obronnych. Na tę chwilęłożymy największy odsetek na obronność ze wszystkich w NATO. Nawet gdybyśmy zahamowali ten wzrost, to znacznie przekraczamy zalecane przez sojusz PKB i z punktu widzenia Trumpa (a przynajmniej tego, co obecnie mówi) jesteśmy fair wobec sojuszników, a co za tym idzie – Stany Zjednoczone pomogą nam się bronić w wypadku agresji.

W podobnym tonie wypowiada się resort obrony. Jak wskazało ministerstwo w oświadczeniu, krótko po ujawnieniu dokumentów, nieplanowane są żadne cięcia budżetowe. „W rzeczywistości, w przyszłym roku planujemy zwiększenie budżetu na armię o 10 proc., co jest elementem długoterminowej strategii bezpieczeństwa narodowego, mającej na celu wzmocnienie naszych sił zbroj-



fol. kpr. Sławomir Kozid, 18. Dymizja Zmierzchniowana

nych w obliczu obecnych zagrożeń geopolitycznych”. Dodatkowo w rozmowie z „Gazetą Bankową” rzecznik prasowy MON wskazuje, że nie ma mowy o zmniejszaniu kwot na bezpieczeństwo Polski: – Wydatki na obronność są naszym priorytetem. Budżet na obronność w 2025 r. będzie rekordowy. Szacujemy, że będzie to wzrost o około 10 proc. względem 2024 r. – w 2024 r. budżet na armię wyniesie w sumie ok. 159 mld zł (środki MON + Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych). Należy podkreślić, że wielkości te mają charakter wstępny i będą podlegały doprecyzowaniu na etapie opracowywania projektu budżetu i prac parlamentarnych. Ostateczną decyzję w zakresie wielkości budżetu resortu obrony narodowej podejmie Rada Ministrów.

A kwestia Trumpa? Czy republikański prezydent mógłby się odwrócić od Europy, zostawiając ją własnemu losowi? Tutaj MON twardo obstaje przy dalszym utrzymaniu bliskich relacji z Ameryką, także w dziedzinie obronności. Jak wskazał MON w odpowiedzi na pytania „Gazety Bankowej”: „Wzmacnianie partnerstwa strategicznego z USA stanowi jeden z głównych filarów polityki bezpieczeństwa i obrony Polski. Relacje w tej dziedzinie z partnerem amerykańskim pozostają niezmiennie, niezależnie od zmian administracji rządzącej. Dobrym przykładem efektywnej kooperacji z USA jest skala realizowanych zakupów uzbrojenia i sprzętu wojskowego w Stanach, niewątpliwie przyczyniających się do zwiększania potencjału obronnego Sił Zbrojnych RP, oraz obecność wojsk USA w Polsce, mająca wymierny wpływ na potencjał odstraszania i obrony”. Jak dodał MON: „Niezależnie od wyników wyborów prezydenckich w USA działania Polski pozostaną stałe i będą ukierunkowane na kontynuację rozwoju oraz rozszerzania relacji dwustronnych z partnerem amerykańskim”.

Spory o finansowanie obronności będą bez wątpienia trwać i kwestia wysokości środków na wojsko oraz kwestie bezpieczeństwa naszego kraju jeszcze nie raz rozpalą opinię publiczną. Obecnie wydaje się, że kwestia bezpieczeństwa jest priorytetem – zarówno dla rządu, jak i opozycji. Czy jednak trend ten będzie utrzymany? Zapewne tak, dopóki istnieje zagrożenie ze strony Rosji i ogólnoświatowa, geopolityczna niepewność. ●

”

Wydatki na obronność dotyczą nie tylko zakupów sprzętu, lecz także prac badawczo-rozwojowych

potężne cięcia wydatków na obronność. „[Rządzący – przyp. redakcji] planują obniżenie wydatków na obronność: o 9 proc. w 2025 r., o 11 proc. w 2026 r., o 30 proc. w 2027 r., o 44 proc. w 2028 r. To cios w nasze bezpieczeństwo! Oczekujemy natychmiastowych wyjaśnień!” – napisał wtedy Błaszczak. W roku 2028 cięcia miałyby wynieść prawie 50 proc.

TV Republika informowała o tajnym dokumencie, z którego wynikało, że „MON planuje ograniczyć wydatki na obronność o 25 proc. (o ok. 57 mld zł) w latach 2025–2028”. Negatywnie do dokumentu miał się odnieść sam szef Sztabu Generalnego WP gen. Wiesław Kukula. Według wspomnianego pisma realizacja takich projektów jak transformacja techniczna Sił Zbrojnych, Narodowej Rezerwy Amunicyjnej czy „Tarczy Wschód” byłaby niemożliwa. Tego samego dnia, kiedy ujawniono dokument, grupa posłów PiS interweniowała w MON, chcąc się dowiedzieć, czy dokument jest autentyczny. MON szybko potwierdziło jego prawdziwość, jednak kilka godzin później ów dokument utajniło.

Sam szef Ministerstwa Obrony Narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz zadeklarował, że wydatki nie tylko nie spadną, lecz wręcz zostaną zwiększone. „Według naszych planów wydatki na obronność wzrosną o co najmniej 10 proc. w porównaniu z tegorocznym budżetem” – wskazał Kosiniak-Kamysz. Z kolei minister finansów Andrzej Domański dodał, że wydatki na obronność to priorytet: „Wydatki na obronność są naszym priorytetem. W przyszłym roku wzrosną nie tylko nominalnie, lecz również w relacji do PKB”.

Do wyjaśnień włączyli się też wojskowi. „Nie mówimy o żadnej redukcji wydatków obronnych oraz żadnej redukcji budżetu resortu obrony narodowej. Ten budżet – przy naszych szacunkach aktualnych, które trwają – będzie wzrastał rok do roku” – mówił na początku lipca gen. bryg. Sławomir Kozicki, który w MON odpowiada za planowanie i wykonywanie budżetu resortu, dodając: „Aktualnie oczekujemy na potwierdzenie limitów wydatków obronnych przez Ministerstwo Finansów. Gdy takie limity otrzymamy, przystąpimy do realizacji czynności związanych z procesem planowania budżetowego”.

Rokroczny wzrost

A jak wyglądały wydatki na obronność przed rokiem 2024? Jak poinformowało Polską Agencję Prasową Ministerstwo Finansów w październiku 2023 roku, „wydatki budżetu we wrześniu były większe o ponad 24 mld zł m.in. ze względu na większe wsparcie dla samorządów i przekazanie środków dla Funduszu Modernizacji Sił Zbrojnych”.

I faktycznie – jak podaje „Dziennik Zbrojny” – w 2023 r. wydatki na obronność z budżetu państwa i z Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych (FWSZ) sięgnęły 111,20 mld, co stanowi wzrost o 51 proc. względem 2022 roku, czyli o 37,6 mld zł. Tym samym w roku 2023 wydatki na obronność stanowiły 3,26 proc. PKB (według szacunków GUS).

Warto dodać, że wydatki na obronność dotyczą nie tylko zakupów sprzętu, o których tak często pisaliśmy w poprzednich numerach „Gazety Bankowej”, lecz także prac badawczo-rozwojowych, które mają generować technologie dla Polskich Sił Zbrojnych. Tutaj wydatki sięgnęły 1,601 mld zł i ustanowiły rekord. Wzrost ten ma swój wyraźny „morski” wątek, mianowicie spora część prac badawczo-rozwojowych obejmowała konstrukcję fregat wielozadaniowych Miecznik.

Tym samym w ubiegłym roku Polska nie tylko przeznaczyła rekordowo dużą część swego PKB na wydatki obronne, lecz również znalazła się w elitarnym gronie państw NATO, które wydają ponad 2 proc. PKB na te cele. Obok naszego kraju w gronie tym znajdują się Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Grecja, Rumunia, Węgry, Słowacja, Estonia, Łotwa i Litwa oraz nowy członek NATO – Finlandia.

Limit 2 proc. ma znaczenie nie tylko finansowe, lecz także polityczne. Kandydat Republikanów na prezydenta USA, Donald Trump, nigdy nie krył swego sceptycyzmu względem Sojuszu. I tak w czerwcu wskazywał, że NATO miało swój udział w wybuchu wojny na Ukrainie. Zaś w kwietniu deklarował, że nie chce, by „coś złego” przytrafiło się Europie, ale będzie się domagać, by kraje Starego Kontynentu „płaciły swoje rachunki”. „Rachunkami” ma być właśnie 2 proc. PKB na obronność.

Polska na obecną chwilę może czuć się bezpieczna – nie tylko ze względu na wysokie wydatki na obronność, lecz także z powodu znacznej „nadpłaty” w limicie PKB. I choć wciąż czekamy na oficjalne dane dotyczące realizacji budżetu obronnego za rok bieżący, to bez wątpienia będziemy mieli do czynienia z „górką”, jeśli chodzi o przekraczanie 2-procentowego PKB na obronność.

Więcej, czyli mniej?

Mimo dementi Ministerstwa Obrony Narodowej wątpliwości dotyczące finansowania obronności pozostały. Potrzeby budżetowe są jednak duże i może dojść do sytuacji, w której kwestie bezpieczeństwa nie zostaną uznane za priorytetowe. Jak wskazuje Maciej Szopa, analityk i ekspert ds. wojskowości z Defence24, nasz kraj może wpaść w pewną finansową pułapkę. – Polska wydaje bardzo duże kwoty na obronność i jest to duży odsetek jej PKB. Kwota i odsetki będą nadal rosły i tutaj

3,26
proc.

w 2023 roku wydatki na obronność stanowiły taką część naszego PKB



fot. kpr. Sławomir Kozioł, 18. Dywizja Zmechanizowana

ARKADY SAULSKI

Kolejne miliardy na obronę

Wydatki na obronność muszą być wysokie, gdyż zagrożenie ze Wschodu nie spada. Armia musi się modernizować, by sprostać wymaganiom współczesnego pola walki

Kiedy przed kilkoma tygodniami media ujawniły dokumenty sugerujące obniżkę wydatków na obronność, przez świat polityki przetoczyła się burza. Czy dziś wiemy więcej o finansowaniu potrzeb obronnych Polski? I czy budżet na potrzeby wojska będzie zwiększany, czy wręcz przeciwnie?

Znikający dokument

Na początku lipca były szef MON Mariusz Błaszczak na platformie X poinformował o „sabotażu”, jakiego wobec wojska ma dopuszczać się premier Donald Tusk. Błaszczak powoływał się na doniesienia Telewizji Republika, która miała dotrzeć do utajnionego dokumentu MON, z którego wynika, że rząd planuje

że jesteśmy krajem, miejscem, w którym popiera się te imperialistyczne cele polityki rosyjskiej. Trudno mi sobie wyobrazić coś, co miałyby po tych dwóch latach bardziej obrazić Polaków. Takich wypowiedzi było zresztą znacznie więcej: były wypowiedzi wice-ministra rolnictwa, pani wicepremier odpowiedzialnej za sprawę integracji europejskiej. Stąd według mnie narasta obojętność, której jesteśmy świadkami. Nie z tego powodu, że Polacy uznali ten wysiłek, który ponosi naród ukraiński, za jakoś mniej istotny. Wyraźnie ciągle jeszcze sympatia dla sprawy ukraińskiej jest silna. Ale postawa ukraińskich polityków rodzi coraz większy dysonans i coraz większy dystans. Czy prezydent Zełenski, który w tym czasie kilka razy przejeżdżał przez Polskę, w jakikolwiek sposób skomentował to, co mówił w drugiej połowie ubiegłego roku? No nie.

Może to sygnał, że mamy znaleźć swoje miejsce w szeregu, w ewentualnych zabiegach o udział w odbudowie Ukrainy?

W tej sprawie jestem wielkim optymistą. Jednym z krajów, które najwięcej skorzystają na ukraińskiej transformacji, na odbudowie Ukrainy, będzie Polska. Będziemy głównymi beneficjentami tego procesu niezależnie od tego, czy to będą nasze pieniądze. Nasze korporacje, również małe i średnie firmy, które będą prowadzić biznes na Ukrainie, to nie są przedsiębiorstwa, które mają zakumulowane kilkudziesięcioletnie oszczędności – to jasne. Ale uważam, że to my będziemy główną bramą do odbudowy Ukrainy. Każdy, kto będzie chciał tam inwestować, kto będzie chciał tam robić biznes, kto będzie tam zarabiał pieniądze, będzie musiał przez tę bramę przejechać.

Rozumiem, że wątki ukraińskie pojawią się na Forum Ekonomicznym?

Trudno sobie wyobrazić, by rozmowa o europejskiej polityce w roku 2024 nie dotyczyła wojny i konsekwencji wydarzeń na Ukrainie, także tego, co te wydarzenia będą niosły dla gospodarki.

Podczas wiosennego Forum Samorządowego w Mikołajkach mocno wybrzmiał temat pilnej potrzeby odbudowania, a właściwie zbudowania, obrony cywilnej w Polsce i dużych inwestycji z tym związanych. Tymczasem mam wrażenie, że temat zupełnie zniknął z agendy rządowej.

Dzisiaj dla rządu największym wyzwaniem jest oczywiście doprowadzenie do odbudowania koniunktury gospodarczej. To klucz do naszej przyszłości na najbliższe lata. Bez szybkich decyzji dotyczących publicznych wielkich inwestycji infrastrukturalnych trudno liczyć na to, że będziemy z powrotem krajem, który będzie mógł się szczyć

”

Pohukiwania Europejczyków – niezależnie od kogo pochodzą – na amerykańskich polityków trącą trochę śmiesznością, trochę brakiem powagi ze względu na to, że gdyby nie amerykański parasol bezpieczeństwa, to europejska jazda na gapę skończyłaby się już dawno

rozwojem gospodarczym nieprzerwanym niemal od 30 lat. Rozwiązywanie takich incydentalnych problemów jak obrona cywilna to temat oczywiście ważny w kontekście wojny, ale mimo wszystko drugorzędny wobec ogromnych wyzwań rozwojowych. Choć sprawa bezpieczeństwa też zawiera się w pytaniach o te inwestycje rozwojowe. Pytamy, wciąż czekając na jasne deklaracje: czy będzie wielkie lotnisko, na którym wylądają samoloty ze Stanów Zjednoczonych z pomocą militarną, czy go nie będzie? Czy będą nowoczesne linie kolejowe, które umożliwią szybkie i efektywne przenoszenie nie tylko towarów, nie tylko przewożenie ludzi, lecz także wojska, również zaopatrzenie w szybką, skuteczną, taną logistykę? To w każdej sytuacji jest absolutnie kluczowe wyzwanie, więc to są główne obszary, na których powinna teraz być skoncentrowana uwaga koalicji rządowej.

Ludzie, którzy dzisiaj ponoszą główną odpowiedzialność za polską politykę, zdają sobie z tego sprawę i myślę, że przygotowywane są odpowiednie rozwiązania. Jeżeli ich nie będzie, to społeczny mandat, który obecnie rządząca koalicja uzyskuje na koniec ubiegłego roku, zostanie wycofany. Ludzie oczekują, że sytuacja gospodarcza ma być lepsza, a nie gorsza. ●

XXXIII edycja Forum Ekonomicznego odbędzie się w Karpaczu w dniach 3–5 września pod hasłem „Czas nowych liderów: razem kształtując przyszłość”. Organizatorem jest Instytut Studiów Wschodnich. Podczas Forum tradycyjnie już zostanie zaprezentowany „Raport SGH i Forum Ekonomicznego 2024”, stanowiący wyczerpujące opracowanie naukowe na temat stanu gospodarki w Polsce oraz krajach Europy Środkowej i Wschodniej.



fot. Patrycja

Nigdzie dotąd nie podjęto nawet próby definiowania obszarów, które podlegają tak szybkiej i tak radykalnej transformacji, jak to ma miejsce w przypadku Europy Środkowej. I to jest wyjściowy element Raportu Forum Ekonomicznego oraz SGH. Corocznie mu przeglądowi podlegają wszystkie kluczowe sfery życia gospodarczego, które mają istotny wpływ na rozwój gospodarczy – to przekształcenia związane z polityką klimatyczną, z wielkimi inwestycjami infrastrukturalnymi, ochroną środowiska... To nie jest tak, że ten raport co roku zawiera nowe elementy, ale konsekwentnie i systematycznie odnosi się do największych wyzwań w tej części Europy. Oczywiście największym i najważniejszym wyzwaniem jest demografia. Mimo że mówiliśmy dotychczas o ochronie środowiska, o polityce klimatycznej czy o finansowaniu wzrostu gospodarczego, to jednak demografia jest w tej części Europy wyzwaniem dla wszystkich absolutnie najważniejszym. I to jest to, co teraz dotyczy Polskę. W efekcie to problem rozsądnego finansowania świadczeń emerytalno-rentowych. Rozpoczęcie procedury nadmiernego deficytu w poważnym stopniu ogranicza swobodę manewru tym, którzy podejmują dziś decyzje gospodarcze. Także gdy chodzi o wydatkowanie nowych pieniędzy na pobudzanie wzrostu gospodarczego.

Muszę o to zapytać, również w kontekście debat w Karpaczu: Ukraina nam nieco spowszedniała? Przyzwyczailiśmy się do wojny za wschodnią granicą?

Myślę, że tak. Warto jednak głośno powiedzieć, że postawa ukraińskich polityków, a zwłaszcza prezydenta Ukrainy, spowodowała w ostatnim czasie ogromny regres, jeżeli chodzi o takie pozytywne emocje, które prezentowali Polacy dla sprawy ukraińskiej na przestrzeni ostatnich lat. To było coś zupełnie niesłychanego, gdy w Organizacji Narodów Zjednoczonych prezydent Ukrainy mówił o tym,

”

Rozpoczęcie procedury nadmiernego deficytu w poważnym stopniu ogranicza swobodę manewru tym, którzy podejmują dziś decyzje gospodarcze. Także gdy chodzi o wydatkowanie nowych pieniędzy na pobudzanie wzrostu gospodarczego

przemiany mamy już do czynienia i że on w efekcie, w najbliższej przyszłości, będzie wywoływał ruchy tektoniczne w polityce. Obserwujemy zmianę nastawienia wobec fundamentalnych wyzwań, które wydawało się, że były i pozostaną już ustalone – na przykład imigracja, polityka klimatyczna, integracja lub tempo integracji. A dzisiaj widać wyraźnie, że to wokół właśnie tych spraw konstytuuje się alternatywna droga dla Europy. To niekoniecznie musi być tak, że będziemy świadkami rewolucji w Europejskiej Partii Ludowej, by równocześnie być uczestnikiem procesu zmiany europejskiej polityki klimatycznej, na przykład w zakresie zeroemisyjności budynków, zeroemisyjności transportu czy w zakresie wyeliminowania paliw kopalnych, w końcu też w zakresie bardzo szerokiej i bardzo restrykcyjnej ochrony środowiska, która skutkuje tym, że Europa w zasadzie pozbawiła się dostępu do metali ziem rzadkich. Myślę, że jesteśmy uczestnikami procesu, który zmienia europejską politykę i europejską gospodarkę. Zmienia też myślenie o tym, jak rozwiązywać najtrudniejsze sprawy. I to jest właśnie ten czas nowych liderów. To jest czas, kiedy pojawiają się ludzie, którzy mówią: „My chcemy to rozwiązać inaczej!”.

Zielony Ład ostatecznie wyhamuje? Choć wypowiedzi Ursuli von der Leyen na to nie wskazują, słyszymy tu i ówdzie, że kwestię dekarbonizacji Polski trzeba jednak przemysleć jeszcze raz.

Oczywiście. Pytanie nie powinno jednak brzmieć, czy wyhamuje, ale w jakim zakresie i jakie zostaną wprowadzone korekty. Gdy mówimy o zeroemisyjności budynków, to dzisiaj w Polsce już wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że ten terminarz, ta chronologia, którą przyjęto (budynki użyteczności publicznej – rok 2030, wszystkie budynki – rok 2035), są nierealne. Jeżeli policzymy te 11 lat, które mamy przed sobą (sześć dla budynków użyteczności publicznej), to mamy razem 3,5 tysiąca dni, w trakcie których powinniśmy zrealizować te ambitne cele. Budynków w Polsce mamy – uwaga! – około 6 milionów. To oznacza, że codziennie musielibyśmy tych budynków remontować niemal 2 tysiące. Codziennie! To niemożliwe – nie mamy takiego potencjału, jeżeli chodzi o firmy, jeżeli chodzi o pieniądze, o materiały potrzebne, by ten proces w takiej skali zrealizować. Jeżeli zarysujemy projekt zmian w energetyce, który jest niezwykle szeroki i równocześnie będziemy oczekiwali, że uda nam się zrealizować taki program ochrony środowiska naturalnego, to decyzje rządu Chińskiej Republiki Ludowej nawet największych optymistów przywołują do porządku dziennego. Jeżeli bowiem Europa ma opierać swoją energetykę rozproszoną na źródłach odnawialnych, to nie może być zależna od dostaw na przykład paneli fotowoltaicznych czy metali ziem rzadkich do skrzydeł wiatra-

”

Gdy mówimy o zeroemisyjności budynków, to dzisiaj w Polsce już wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że ten terminarz, ta chronologia, którą przyjęto (budynki użyteczności publicznej – rok 2030, wszystkie budynki – rok 2035), są nierealne

kowych z ChRL. Dlaczego? Właśnie rozpoczęliśmy w Europie procedury obłożenia importu chińskich samochodów elektrycznych kilkudziesięcioprocen-towym cłem. Na to rząd Chin postanowił, że wydobycie, rafinacja metali ziem rzadkich muszą być w specjalny sposób chronione, kontrolowane i eksport tych metali będzie obciążony cłem eksportowym. A ten eksport w głównej mierze był skierowany do wysoko uprzemysłowionych krajów Zachodu. Jak na dłoni widać, że zbyt szeroko zarysowane cele, zaplanowane w zbyt krótkim okresie, w połączeniu z ochroną środowiska – co uniemożliwia wydobycie metali ziem rzadkich Francuzom, Szwedom, Finom – jest skazane na niepowodzenie. I muszą zostać dokonane kolejne zmiany. To tylko jeden z elementów Zielonego Ładu, to jedna zmiana, ale przecież cały system handlu emisjami dwutlenku węgla również wymaga korekty. Nie może być on przedmiotem spekulacji – system wciąż istotnie zmienia relacje cenowe i zwiększa koszty pozyskiwania energii.

A to bezpośrednio wpływa na utratę konkurencyjności Europy i europejskich firm...

Europa staje wobec ogromnych wyzwań. Wielkie międzynarodowe korporacje dociążane kosztami energii w związku z handlem emisjami CO₂ przenoszą produkcję do północnej Afryki i na Bliski Wschód, poza Unię. Są bardziej konkurencyjne, a ich udział w globalnej gospodarce wzrasta. Nie można liczyć na to, że cłami poprawimy konkurencyjność europejskiej gospodarki. Cła mogą uchronić tylko firmy produkujące wyłącznie na rynek wewnętrzny.

I wracamy do Karpacza. Hasło przewodnie tegorocznego Forum Ekonomicznego brzmi: Czas nowych liderów: razem kształtując przyszłość. Jak co roku czekamy też na Raport Forum i SGH.

Najważniejsza konstatacja jest taka, że to jedyne tego rodzaju opracowanie w Europie Środkowej.

Nowoczesnego biznesu i... polityki, bo widzimy, jak ważna staje się cyberprzestrzeń także w świecie polityki właśnie. Tegoroczne Forum odbywa się tuż przed wyborami w Stanach Zjednoczonych. Czy to, co dzieje się za oceanem, będzie mocno zajmowało dyskutujących w Karpaczu?

To oczywiste, że wybory w Stanach Zjednoczonych określą kurs polityczny świata Zachodu na wiele, wiele lat. Nominacja kandydata Republikanów na prezydenta – Donalda Trumpa, który wskazał na senatora ze stanu Ohio J.D. Vance’a jako kandydata na wiceprezydenta, może już dziś sygnalizować, że to będzie naturalny sukcesor; osoba, która za jakiś czas przejmie pałeczkę w realizacji programu ideowego, który dzisiaj prezentują Republikanie. A to mogłoby oznaczać, że ta zmiana, o której wszyscy już dzisiaj mówią, raczej się dokona i może być zmianą na dłużej. Zatem oczywiste jest to, że nie tylko w Polsce, nie tylko w Europie te wybory muszą budzić bardzo duże, naturalne zainteresowanie. Konsekwencje dla wszystkich partnerów Stanów Zjednoczonych będą bardzo daleko idące i tego kandydat Republikanów na urząd prezydenta nie ukrywa. W związku z tym „sfokusowanie się” na tym, jak przebiega kampania przedwyborcza, jak wyglądają notowania, jak przebiegają poszczególne debaty, będzie na Forum Ekonomicznym naturalne.

Z pewnością będziemy coraz więcej wiedzieć, bo sytuacja jest niezwykle dynamiczna. Choć mam czasem wrażenie, jakby amerykańskie wybory odbywały się nie w Stanach Zjednoczonych, ale w Polsce, w Europie.

Problemy mamy w całej Europie dość podobne i nie rozwiąże się ich, kręcąc nosem na jednego czy drugiego kandydata w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Uważam, że pohukiwania Europejczyków – niezależnie od kogo pochodzą – na amerykańskich polityków trącą trochę śmiesznością, trochę brakiem powagi ze względu na to, że gdyby nie amerykański parasol bezpieczeństwa, to europejska jazda na gapę skończyłaby się już dawno.

Uważam, że to my będziemy główną bramą do odbudowy Ukrainy. Każdy, kto będzie chciał tam inwestować, kto będzie chciał tam robić biznes, kto będzie tam zarabiał pieniądze, będzie musiał przez tę bramę przejechać

”

Jesteśmy uczestnikami procesu, który zmienia europejską politykę i europejską gospodarkę. Zmienia też myślenie o tym, jak rozwiązywać najtrudniejsze sprawy. I to jest właśnie ten czas nowych liderów. To jest czas, kiedy pojawiają się ludzie, którzy mówią: „My chcemy to rozwiązać inaczej!”

To Amerykanie pilnują Europejczyków, Amerykanie gwarantują bezpieczeństwo i – tak jak mówią w trakcie tej kampanii zarówno kandydat na prezydenta Republikanów, jak i kandydat na wiceprezydenta Republikanów – to Europejczycy powinni okazać trochę wdzięczności za to, że dzięki temu parasolowi mogliśmy nieprzerwanie i spokojnie przez ostatnie kilkadziesiąt lat się rozwijać. Tam, gdzie tego parasola nie było, na przykład na Bałkanach czy na Ukrainie, wybuchały wojny. Oczekiwanie takiego, a nie innego rezultatu wyborów w USA jest trochę nie na miejscu. Dzisiaj chcielibyśmy – jako Europejczycy – brać udział w rozwiązywaniu najważniejszych globalnych dylematów. Ale jeżeli chcesz mieć wpływ na politykę światową, to wydaj 6, 7, 8 procent PKB na siły zbrojne, utwórz jedną armię i powiedz wszystkim, którzy chcą dołączyć, że muszą wydawać na nią drugie tyle, co na własną. Powiedz, że muszą ograniczyć świadczenia socjalne, świadczenia dla osób bez pracy, by można było budować taką wielką armię. Bo jak nie masz armii, to nie możesz marzyć o tym, że będą cię szanować i będą cię słuchać, respektować twoje aspiracje. To jest niemożliwe.

Wybory w Stanach przed nami, a za nami wybory do Parlamentu Europejskiego i choć widać ewidentnie, że kandydaci narodowych ugrupowań, partii konserwatywno-prawicowych zdobyli ogromne poparcie, to jakiejś zasadniczej zmiany wśród brukselskich elit czy w samej Komisji Europejskiej wciąż nie widać...

Po pierwsze, musimy zdać sobie sprawę, że jeżeli chodzi o zmianę ideową, strukturalną, to ona następuje, niezależnie od tego, czy w wyborach Europejska Partia Ludowa uzyskuje trochę więcej czy trochę mniej. To jest proces, który już teraz widać gołym okiem, kiedy obserwujemy notowania partii prawicowych, konserwatywnych w Polsce, w Niemczech, we Francji, we Włoszech. To oczywiste, że z tym procesem

”

ROZMAWIAŁ
MACIEJ WOŚKO

Trzeba przyznać, że Forum Ekonomiczne – najpierw w Krynicy, a od kilku lat w Karpaczu – w pełni zasłużyło na miano polskiego Davos. To właśnie w Karpaczu co roku na początku września politycy, przedstawiciele świata biznesu, gospodarki, ekonomiści dyskutują na temat największych wyzwań stojących przed gospodarką i polityką. To, co wyróżnia tegoroczne spotkanie, to fakt, że jednym z kluczowych wydarzeń będzie po raz pierwszy Forum Sztucznej Inteligencji. Bezpieczeństwo i kwestie związane z transformacją Europy ustępują miejsca SI?

ZYGMUNT BERDYCHOWSKI: Dzisiaj sztuczna inteligencja, cyberprzestrzeń, cyberbezpieczeństwo są absolutnie najważniejszymi tematami debat nie tylko w gospodarce, lecz również w polityce. Za pomocą sztucznej inteligencji są obserwowane i analizowane wydarzenia na granicy Polski, na granicy Unii Europejskiej, także w polityce. Nie mieliśmy zatem innego wyboru. Cyberprzestrzeń i sztuczna inteligencja to kluczowe wyzwania, przed którymi stoi Europa.

Do tej pory, gdy rozmawialiśmy na Forum na temat sztucznej inteligencji, o blockchainie, o internecie rzeczy, to te „cybernarzędzia” były traktowane jako pewne nowinki technologiczne, ciekawostki. Forum Sztucznej Inteligencji daje sygnał, że mamy do czynienia z poważnym procesem, który zmienia też biznes i gospodarkę...

Po pierwsze, planujemy ponad 50 tematów w agendzie całego Forum Ekonomicznego. To ogromna liczba spotkań, debat i wystąpień na temat SI. Po drugie, podpisaliśmy porozumienie z ministrem cyfryzacji, z Uniwersytetem Warszawskim, z Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie, politechnikami w Krakowie, w Poznaniu, we Wrocławiu, aby wspólnie przygotowywać te wydarzenia. Wszystkie najważniejsze ośrodki zajmujące się w Polsce sztuczną inteligencją będą mogły przedstawić własny wkład w rozwój tego niezwykle ważnego procesu. Wspólnie pokażemy, jak dziś Polacy starają się odpowiedzieć na wyzwania, które niesie ze sobą rozwój technologiczny. Bo mamy ogromne osiągnięcia – choćby polski system e-recept jest unikalnym narzędziem w skali europejskiej. Do tego ogromna rzesza rodzimych informatyków i programistów pracuje dla zagranicznych, globalnych korporacji. I ciągle brakuje nam wiodącego polskiego operatora, który w tym zakresie mógłby nadawać ton działaniom podejmowanym zarówno przez administrację państwową, jak i ośrodki akademickie oraz oczywiście biznes.

Profesor Aleksandra Przeglasińska na łamach „Gazety Bankowej” zwracała uwagę na oryginalny sposób wdrażania sztucznej inteligencji właśnie w biznesie. Firmy „na bazie generycznego, otwartego modelu SI budują dziś

”

Pytamy, wciąż czekając na jasne deklaracje: czy będzie wielkie lotnisko, na którym wylądują samoloty ze Stanów Zjednoczonych z pomocą militarną, czy go nie będzie? Czy będą nowoczesne linie kolejowe, które umożliwią szybkie i efektywne przenoszenie nie tylko towarów, nie tylko przewożenie ludzi, lecz także wojska, również zaopatrzenie w szybką, skuteczną, tanią logistykę?

własne zamknięte i bezpieczne przestrzenie, karmiąc model własnymi danymi oraz ograniczając działanie i w związku z tym dostęp do tej bazy. Firmy technologiczne, chcąc zaoferować rozwiązania dla biznesu, muszą zagwarantować bezpieczeństwo danych oraz właśnie zapewnić możliwość karmienia modeli wiedzą zweryfikowaną, skorygowaną, a zatem bezpieczną”. Czyli jednak temat bezpieczeństwa – tak charakterystyczny dla dyskusji w Karpaczu – w sztucznej inteligencji także się zawiera?

Podstawą rozwoju SI, tej ogromnej części cyberprzestrzeni, jest wymiana doświadczeń, współpraca i otwartość. A tam, gdzie pojawiają się otwarte zasoby, pojawiają się zagrożenia i wyzwania. To nie jest tak, że hakerzy są tylko w jednym miejscu na świecie. To nie jest tak, że atakują tylko jedną instytucję. Dzisiaj, zwłaszcza jeżeli chodzi o biznes, hakerem może być konkurencja; hakerami są ludzie, którzy są zainteresowani szybkim zarobieniem dużych pieniędzy; hakerami mogą być też oczywiście zwykli przestępcy, którzy chcą coś ukraść. Jednym słowem, tych wyzwań związanych z zabezpieczeniem biznesu w cyberprzestrzeni jest wiele. Jednocześnie wydaje się, że nie będzie już odwrotu od sytuacji, w której jednym z głównych tematów biznesowych jest i będzie zapewnienie odpowiedniej ekspozycji firmy w cyberprzestrzeni. To staje się jednym z fundamentów prowadzenia nowoczesnego biznesu. A jeżeli tak, to trzeba już dziś maksymalizować te instrumenty, którymi chcemy się posłużyć, aby to bezpieczeństwo zapewnić.

wydarzenia

Raporty & Analizy & Firmy

Ludzie oczekują od rządzących, że sytuacja gospodarcza będzie lepsza, a nie gorsza



O wyborach w Stanach Zjednoczonych i europejskich elitach, o Zielonym Ładzie i kluczowych dla polskiej gospodarki inwestycjach, a także o sztucznej inteligencji, która zagości we wrześniu w Karpaczu – mówi Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu

fol. Andrzej Wiktor

”

Współzależność gospodarcza jest coraz częściej wykorzystywana do tworzenia zależności geopolitycznych

nad 60 proc. w 2008 r., ale od tego czasu utrzymuje się na tym poziomie. Według ESPAS fragmentacja handlu światowego w postaci wzrostu barier i większej niepewności polityki handlowej może doprowadzić do znacznego zmniejszenia globalnej produkcji w perspektywie długoterminowej, przy czym kraje o niskich dochodach prawdopodobnie odczują to bardziej negatywnie.

Raport wymienia dwa czynniki, które w najbliższej przyszłości prawdopodobnie będą miały szeroki wpływ na handel światowy i na gospodarkę europejską: jest to „ premia za bezpieczeństwo ” i „ premia za zieleni ”. W pierwszym przypadku wysiłki na rzecz zmniejszenia zależności UE od importowanych zasobów, zwłaszcza energii i surowców krytycznych, mogą powodować straty, jeżeli chodzi o wydajność. Wzrost kosztów stwarza też trudności dla eksporterów oraz partnerów handlowych.

Drugi element, czyli „ zielona premia ”, odnosi się do kosztów związanych z przejściem na zieloną energię i działaniami na rzecz łagodzenia zmian klimatu. Według raportu, podczas gdy przejście na zerową emisję netto może nie mieć dużego wpływu na produktywność, to prawdopodobnie pociągnie za sobą znaczne początkowe koszty, które z czasem powinny się zmniejszyć. Jednak cena za zeroemisyjność to jedynie ułamek całkowitej kwoty potrzebnej na dostosowanie się do zmian klimatu. ESPAS podkreśla, że wpływ społeczny tego procesu może być duży, a jego przejście będzie się różnić w zależności od regionu. Co więcej, straty wydajności oraz koszty zielonej transformacji i łagodzenia zmian klimatu stanowią kluczowe czynniki nacisku na wzrost gospodarczy. Nie wystąpią one jednak niezależnie. Można się spodziewać zarówno pozytywnych, jak i negatywnych skutków ubocznych. O jakie skutki chodzi? Na przykład o widoczną już konkurencję w wydatkach publicznych, takich jak na klimat i na obronę.

Co oczywiste, tempo i zakres zielonej transformacji nieuchronnie doprowadzą do wyższych kosztów energii w krótkim czasie dla krajów znajdujących się w okresie transformacji. Według ESPAS, średnio- i długoterminowy wpływ na ceny, określany mianem „ zielonej inflacji ”, jest mniej pewny. Ekspertci twierdzą, że o ile ceny ustabilizują się w dłuższej perspektywie, o tyle skala i czas

trwania potencjalnych szoków cenowych są bardzo niepewne.

Koszty adaptacji pomoże obniżyć postęp technologiczny, jednak powstające nowe sojusze krajów eksportujących na przykład krytyczne surowce mogą się okazać mniej trwałe niż koalicje w erze energii kopalnej.

Ekspertci ESPAS zwracają uwagę, że rządy państw, które już mają historycznie wysoki poziom zadłużenia, stoją w obliczu perspektywy znacznego wzrostu wydatków publicznych przynajmniej w ciągu następnej dekady i dłużej. Ta sytuacja zintensyfikuje dyskusje na temat ustanowienia nowych źródeł dochodów, takich jak podatki od aktywów cyfrowych lub osób ultrabogatych, szczególnie w starzejącej się Unii Europejskiej.

Więcej elastyczności

W ciągu następnych 20 lat udział UE w globalnym PKB ma spaść z 17,9 proc. w 2021 r. do około 14,2 proc. do 2040 r. W miarę jak rosnące wyzwania wzmacniają argumenty na rzecz bezpieczeństwa gospodarczego, równoczesne dążenie do gospodarki zeroemisyjnej netto może doprowadzić do utraty efektywności do 2040 r. Z czego to wynika? Przede wszystkim z konieczności inwestowania w moce przerobowe przemysłu, aby umożliwić UE elastyczną produkcję i samowystarczalne dostawy. Według raportu zielona transformacja Europy będzie wymagała bezprecedensowych inwestycji, oprócz oczywiście ponoszenia kosztów niezbędnych do dostosowania się do zmian klimatu.

Duża część niezbędnych kapitałów będzie musiała pochodzić z finansowania prywatnego. ESPAS przewiduje, że zielona transformacja stworzy miejsca pracy w wielu sektorach, co potencjalnie pogłębi niedobory siły roboczej w UE. Potrzeby inwestycyjne w zakresie przekwalifikowania i podnoszenia kwalifikacji w dziedzinie produkcji strategicznych technologii zeroemisyjnych netto ESPAS szacuje na 1,7–4,1 mld euro do 2030 r. Wyzwania te będą wymagać bardziej elastycznego i bardziej powiązanego podejścia do polityki handlowej, rozwojowej i migracyjnej. „Ewoluuje i powstające sojusze, takie jak BRICS – piszą eksperci ESPAS – dodadzą złożoności globalnej współpracy gospodarczej. Zmiany te wpłyną na istniejące już struktury, takie jak G7 i G20, zmieniając obrazy międzynarodowych stosunków gospodarczych”. ●

Oprac. SK

Europejski System Analizy Strategii i Polityki (ESPAS) to przedsięwzięcie UE zrzeszające dziewięć instytucji i organów unijnych. Tworząc prognozy dotyczące kluczowych trendów globalnych, ESPAS wspiera decydentów w dokonywaniu wyborów politycznych. Dotychczas ukazały się cztery ESPAS Global Trends Reports: pierwszy w 2012 roku – „Global trends 2030: Citizens in an interconnected and polycentric world”, kolejny w 2015 – „Global Trends to 2030: Can the EU meet the challenges ahead?”, trzeci w 2019 – „Global Trends to 2030: Challenges and Choices for Europe”, i ostatni, w 2024 r. – „Global Trends to 2040: Choosing Europe's Future”.

Dynamika geopolityczna znajduje odzwierciedlenie w handlu międzynarodowym: nie brakuje dowodów na „wspieranie przyjaciół” i rosnącą koncentrację handlu, który odbywa się z mniejszą liczbą partnerów powiązanych geopolitycznie. Współzależność gospodarcza jest coraz częściej wykorzystywana do tworzenia zależności geopolitycznych. Dotyczy to zarówno tradycyjnych gałęzi przemysłu, które opierają się na zasobach naturalnych, takich jak gaz i ropa naftowa, jak i wschodzących sektorów kluczowych dla transformacji cyfrowej oraz ekologicznej, które wymagają surowców krytycznych.

W świecie trwałej niestabilności

Tarcia globalne będą prawdopodobnie coraz większe. Świat w dającej się przewidzieć przyszłości powinien być przygotowany do życia w warunkach ciągłej niestabilności. Głównym czynnikiem determinującym rozwój tych scenariuszy będzie przyszłość Chin, Rosji i Stanów Zjednoczonych. Analitycy ESPAS pytają: „Czy rywalizacja Chin z USA będzie kontynuowana jako gra o sumie zerowej, czy też może się przekształcić w wyzwanie dla status quo obejmujące użycie siły? W jaki sposób wynik rosyjskiej wojny z Ukrainą wpłynie na przyszły kształt geopolityki i samej Rosji?”

Do 2040 roku państwa takie jak Brazylia, Indie, Egipt, Indonezja, Iran, Kenia, Meksyk, Nigeria, Filipiny, Turcja i Wietnam mogą się wyłonić jako nie tylko regionalne, lecz także globalne centra władzy. Ta niejednorodna i zróżnicowana grupa krajów zyska w nadchodzących dziesięcioleciach mocniejszą siłę sprawczą, a także większe znaczenie demograficzne i gospodarcze. Państwa te mogą działać samodzielnie lub w grupach, a ich członkostwo w minilateralnych porozumieniach (np. BRICS, CSO, QUAD) może się stać geopolitycznym środkiem ciężkości.

Według raportu geopolityka zostanie wepchnięta na nowe terytoria przez „megaprzemiany”, takie jak zmieniający się klimat i nowe technologie. „Geopolityka klimatu już się rozwija w formie konfliktów o zasoby naturalne i wyścigu o krytyczne surowce” – czytamy w raporcie. Sposób prowadzenia dyplomacji i wojny zmieni sztuczna inteligencja.

Jak w tych nowych realiach odnajdzie się Unia? Co jest jej mocną stroną w świecie „trwałej niestabilności”?

”

UE nie jest w stanie samodzielnie stawić czoła kryzysom środowiskowym i klimatycznym

Według ESPAS największymi atutami UE jest jej relatywna odporność wewnętrzna, demokracja i pluralistyczne społeczeństwo oraz względna siła gospodarcza. Potencjalne rozszerzenie Unii do 35 krajów do połowy lat 30. XXI wieku mogłoby wzmocnić jej pozycję na kontynencie europejskim i być może poza nim. A wyzwania? Zmniejszenie udziału UE w światowym PKB, starzenie się społeczeństw i nielegalna migracja.

Gdzie jest równowaga?

W tym niepewnym porządku globalnym analitycy ESPAS sugerują unijnym decydentom bardziej transakcyjną postawę. Należy rozumieć to w ten sposób, że UE stanie przed wyzwaniem znalezienia równowagi między działaniem z innymi, gdy może, a wzmocnieniem swojej zdolności do działania autonomicznego, gdy chce lub jest zobowiązana to zrobić. „Będzie się to przejawiać w ewolucji partnerstwa transatlantyckiego, w tym w przyszłości NATO, a także w pozycjonowaniu UE wobec tak zwanych średnich mocarstw i szerszego krajobrazu geopolitycznego, w którym UE będzie musiała działać. Wzmocnienie tradycyjnych sojuszy może być równie kluczowe, jak budowanie nowych” – piszą autorzy analizy.

„Aby poszerzona UE pozostała wpływowym globalnym podmiotem, konieczne będzie – czytamy w raporcie – wyposażenie się w narzędzia potrzebne do wypełniania takiej roli”. Analitycy ESPAS przedstawiają kontrowersyjną tezę, kontestowaną przez liczące się środowiska w UE, że mogłyby one obejmować ewolucję wspólnych struktur i zdolności obronnych oraz wprowadzenie mechanizmów, które mogłyby prowadzić do większego bezpieczeństwa gospodarczego. ESPAS stawia takie pytanie: „W jaki sposób UE zdefiniuje swoje interesy i zrównoważy je ze swoimi wartościami?”

Unia zielona i bezpieczna?

Jedną z tendencji szeroko omawianych w raporcie ESPAS jest rosnąca presja na wzrost gospodarczy. Dokończy się ona w środowisku trwającej wojny Rosji z Ukrainą, która zaostrzyła napięcia wynikające z pandemii COVID-19 i jeszcze bardziej zakłóciła globalne łańcuchy dostaw, a szczególnie – w przypadku UE – dostęp do taniej energii. Kolejny kontekst światowy to rosnąca rywalizacja gospodarcza i technologiczna między Chinami a USA, spodziewane nadejście nowej ery ograniczania ryzyka i reindustrializacji, a także powstawanie nowych bloków gospodarczych, takich jak rozszerzony BRICS.

W ostatnich latach – piszą eksperci ESPAS – handel światowy i międzynarodowy system monetarny musiały już poradzić sobie z fragmentacją [regionalizacją, deglobalizacją – przyp. red.] i wyzwaniami dla wielostronnej koordynacji. Udział handlu światowego w PKB wzrósł gwałtownie z około 40 proc. w latach 90. do po-



fol. Shutterstock

ficznym. Tendencja ta – według raportu – znajduje odzwierciedlenie nie tylko w zwiększonym zużyciu energii odnawialnej, lecz także tradycyjnych paliw kopalnych. „To zagraża wykonalności celów klimatycznych: niedawny raport wykazał, że rządy planują produkować ponad dwukrotnie więcej paliw kopalnych w 2030 r., niż byłoby to zgodne z ograniczeniem globalnego ocieplenia do 1,5°C, i o 69 proc. więcej, niż byłoby to zgodne z ograniczeniem do 2°C” – piszą eksperci ESPAS. Co ciekawe, według nich ceny paliw kopalnych są sztucznie utrzymywane na niskim poziomie za pomocą dotacji publicznych (dotacje – zarówno ukryte, jak i jawne – osiągnęły w 2022 r. poziom 7 bln dol., tj. 7,1 proc. światowego PKB; będą one rosły przynajmniej w perspektywie średnioterminowej, w miarę zwiększania ich zużycia przez kraje rozwijające się).

Dążenie do równości to kolejny obszar analizy ESPAS. Według raportu, w Europie nierówności w poszczególnych państwach członkowskich wydają się rosnąć, nasilają się napięcia społeczne. W nadchodzącym okresie będą one nadal wpływać na życie ludzi, co w oczywisty sposób podsyca polaryzację polityczną.

Dwa kolejne trendy światowe to przyspieszenie technologiczne i konwergencja oraz zarządzanie zdrowiem. Z kolei zmiany w sposobie życia – następny obszar – wynikają z faktu, że coraz więcej ludzi mieszka w miastach, a technologie zmieniają sposób, w jaki pracują i uczą się. Stwarza to nowe możliwości pracy i świadczenia usług, ale zarazem rodzi ryzyko bezrobocia. ESPAS stwierdza

wprost: „Nierówności zyskują na znaczeniu i stają się coraz bardziej złożone”.

Ostatni obszar to zagrożenia dla demokracji: utrzymuje się tendencja do odstępstwa od demokracji, a technologia odgrywa coraz większą rolę w jej funkcjonowaniu.

Zagrożone bezpieczeństwo

Przeplatanie się okresów współpracy z etapami konkurencji i sporów nie jest niczym nowym. Poprzednie raporty ESPAS wskazywały już na umacnianie się tendencji do jednostronnej realizacji interesów narodowych, osłabienia instytucji międzynarodowych, takich jak ONZ, i fragmentacji globalnego procesu decyzyjnego. Pewną nowością jest rosnąca niezdolność tzw. wielkich mocarstw do zapewnienia stabilnego porządku światowego. Eksperci podkreślają, że fragmentacja jest ściśle powiązana z zaostrzeniem podziałów ideologicznych.

Według ESPAS bezpieczeństwo i obrona Europy stanęły przed największym wyzwaniem od czasów zimnej wojny. Na wschodnich granicach UE i na Bliskim Wschodzie trwa regularny konflikt. Toczy się bitwa na narracje, powielana jest dezinformacja, trwa ingerencja w informacje i w cyberprzestrzeń. „Podczas gdy ta nowa wojna hybrydowa przybiera na sile, tradycyjna wojna w dalszym ciągu stanowi jedno z głównych zagrożeń wynikających z konkurencji i tarć geopolitycznych” – piszą autorzy raportu.



Trudna przyszłość Europy

Europa musi się odnaleźć w świecie nowych trendów globalnych. Jeżeli tak się nie stanie, wielka gra o wpływy i znaczenie będzie się toczyła w innych częściach globu. Stary Kontynent stanął przed niezwykle poważnymi wyzwaniami. Czy sprostają im rządzące UE elity?

Najnowszy, czwarty raport ESPAS (European Strategy and Policy Analysis System), noszący tytuł „Global Trends to 2040: Choosing Europe’s Future”, jest interesującym głosem w toczącej się obecnie dyskusji na temat przyszłości Europy, jej roli w świecie oraz zdolności do adaptacji i dokonywania zmian, zarówno w Unii, jak i w perspektywie globalnej. Analizuje kluczowe trendy światowe pod kątem ich znaczenia dla Europy, a także wskazuje, podjęcia jakich decyzji strategicznych mogą one wymagać.

Zmierzch globalizacji

ESPAS prezentuje dziesięć światowych trendów kluczowych dla Europy: pierwszy to centralne miejsce geopolityki, z utrzymującą się tendencją do współpracy i integracji z jednej strony oraz do konkurencji i tworzenia napięć – z drugiej. Tej tendencji towarzyszy rosnąca fragmentacja, czyli deglobalizacja i regionalizacja. Drugi obszar to wyzwania gospodarcze i związane z nimi za-

grożenia dla wzrostu PKB. Zagrożenia wynikają z fragmentacji geopolitycznej i przechodzenia wielkich gałęzi przemysłu w kierunku neutralności klimatycznej. Trzeci obszar to demografia, ze zmniejszającą się populacją Europy w porównaniu z innymi kontynentami. Zdaniem analityków ESPAS przepływy imigracyjne nie zrekompensują niedoboru urodzeń w Europie, z kolei spadek dzietności w Chinach może mieć konsekwencje globalne, ponieważ prawdopodobnie ograniczy rolę tego państwa jako „motoru globalizacji”. Czwarty obszar to kryzysy środowiskowe i klimatyczne, którymi UE zostanie poważnie dotknięta, ale sama nie jest w stanie im stawić czoła. Dlatego jej strategia klimatyczna musi uwzględniać kontekst międzynarodowy.

Świat nie rezygnuje z paliw kopalnych

Do trendów światowych, którym Unia musi sprostać, należy także transformacja energetyczna. ESPAS cytuje dane, według których globalne zużycie energii wzrosło w tempie 1,4 proc. rocznie od 2012 r., co jest spowodowane wzrostem gospodarczym i demogra-



Chińskie samochody na parkingu w porcie morskim, Zeebrugge, Belgia

foto: Shutterstock

Póki co o upowszechnieniu samochodów elektrycznych nie ma w ogóle mowy, rynek unijny EV, choć rośnie, to w umiarkowanym tempie, a jak zgodnie przyznają eksperci i nawet niektóre instytucje unijne – podstawową barierą jest cena. Elektryki są droższe od aut spalinowych w Europie, a także od chińskiej konkurencji, co powoduje, że ma się ona bardzo dobrze. Wiosną Europejski Trybunał Obrachunkowy alarmował, że dla obywateli Wspólnoty pojazdy elektryczne pozostają niedostępne ze względu na wysoką cenę, która wynosi ponad 30 tys. euro. I wezwał władze unijne do podjęcia pilnych działań, aby zapewnić przemysłowi europejskiemu możliwość produkcji samochodów elektrycznych na dużą skalę po konkurencyjnych cenach, przy jednoczesnym zabezpieczeniu dostaw surowców i ulepszeniu infrastruktury ładowania na całym kontynencie. Chińskie firmy są w stanie dostarczać na rynek auta w cenie nawet niewiele wyższej niż 10 tys. euro. Tymczasem europejskie koncerny dopiero pracują nad przygotowaniem produkcji małego auta miejskiego w cenie kilkunastu tysięcy euro za sztukę.

W ostatnim czasie europejskie firmy dotknęły spadek zysków, ale liczą na to, że uda im się dorównać chińskim konkurentom dzięki obniżeniu kosztów wytwarzania, tańszym bateriom i skróceniu czasu produkcji. Na przykład Renault zamierza obniżyć koszty nawet o połowę, i to w ciągu trzech lat. Szef firmy Luca De Meo cytowany przez Reuters przyznał niedawno, że to konieczność. Ale też ma wątpliwości co do harmonogramu przejścia Europy na elektryki.

Carlos Tavares – szef grupy Stellantis, która zarobiła niemal o połowę mniej (netto) niż rok temu – zapowiedział, że możliwe jest wycofanie z produkcji kilku marek samochodów. I już pojawiły się spekulacje, czy

w grę wchodzi na przykład Lancia i Alfa Romeo, a nawet Chrysler. Ostatecznie firma zapowiedziała zwolnienie 2,4 tys. ludzi z fabryki w rejonie Detroit (w stanie Michigan) wraz z zakończeniem produkcji pickupa. Przypomnijmy, że ostatnio spektakularne wycofanie marek miało miejsce dwie dekady temu, gdy GM przerwał produkcję Pontiac.

Z kolei niemiecki potentat Volkswagen, który nie porozumiał się z Renault w sprawie produkcji taniego elektryka, by – według mediów – „uczynić postępy w technologii EV”, zdecydował się na miliardowe inwestycje (docelowo nawet 5 mld dol.) w firmę amerykańską Rivian produkującą ciężarówki elektryczne. Chodzi o współpracę przy tworzeniu oprogramowania dla elektryków.

Na Starym Kontynencie obecnie przemysł motoryzacyjny wykorzystuje tylko 78 proc. swoich możliwości produkcyjnych. Tymczasem sektor daje pracę bezpośrednio 3 mln ludzi. I choć wiadomo, że nie uda się utrzymać tej skali zatrudnienia po przejściu Europy na elektromobilność, to jednak pozostanie ona ważną częścią unijnej gospodarki. Dlatego Carlos Tavares, ostrzegając przed chińskimi konkurentami, wskazywał, że spadek sprzedaży rodzimych samochodów i udziału w rynku spowoduje, iż nie będzie potrzeba „tak wielu fabryk jak obecnie”.

Chińska nadprodukcja

Gdy zbliżała się decyzja Brukseli o cłach tymczasowych, w mediach pojawiły się coraz liczniejsze zdjęcia europejskich nabrzeży portowych zajętych przez czekające na nabywców tysiące samochodów elektrycznych z Chin. Na dodatek zawiąły kolejne statki. „Le Monde” donosił nawet, że „belgijskie porty Antwerpii i Zeebrugge zostały zalane chińskimi elektrykami”, a niektóre parkują tu przez rok, czasem dłużej.

Nadprodukcja (nie tylko aut elektrycznych) to jeden z problemów chińskiego przemysłu. Staje się ona groźna zarówno na miejscu, czyli dla rodzimej gospodarki, jak i dla Unii Europejskiej oraz USA, stąd ostrzeżenia płynące z obu kontynentów w tej kwestii. Chiny, chcąc znaleźć rynki zbytu, stawiają nie tylko na Europę i Amerykę, lecz także na kraje azjatyckie – jak Wietnam – również tam oferując tanie elektryki. Z drugiej strony Chiny posiadają przewagę w tzw. łańcuchu dostaw, koniecznym do wytwarzania niedrogich, dostępnych aut elektrycznych. Państwo Środka dominuje, mając 75-procentowy udział w globalnym rynku baterii do samochodów. Na Europę przypada mniej niż 10 proc., a w przypadku unijnego importu grafitu Chiny pokrywają 40 proc., o czym też ostrzegał Europejski Trybunał Obrachunkowy. Dlatego w opinii jego audytorów, jeśli możliwości i konkurencyjność UE nie wzrosną znacząco, „rewolucja w zakresie samochodów elektrycznych” w Europie będzie się opierać na imporcie. ●

ich wsparcie dla przemysłu pojazdów elektrycznych jest zgodne z zasadami WTO.

Obecnie obowiązują cła tymczasowe w wysokości od 17,6 do 38 procent, zależnie od firmy, a także od tego, jak w całym procesie weryfikacji, jaki zarządziły unijne władze, zachowywały się firmy działające w Chinach. I nie chodzi tylko o rodzimych producentów z tamtejszego rynku, lecz również o zakłady działające w ramach joint venture z koncernami z Europy. Ostatecznie najpewniej, jak ostatnio informował FT, cła mogą przekroczyć 37 proc. na wybrane modele samochodów, ale średnio będzie to stawka około 20-procentowa.

Przypomnijmy, że w październiku ubiegłego roku szefowa KE Ursula von der Leyen zapowiedziała postępowanie kontrolne w związku z podejrzeniem, że chińskie władze stosują nieuzasadnioną pomoc publiczną i dotacje, w efekcie których tamtejsi producenci mogą – korzystając z niższych kosztów – dostarczać na rynek tańsze od europejskich samochody elektryczne. Unijni kontrolerzy wyruszyli do Chin na początku tego roku i uznali, że podejrzenia są uzasadnione. Nie pomogły więc ani wyjaśnienia samych firm, ani przedstawicieli rządu w Pekinie, że auta elektryczne są produkowane w Chinach taniej dzięki rozwojowi technologicznemu i innowacjom.

Spór celny unijno-chiński nie jest jednoznaczny z kilku powodów. Jeden z podstawowych to taki, że w Chinach działa kilka fabryk, które powstały we współpracy z europejskimi koncernami samochodowymi. W efekcie sankcje obejmą także produkowane przez nie elektryki, na przykład BMW. Z drugiej strony część branży i polityków – szczególnie niemieckich – nie była zachwycona perspektywą wprowadzenia ceł, ale w ostatnich miesiącach to nastawienie się zmieniło. Zwłaszcza że okazało się, iż spadły zyski niektórych firm, a segment EV nie przyniósł takich przychodów, na jaki liczyli menedżerowie. Na dodatek sprzedaż aut z wtyczką w Europie rośnie powoli, zaś udział w unijnej sprzedaży chińskiej produkcji – szybko. Ostatnie dane pokazały, że co dziewiąty sprzedany w Unii elektryk powstał w Chinach (jeszcze w ubiegłym roku miał 9-procentowy udział w sprzedaży w UE). Ale ambicje chińskich producentów sięgają wyżej, liczą na zdobycie jednej czwartej europejskiego rynku, i to szybko – w perspektywie kilku lat.

Popyt słaby, dotacje konieczne

Rozwój elektromobilności to dla unijnych władz jeden z kluczowych elementów strategii ograniczania emisji CO₂ i Europejskiego Zielonego Ładu. Branża motoryzacyjna znalazła się w wyjątkowej sytuacji – musi stawiać na samochody elektryczne, inwestując miliardy euro w technologię i procesy produkcji z nimi związane, bo przepisy wynikające z polityki klimatycznej zakładają stopniową obniżkę emisji. Najbliższa o 15 proc.



w porównaniu z 2021 r. obowiązywać będzie już w przyszłym roku. Jednocześnie zmagają się z konkurentami z Chin. A ostatecznie muszą się przygotować na radykalną zmianę, bo już w 2035 r. obowiązywać będzie zakaz sprzedaży (rejestracji) nowych samochodów spaliniowych. Jednak osiągnięcie celu nie jest łatwe i nie przebiega zgodnie z oczekiwaniami, choć dopłaty do zakupu aut z wtyczką kosztują całą Wspólnotę już miliardy euro. I kosztować będą nadal, gdyż – jak pokazał ostatnio przykład Niemiec – bez wsparcia finansowego nie ma zbyt wielu chętnych nabywców. Dane za lipiec pokazały 37-procentowy spadek sprzedaży elektryków (rok do roku) właśnie z powodu całkowitego wycofania rządowych (i firmowych) dopłat.

Powszechne elektryki w Europie, czyli 1 procent emisji mniej na świecie

Europa w swoim dążeniu do neutralności klimatycznej w połowie wieku stawia m.in. na zielony transport, choć dla poziomu globalnych emisji gazów cieplarnianych nie będzie miał on większego znaczenia. Na oficjalnej stronie Komisji Europejskiej można przeczytać, że cały transport odpowiada za „zaledwie” 25 proc. emisji Wspólnoty. Zaś na samochody (osobowe i ciężarowe, czyli sektor drogowy) przypada 70 proc. emisji. Jeżeli zawężymy te dane tylko do produkcji dwutlenku węgla, to okazuje się, że gdy cała Unia całkowicie wyeliminuje samochody spaliniowe, to uwolni świat od 1,2–1,4 proc. tych zanieczyszczeń.

Bój o elektryki trwa.



Co na to WTO?

W październiku okaże się, z jak wysokimi cłami będą sprzedawane w Europie chińskie auta elektryczne przez najbliższe pięć lat. Bruksela wprowadza cła, by uratować unijnych producentów samochodów, ale sprawą może się zająć Światowa Organizacja Handlu

AGNIESZKA ŁAKOMA

Od lipca, gdy weszły w życie tzw. cła tymczasowe, trwa unijno-chińskie przeciąganie liny w tej sprawie. Komisja Europejska musi się zmierzyć nie tylko z kontrargumentacją władz w Pekinie, lecz także z opiniami, jakie pojawiają się w europejskiej branży motoryzacyjnej. Władze w Pekinie wszczęły – w odpowiedzi na ruch Brukseli – postępowania wyjaśniające, czy unijne firmy nie są dotowane, i zagroziły

nałożeniem ceł na import europejskiego mięsa oraz wyrobów mleczarskich, a także mogą postanowić o cłach na sprowadzane z UE samochody o dużej pojemności silnika. Poza tym złożyły w sierpniu skargę do Światowej Organizacji Handlu. Tym samym – jak informowały światowe media – postanowiły wykorzystać mechanizm rozstrzygania sporów WTO „w celu ochrony praw rozwojowych i interesów przemysłu pojazdów elektrycznych oraz współpracy w zakresie globalnej zielonej transformacji”. Chiny twierdzą, że



Migranci w tymczasowym ośrodku Czerwonego Krzyża w Turynie

fot. Shutterstock

i eksportu do Chin staje się bardziej obciążeniem niż atutem.

Ograniczona swoboda manewrów

Interesy ekonomiczne i nacisk społeczeństw niemających zamiaru rezygnować ze zdobyczy państwa socjalnego będą czynnikami kształtującymi politykę krajów naszego kontynentu, a z pewnością ograniczającymi swobodę manewru rządów. Najwięksi europejscy gracze będą się opowiadali w związku z tym za łagodzeniem napięć i poszukiwaniem drogi porozumienia z Pekinem. Problemem jest wszakże to, że zmiany mają charakter obiektywny, niezwiązany ze stanowiskiem Berlina ani Brukseli. Jak zauważył Wess Mitchell, zastępca Sekretarza Stanu za czasów administracji Trumpa, Stany Zjednoczone i europejscy sojusznicy Ameryki „wyjątkowo źle” wykorzystali ostatnie dwa lata wojny. Budżet Pentagonu pozostaje w wartościach realnych na niezmiennym poziomie, a Europejczycy, mimo wzrostu wydatków wojskowych, nie są w stanie zrealizować własnych deklaracji w kwestii zwiększenia produkcji amunicji artyleryjskiej i zwiększenia liczebności sił dyslokowanych na wschodnią flankę.

W tym samym czasie Rosja potroiła swój budżet wojskowy, a Chiny zgromadziły ogromne zapasy surowców i żywności, prowadzą intensywną remilitaryzację obejmującą również sektor jądrowy i dążą do osłabienia międzynarodowej pozycji dolara. Sytuacja w Azji stale się zaostrza, o czym świadczą choćby ostat-

nie decyzje Tokio o zwiększeniu budżetu wojskowego i zacieśnieniu współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Podobną drogą podążają Filipiny, które przeprowadziły ostatnio na wyspie Luzon, w prowincji Ilocos Norte, najbliższej położonej wobec Tajwanu, duże manewry wojskowe z udziałem Amerykanów. Ci wysłali tam wyrzutnie Typhon, na których mogą być zamontowane rakiety Tomahawk o zasięgu do 2,5 tys. km. Nawet niewielki Singapur zdecydował w ostatnich tygodniach o zacieśnieniu współpracy wojskowej z USA.

Sytuacja się zaostrza, co oznacza, że ryzyko otwartego konfliktu narasta. Ewentualna zmiana w Waszyngtonie może ten proces jeszcze przyspieszyć, bo w otoczeniu Trumpa ścierają się dwie opcje. Pierwsza zwolenników polityki wobec Chin z pozycji siły, którą reprezentuje choćby Robert O'Brien, były doradca amerykańskiego prezydenta ds. bezpieczeństwa, i druga, też twardo antychińska, ale której zwolennicy, tacy jak Elbridge Colby, opowiadają się za połączeniem presji dyplomatycznej, ekonomicznej i wojskowej, a nie wyłącznie militarnej.

Ale nawet jeśli po listopadowych wyborach w Białym Domu nie zasiądzie kandydat Republikanów, to i tak trzeba się liczyć z ewolucją amerykańskiej polityki, która z pewnością przybierze bardziej antychiński wektor. Europa nie jest na takie zmiany zupełnie przygotowana i zapewne zostanie tak samo zaskoczona rozwojem wydarzeń, jak to miało miejsce w przypadku rosyjskiej agresji na Ukrainę. ●



Produkcja akcesoriów do sprzętu elektronicznego w zakładzie High-Tech Enterprise, Jiujiang, Chiny

fol. Shutterstock

możliwe pola wyboru geostrategicznego państw naszego kontynentu. W obliczu zaostrzającej się rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, mówienia o polityce de-riskingu, czyli ograniczeń w zakresie eksportu, perspektywy te nie wyglądają różowo. Gospodarki państw europejskich nie są też w porównaniu z rywalami z Azji czy Ameryki konkurencyjne. Z opublikowanych w czerwcu badań McKinsey Global Institute wynika, że duże koncerny europejskie inwestowały w 2022 r. 60 proc. mniej niż ich północnoamerykańscy rywale, rozwijały się w tempie o jedną trzecią wolniejszym, a dochód na głowę na naszym kontynencie był o 27 proc. niższy niż w Stanach Zjednoczonych, podczas gdy jeszcze 20 lat temu można było mówić o parytecie.

Powodów takiej sytuacji jest co najmniej kilka. Po pierwsze – wyższe podatki, bo poziom europejskich obciążeń wynosi średnio, według danych OECD, 38 proc. PKB i jest o 7 proc. większy niż w przypadku państw azjatyckich oraz o 15 proc. wyższy niż średnia amerykańskich członków zrzeszonych w tej organizacji. Po drugie – rozbudowa państwa socjalnego. Z analiz niemieckiego Instytutu IFO wynika, że redukując wydatki na obronność, Europa „zaoszczędziła” przez ostatnie 30 lat 1,8 bln euro. Zdecydowanym liderem w tym przypadku są Niemcy, gdzie oszczędności z tego tytułu wyniosły 680 mld euro. Problemem jest wszakże to, co podnieśli też eksperci Instytutu – że pieniądze te zostały niemal w całości przeznaczone na rozbudowę państwa socjalnego. Nakłady na naukę, badania i rozwój czy choćby inwestycje w infrastrukturę nie zostały zwiększone w relacji do PKB w ostatnim 30-leciu niemal w ogóle, a nadwyżkę środków skonsumowały programy społeczne, których wartość wzrosła 2,2 razy,

i biurokracja, która nadzoruje dystrybucję środków publicznych. W efekcie gospodarki najbogatszych państw europejskich wchodzi w nowe czasy rywalizacji mocarstw, nie tylko nie mając „zapasów” finansowych, lecz również przygniecione ciężarem długu publicznego, który w przypadku krajów południa Europy, także Francji, przekroczył już 100 proc. PKB.

Niemcy z kolei za czasów Merkel wprowadzili rozwiązania konstytucyjne blokujące wzrost zadłużenia i skalę deficytu budżetowego, co oznacza, że chcąc zmienić te krępujące swobodę ruchów regulacje, trzeba osiągnąć ponadpartyjny kompromis, o który znacznie trudniej w sytuacji, kiedy trzeba powiedzieć wyborcom o perspektywie zaciśnięcia pasa i redukcji wydatków socjalnych w najbliższych latach.

Jeśli na te wyzwania nałożymy jeszcze rysujące się problemy demograficzne, bo z niemieckiej gospodarki odejdzie w świetle oficjalnych szacunków Berlina 7 mln osób do 2035 roku, to sytuacja wygląda źle. Notabene szacunki ZUS wskazują, że niedobór rąk do pracy w Polsce w związku ze zmianami demograficznymi osiągnie w tym samym roku 2,7 mln osób, co oznacza, że i my mamy przed sobą, z tego punktu widzenia, spory problem.

Innymi słowy Europa wchodzi w burzliwe czasy narastającej rywalizacji globalnej wyjątkowo źle przygotowana. Ma niekonkurencyjną gospodarkę, rozwiniętą ponad racjonalną miarę biurokrację, szczodre programy socjalne, które zresztą są jednym z powodów kolejnej plagi, jaką stał się kryzys migracyjny. W przyszłości trzeba będzie skokowo zwiększać wydatki na bezpieczeństwo, dokonywać transformacji energetycznej i być może szukać nowych rynków zbytu, bo w sytuacji narastającego napięcia uzależnienie od importu

na samochody importowane z Chin. Ta decyzja uderzy w przyszłości w niemieckich producentów, bo – jak wyjaśnił Müller – sprzedali oni w ubiegłym roku 100 razy więcej aut na rynku chińskim niż producenci z Państwa Środka w Niemczech i ewentualne retorsje Pekinu mogą jeszcze pogorszyć i tak niełatwą sytuację.

Kryzys w niemieckiej branży motoryzacyjnej zaczęli już odczuwać dostawcy części i podzespołów. Trzy największe firmy z tego sektora ograniczyły o połowę w porównaniu z rokiem 2023 liczbę ofert pracy, a w dłuższej perspektywie chcą zmniejszyć zatrudnienie. ZF planuje zwolnić 14 tys. osób do 2028 roku, Bosch redukuje 3 tys. etatów, a Continental ma na liście zwolnień 1,2 tys. pracowników.

Brakuje pieniędzy

Trudną sytuację niemieckiej gospodarki potwierdzają dane statystyczne. W lutym minister gospodarki i energii Robert Habeck mówił o „burzliwych wodach”, które trzeba będzie przepłynąć, ale póki co wygląda to nie najlepiej. W pierwszym kwartale niemiecki PKB wzrósł o 0,2 proc., ale w drugim już spadł, według danych Federalnego Urzędu Statystycznego, o 0,1 proc., co oznacza, że gospodarka praktycznie się nie rozwija, pozostając w stagnacji i jest na szarym końcu w porównaniu z innymi państwami Unii Europejskiej. Ekonomiści ankietowani przez Bloomberg szacują tegoroczny wzrost niemieckiego PKB na 0,1 proc., nieco lepiej ma być ich zdaniem w roku przyszłym, kiedy gospodarka może urosnąć o 1,1 proc.

Słabe perspektywy wzrostu gospodarczego przekładają się na napięcia budżetowe. Koalicja z trudem osiągnęła w lipcu porozumienie w sprawie przyszłorocznego budżetu, ale dyskusje zostały wznowione w sierpniu, po tym jak minister finansów Christian Lindner z FPD zlecił analizę ekonomiczną i konstytucyjną kilku uzgodnionych już projektów, za którymi optowali partnerzy koalicyjni. Niezależnie od tego, czy spory uda się zażegnać, nie ulega wątpliwości, że pieniędzy brakuje. Najlepiej widać to na przykładzie niemieckich nakładów na bezpieczeństwo. Minister obrony Boris Pistorius chciał



zwiększenia budżetu resortu obrony w przyszłym roku o 6,5 mld euro, a dostał jedynie 1,17 mld. Tygodnik „Spiegel” „prześwietlił” też zakupy sprzętu wojskowego rządu Scholza i doszedł do wniosku, że w większej części zamówienia składane są „na kredyt”, tzn. bez wydzielania środków na ich sfinansowanie. Dziennik „Bild” policzył, że tylko w jednym tygodniu czerwca niemiecki rząd zamówił „na kredyt” w Stanach Zjednoczonych i u własnych producentów sprzęt wojskowy oraz amunicję o łącznej wartości 10,8 mld euro, za które trzeba będzie zapłacić w 2028 r. W tym roku trzeba też będzie uruchomić nowy fundusz Zeitenwende o wartości co najmniej 100 mld euro, bo stary został już w całości skonsumowany, lub powiększyć roczny budżet resortu obrony o niemal 30 mld. Bez tego nie uda się zrealizować zapewnień kanclerza Scholza, który przy okazji szczytu NATO w Waszyngtonie gwarantował, że Niemcy nie zejda poniżej poziomu 2 proc. PKB przeznaczanych na bezpieczeństwo. W jaki sposób tego dokonają, będzie smartwieniem rządu, który powstanie po wyborach parlamentarnych jesienią przyszłego roku.

Chcąc opisać skalę wyzwań budżetowych i gospodarczych, przed którymi stoją Niemcy, warto też do tego obrazu dodać szacunki Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego (BDI), w świetle których tylko na sfinansowanie ambitnych celów klimatycznych trzeba będzie wydać 400 mld euro w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Ekonomiści są zdania, że będzie to nawet 600 mld euro.

Daleko za Azją i Ameryką

Opis wyzwań, przed którymi stoi największa gospodarka Europy, dobrze ilustruje sytuację i zarazem

”
Redukując wydatki na obronność, Europa „zaoszczędziła” przez ostatnie 30 lat 1,8 bln euro. Zdecydowanym liderem w tym przypadku są Niemcy, gdzie oszczędności z tego tytułu wyniosły 680 mld euro

MAREK BUDZISZ

Unia wchodzi w burzliwe czasy narastającej globalnej rywalizacji wyjątkowo źle przygotowana. Gospodarki najbogatszych państw europejskich nie tylko nie mają zapasów finansowych, lecz również przygniecione są ciężarem długu publicznego.

Europa ma niekonkurencyjną gospodarkę, nadmiernie rozwiniętą biurokrację i szczodre programy socjalne, które są jedną z przyczyn kryzysu migracyjnego

Zankiety, w której wzięło udział 3,3 tys. niemieckich firm, przeprowadzonej latem tego roku przez Niemiecką Izbę Przemysłowo-Handlową, wynika, że nadal rośnie liczba podmiotów, które myślą o przeniesieniu się za granicę. Sytuacja jest jeszcze bardziej dramatyczna, jeśli weźmie się pod uwagę duże przedsiębiorstwa z branży produkcyjnej. Wśród firm przemysłowych zatrudniających ponad 500 osób, 51 proc. planuje ograniczenia produkcji lub emigrację. W ubiegłym roku było to 43 proc. Niepokojące z punktu widzenia niemieckich władz jest to, że duże firmy mają zazwyczaj dobrą pozycję na arenie międzynarodowej, co ułatwia im wdrażanie planów migracyjnych. „Deindustrializacja Niemiec rozpoczęła się i wydaje się, że nikt nie podejmuje działań przeciwko niej” – taki komentarz jednego z uczestników badania przywołali, prezentując jego wyniki, przedstawiciele Izby.

Błędy Brukseli

Jednostkowe dane potwierdzają ten mało optymistyczny obraz. Gigant hutniczy ThyssenKrupp realizuje trudny plan restrukturyzacji, przewidujący zarówno zwolnienia grupowe w największej niemieckiej hucie stali w Duisburgu, w której produkcja ma być zmniejszona z 11,5 mln ton do 9 mln ton, jak i szukanie oszczędności w innych segmentach koncernu. „Sytuacja jest krytyczna i bez zdecydowanych środków zaradczych

”

Poziom europejskich obciążeń wynosi średnio, według danych OECD, 38 proc. PKB i jest o 7 proc. większy niż w przypadku państw azjatyckich oraz o 15 proc. wyższy niżli średnia amerykańskich członków zrzeszonych w tej organizacji



może szybko stać się zagrożeniem egzystencjalnym” – powiedział, publicznie uzasadniając cięcia, Miguel Lopez, prezes firmy.

Baywa, bawarski gigant, działająca w 50 krajach firma zaopatrująca rolnictwo, właśnie dostała ponad 500 mln euro pomocy od akcjonariuszy, bez której musiałaby ogłosić upadłość. Jak jednak oceniają specjaliści, środków wystarczy do połowy września. Co dalej, póki co nie wiadomo.

Niemieccy producenci samochodów przegrywają walkę konkurencyjną na światowych rynkach. Firma konsultingowa EY, która od 2011 roku analizuje dane finansowe 16 największych producentów aut na świecie, w swym tegorocznym raporcie poinformowała, że trzy niemieckie koncerny – BMW, Mercedes i Volkswagen – znajdujące się w tym rankingu radziły sobie znacznie gorzej niż konkurencja. Odnotowały spadek sprzedaży łącznie o 1,7 proc., ale już zyski zmniejszyły się o jedną czwartą. Te dane nie oddają jeszcze pełnego obrazu sytuacji, gdyż – jak powiedział w wywiadzie Hildegard Müller, prezes Związku Przemysłu Motoryzacyjnego (VDA): „W niektórych przypadkach możemy działać nadal w Niemczech, bo pieniądze zarabia się w lokalizacjach za granicą”. W opinii przedstawicieli branży źródeł kryzysu jest co najmniej kilka – nadmierna biurokracja, wysokie koszty energetyczne i błędna polityka handlowa Brukseli, która zaczęła wprowadzać cła

temat numeru

Fakty & Procesy & Prognozy

Europa znowu będzie

zaskoczona

fol. Shutterstock

”

Wygłąda na to, że Unia Europejska po wyborach parlamentarnych – choć wskazały one na wzrastające poparcie dla nowych, narodowych ruchów – nie zmienia swoich priorytetów: cały czas należy do nich zielona transformacja, a zwrot ku ekologii będzie kontynuowany... Czy uważa pan, że to dobry kierunek? Czy UE nie popełnia błędów, zapominając o rachunku ekonomicznym i o globalnym otoczeniu konkurencyjnym, które w swoich dążeniach ekologicznych jest mniej radykalne?

Tu odwołam się do Szczytu Klimatycznego ONZ – COP24 w 2018 roku w Katowicach oraz przyjętej na nim Śląskiej Deklaracji Solidarnej i Sprawiedliwej Transformacji, zgodnie z którą ochrona klimatu nie może abstrahować od konieczności utrzymywania rozwoju gospodarczego i miejsc pracy, czyli transformacja energetyczna nie może być prowadzona wbrew człowiekowi, jego podstawowym potrzebom i możliwości rozwoju. Prezydent Duda jest niezmiennie orędownikiem tej zasady. Oczywiście najbardziej radykalne pomysły dotyczące transformacji energetycznej wywołują uzasadnione obawy. Protesty przeciw Zielonemu Ładowi, jakie obserwowaliśmy przed kilkoma miesiącami w całej Europie, są tego najlepszym świadectwem. Nie chcę ferować wyroków, czy stoją za nimi ukryte interesy biznesowe czy presja ideologiczna, czy też szczerza troska niektórych osób w odpowiedzi na realny przecież proces zmian klimatu. Nie deprecjonowałbym jednak znaczenia presji ideologicznej, bo można odnieść wrażenie, że pewne projekty idą w UE znacznie dalej niż w innych częściach świata.

„Nie wbrew człowiekowi”, ale i „nie przeciw gospodarce”. Pozbawiamy się konkurencyjności naszych produktów...

Cóż, decyzje rządu niemieckiego o wygaszeniu energetyki jądrowej są najlepszym przykładem działania wbrew własnej gospodarce i pozbawienia się dostępu do bezemisyjnej energii.

Czy my, opóźniając budowę elektrowni jądrowych w Polsce, nie robimy właśnie tego samego? Hamują publiczne inwestycje, duże projekty – CPK, sieć kolejowa, użegłowanie Odry, a Koreańczycy zbudują jądrowkę... w Czechach.

Rzeczywiście można odnieść wrażenie, że te inwestycje hamują, co budzi moje zdumienie. Przecież te wielkie projekty to nie są jakieś tam projekty rządowe, tylko strategiczne projekty rozwojowe i społeczne. To kwestia infrastruktury, bezpieczeństwa energetycznego, transportu, wokół czego udało się zbudować daleko idący konsensus społeczny. Te dość niezrozumiałe działania z ostatnich miesięcy wokół CPK czy energetyki jądrowej – mówię tu np. o słowach jednego z przedstawicieli rządu o możliwej zmianie lokalizacji elektrowni jądrowej – będą miały najpewniej jeden zasadniczy skutek: że te inwestycje będą opóźnione.

Stany Zjednoczone są od początku strategicznym partnerem Trójmorza. Bez względu na to, kto wygra wybory prezydenckie w USA, jubileuszowy szczyt będzie doskonałą okazją, by umocnić amerykańskie wsparcie dla Inicjatywy

A na to nas przecież nie stać. Musimy doprowadzić do uruchomienia pierwszych bloków jądrowych jak najszybciej. Publiczne zapowiedzi zmian decyzji lokalizacyjnych są działaniem wbrew interesowi publicznemu, bezpieczeństwu energetycznemu i rozwojowi gospodarczemu. Wzbudza to też uzasadnione obawy u naszych międzynarodowych partnerów. Szczęśliwie jeszcze za poprzedniego rządu udało się podpisać umowę z konsorcjum Westinghouse-Bechtel na finalny projekt pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce, ale niepokoi cisza wokół drugiej elektrowni przewidzianej w programie Polityka Energetyczna Polski do 2040 roku.

Staramy się zrozumieć, o co chodzi... Szukamy uzasadnień, by móc też podjąć merytoryczną dyskusję. Czy to jakaś zmiana podstaw polityki gospodarczej rządu?

Mnie też to zastanawia. Uczestniczyłem w kilku spotkaniach na ten temat, także z przedstawicielami obecnego rządu. Można było na nich odnieść wrażenie, że po stronie rządowej jest jednak jakaś wola kontynuacji tych projektów. Tym bardziej niezrozumiałe jest to opóźnianie inwestycji. Cóż, pozwolą panowie, że nie będę tego komentował.

To skomentujmy zbliżające się, wiosenne wybory prezydenckie. Kohabitacja, ten znany z naszej historii wybór: „wasz rząd, nasz prezydent”, jest korzystną opcją dla rozwoju gospodarczego, ale czy także dla polskiej polityki międzynarodowej?

Kohabitacja oczywiście niesie ze sobą pewne problemy, ale otwiera pewne możliwości. W obecnych uwarunkowaniach sytuacja, w której prezydent i rząd wywodzą się z różnych obozów politycznych, może chronić przed niepotrzebnymi gwałtownymi zmianami i gwarantować pewną ciągłość w polityce gospodarczej oraz międzynarodowej. Czy taki układ utrzyma się po przyszłorocznych wyborach prezydenckich? Tego oczywiście nie wiem, ale w polityce wszystko jest możliwe. ●

”

W ostatnim czasie znaczenie potencjału militarnego wschodniej flanki NATO zdecydowanie wzrasta. Wydatki na zbrojenia w naszej części Europy są znacznie wyższe niż w innych częściach kontynentu

fol. Andrzej Wiktor

”

Znów jesteśmy w sytuacji, w której NATO było przed kilkudziesięciu laty – w obliczu realnego zagrożenia wojną. I musimy się do tego przygotowywać.

Na szczęście w Polsce jest tego świadomość po wszystkich stronach politycznego sporu

wyborach do Parlamentu Europejskiego. Raczej mamy do czynienia z kontynuacją. Po pierwsze – polityczny układ sił zmienia się często w opóźnieniu do procesów gospodarczych, do zmiany potencjałów ekonomicznych. Podobnie jest ze zmianami potencjałów politycznych wobec militarnych. W ostatnim czasie znaczenie potencjału militarnego wschodniej flanki NATO zdecydowanie wzrasta. Wydatki na zbrojenia w naszej części Europy są znacznie wyższe niż w innych częściach kontynentu. My jesteśmy absolutnym liderem w tym zakresie, przeznaczając na obronność 4 proc. PKB. Mimo to, kiedy spojrzymy na strukturę Sojuszu, infrastrukturę sojuszniczą, a nawet podział stanowisk, to wciąż pozostajemy w tyle. Mówię o całym naszym regionie. Niestety niekiedy wynika to z naszych błędów. Na przykład niedawno mieliśmy szansę na objęcie bardzo ważnego stanowiska w NATO przez ambasadora Tomasza Szatkowskiego, który miał do tego wszelkie predyspozycje – to człowiek powszechnie szanowany, kompetentny, świetnie osieciowany w Brukseli, jako były wiceminister obrony narodowej i wieloletni Stały Przedstawiciel Polski przy NATO doskonale zna realia Sojuszu. Niestety, choć miał realne szanse, by objąć to stanowisko, polityczna wrogość ze strony rządu przekreśliła tę kandydaturę.

Co do Trójmorza, trzeba powiedzieć, że znaczenie tego formatu stale rośnie. Cały obszar CEE rozwija się znacznie szybciej niż pozostałe państwa członkowskie UE. To, że pewne procesy polityczne są opóźnione? Jestem w tej sprawie optymistą, bo prędzej czy później to się zmieni. To jest też nasza odpowiedzialność jako władz oraz moja nadzieja, że polski rząd będzie umiejętnie korzystał z tego narzędzia, jakim jest Inicjatywa Trójmorza, i nie zaniedba tego, co udało się już wypracować. Przyszłą wiosną w Polsce odbędzie się szczyt Inicjatywy Trójmorza. To będzie dobry moment, by ten projekt zyskał nowy impet.

Trójmorze potrzebuje dobrego impulsu. Zakończona, wygrana wojna na Ukrainie mogłaby być takim momentem, a Ukraina mogłaby dzięki Inicjatywie łatwiej dostać się do Unii Europejskiej. Zgodzi się pan z takim scenariuszem?

Region Trójmorza będzie odgrywał niezwykle istotną rolę w odbudowie Ukrainy. To oczywiste choćby z powodów geograficznych i Polska, jako największy kraj oraz największa gospodarka tej części Europy, musi być w awangardzie tego procesu. Stąd moja uwaga o szczególnej odpowiedzialności polskich władz za przyszłość Inicjatywy Trójmorza. Negocjacje akcesyjne między Unią a Ukrainą się toczą, przyszłe członkostwo Ukrainy w Trójmorzu jest naturalne, zwłaszcza że już teraz jest ona partnerem stowarzyszonym Inicjatywy. Ale mówimy tu o perspektywie dość odległej, bo Trójmorze było i jest inicjatywą krajów członkowskich UE. Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, to nie jest projekt realizowany w kontrze do Unii, lecz projekt wewnątrzunijny.

Polska zaangażowała się mocno w ten wyjątkowy, geopolityczny projekt prezydenta Andrzeja Dudy, także finansowo. Nie bez znaczenia jest również ogromne zainteresowanie Trójmorzem Stanów Zjednoczonych. Jak pan ocenia ryzyko związane właśnie z tą finansową częścią projektu w kontekście zbliżających się wyborów w USA?

Stany Zjednoczone są od początku strategicznym partnerem Trójmorza. Bez względu na to, kto wygra wybory prezydenckie w USA, jubileuszowy szczyt będzie doskonałą okazją, by umocnić amerykańskie wsparcie dla Inicjatywy. Ale pamiętajmy, że Trójmorze to nie tyle projekt geopolityczny, ile przede wszystkim infrastrukturalny w zakresie energetyki, transportu oraz komunikacji cyfrowej, i w tym sensie dotyczący także naszego bezpieczeństwa. Nie zapominajmy, że jest to też projekt gospodarczy oraz biznesowy i jako taki jest Polsce potrzebny, korzystny dla nas i dla całego regionu. Dlatego wierzę, że zaangażowanie polskiego rządu w rozwój Inicjatywy pozostanie na wysokim poziomie.

W kontekście zatem Trójmorza, ale też wyborów w UE i USA, prowadzenia polityki międzynarodowej – czy nie obawia się pan, że przyszło nam znów prowadzić dwie równoległe albo – gorzej – prostopadłe polityki?

Mam nadzieję, że nie. Konstytucja RP nakłada na rząd i Prezydenta obowiązek współdziałania w zakresie polityki zagranicznej. Jeśli popatrzymy na wizytę w Chinach, to mogę powiedzieć, że mieliśmy do czynienia z taką właśnie, spójną współpracą. Umowy, które były podpisywane, także udział przedstawicieli rządu, wiceministra spraw zagranicznych, wiceministra rolnictwa, ale też wspólne przygotowanie tej wizyty przez Kancelarię Prezydenta, ministerstwa, ambasadę w Pekinie – pokazuje, że mamy do czynienia ze współdziałaniem. Jeśli chodzi o Trójmorze, chcę wierzyć, że słowa ministra Sikorskiego z exposé pozostają w mocy.

częściach świata. Prezydent Duda odbył niedawno wizytę w Chinach – wiemy, że relacje z Państwem Środka, zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Unii Europejskiej, są dość skomplikowane. Ale ta wizyta pokazała, że Polska może mieć i ma własne relacje z Chinami.

Wizyta prezydenta Andrzeja Dudy w Pekinie pokazała, że możemy wobec Chin prowadzić dwustronne relacje i stanąć w pierwszym rzędzie europejskich rozmów z Xi Jinpingem. Choć mam wrażenie, że Europa w wielu elementach tej globalnej rozgrywki przez lata traciła na znaczeniu...

Ta wizyta była bardzo dobrze oceniana na całym świecie, także w Polsce, co jest pewnym ewenementem, bo zarówno w mediach, jak i wśród reprezentantów całej sceny politycznej w kraju odbiór rozmów w Pekinie był jednoznacznie pozytywny. To dla naszych relacji gospodarczych, a także kwestii bezpieczeństwa ma ogromne znaczenie. Relacje z Chinami za czasów prezydentury Andrzeja Dudy rozwijały się nieustannie. Przecież jedną z pierwszych wizyt zagranicznych Prezydenta była właśnie wizyta w Chinach w 2015 roku. Potem była wizyta przewodniczącego Xi Jinpinga w Polsce. Oczywiście musimy pamiętać, że te relacje nie są wolne od problemów, takich jak potężny deficyt handlowy w wymianie towarów. Natomiast ostatnia wizyta zaowocowała decyzjami, które mogą przynieść tu istotną poprawę. Zwracam uwagę na uwolnienie eksportu polskiego drobiu i przyjęcie deklaracji wprowadzenia trwałego mechanizmu regionalizacji. To jest bardzo istotna sprawa – jeden z elementów, który ma doprowadzić do lepszego zbalansowania wymiany handlowej.

Handel międzynarodowy w czasie napiętej sytuacji w polityce globalnej staje się wyjątkowo trudny. Choć stawiamy tezę, że przyzwyczailiśmy się po pandemii do prowadzenia biznesu w warunkach „wojennych”...

To może taka refleksja bardziej historiozoficzna: po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego wielu intelektualistom i politykom wydawało się, że oto nastąpił koniec historii i ostateczny triumf liberalnej demokracji. Panowało przekonanie, że nastał czas wiecznie pokojowego rozstrzygania sporów i swobodnej wymiany handlowej, postępującej globalizacji... ale okazało się, że tak nie jest. Brutalne realia polityki, jaką znamy od wieków, wracają do nas z całą mocą. Najwyższy czas wyżyć się złudzeń, że skończyła się historia. Historia trwa i musimy być tego świadomi, bo pewne procesy, zjawiska wciąż wracają.

W jakim momencie w takim razie znajduje się globalna geopolityka?

Proces zmian w porządku światowym trwa nieustannie. Można wręcz postawić tezę, że jesteśmy u progu istotnego przesilenia. Z punktu widzenia

ekonomicznego zmienia się układ sił w parytecie PKB w wymiarze globalnym. Proszę spojrzeć np. na Grupę G7, która przed 30 laty odpowiadała za prawie połowę światowego PKB, dziś jest to raptem nieco ponad jedna czwarta. Widzimy, jak zwiększa się znaczenie innych części świata, choćby regionu Azji i Pacyfiku. Ale nie tylko. Trendy demograficzne, które obserwujemy na świecie, rozwój demograficzny państw Globalnego Południa, pociągają za sobą wzrost udziału w światowej gospodarce. To prowadzi do tego, że pewne mechanizmy, uporządkowane i ustalone od lat, przestają pasować do tych nowych realiów. I w naszych kontaktach z partnerami zagranicznymi z Globalnego Południa także otrzymujemy takie sygnały, że z ich punktu widzenia istniejące instytucje międzynarodowe wymagają poważnych reform. Dotyczy to zarówno instytucji politycznych, jak i finansowych. Gdy jednak pytają panowie o ten moment w sytuacji międzynarodowej, to oczywiście trzeba powiedzieć o wojnie, która wróciła na kontynent europejski. Znowu jesteśmy w sytuacji, w której NATO było przed kilkudziesięciu laty – w obliczu realnego zagrożenia wojną. I musimy się do tego przygotowywać. Na szczęście w Polsce jest tego świadomość po wszystkich stronach politycznego sporu. Ale musimy pracować nad tym, by ta świadomość była powszechna u wszystkich naszych sojuszników.

A nie jest?

Myślę, że nie jest ona jednolita. Nie każdy ma do czynienia z agresorami z państw imperialistycznych tak blisko jak my, którzy sąsiadujemy z Rosją, więc siłą rzeczy dla niektórych krajów te zagrożenia są mniej namacalne. Widzimy to w poziomie wydatków na zbrojenia. W 2014 roku państwa sojusznicze NATO dobrowolnie zobowiązały się do tego, by wydawać minimum 2 proc. PKB na obronność. Mija dziesięć lat, w tym czasie Rosja dokonuje pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, a mimo to wciąż dziewięć państw NATO nie osiągnęło tego poziomu wydatków. Tymczasem, co wyraźnie podkreśla prezydent Duda, powinniśmy mówić już o pilnym podniesieniu tego pułapu.

Czas przełomu, globalne turbulencje polityczne i gospodarcze, o których mówimy od jakiegoś czasu, są oczywiście barierą rozwojową, ale też szansą. Przez pewien czas wydawało się, że w globalnej – a przynajmniej europejskiej – gospodarce coraz większe znaczenie zyskuje nasz region, czyli Europa Środkowo-Wschodnia. Projekt Trójmorza stawał się kluczowym elementem geopolitycznego porządku w Europie. Czy nie uważa pan, że tak już nie jest, że znowu rządzi Stara Unia, a nasz region ponownie schodzi na boczny tor?

Nie, nie zgadzam się. Nie widzę żadnej znaczącej zmiany w tej unijnej układance po ostatnich



foto: Andrzej Wiktor

ROZMAWIALI

MACIEJ WOŚKO I STANISŁAW KOCZOT

O politycznych i gospodarczych turbulencjach, znaczeniu Trójmorza oraz kohabitacji z nowym rządem, o inwestycjach, które nie mogą czekać, a także o udanej wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Chinach, mówi minister Mieszko Pawlak, podsekretarz stanu, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Panie ministrze, mamy za sobą wybory do Parlamentu Europejskiego, trwa ostra kampania prezydencka w USA, wiele problemów globalnych albo nie zostało rozwiązanych, albo pojawiły się nowe – Chiny, Bliski Wschód, wojna na Ukrainie... Czy pana zdaniem polska polityka międzynarodowa znajduje w tym zawiłym procesie zmian własną drogę?

MINISTER MIESZKO PAWLAK: Od 2020 roku, gdy wybuchła pandemia, w polityce międzynarodowej zaszła trwała zmiana, bo o ile do 2019 roku można było jeszcze mówić o względnej, podkreślam – względnej – stabilności, o tyle od czterech lat sytuacja jest już inna. Najpierw mieliśmy wybuch pandemii COVID-19, który przyniósł wiele poważnych problemów społecznych i gospodarczych, w tym zerwanie łańcuchów dostaw, drastyczny spadek PKB na całym świecie, załamanie relacji handlowych. W lutym 2022 roku Rosja dokonała pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, a ostatni rok to eskalacja konfliktu na Bliskim Wschodzie. To dla Polski, leżącej w szczególnym i potencjalnie jednym z najbardziej zapalnych miejsc na świecie – graniczymy przecież z Rosją – ogromne wyzwanie. Priorytetem staje się troska o bezpieczeństwo. Na pewno ta trudna sytuacja w wymiarze globalnym nam nie sprzyja. Wiemy, że nasz najważniejszy sojusznik, jakim są Stany Zjednoczone, jest zaangażowany nie tylko we wspieranie naszego bezpieczeństwa w ramach NATO, bo Bliski Wschód jest dla USA również niezwykle ważnym obszarem działania. Kwestia rywalizacji z Chinami także angażuje naszego amerykańskiego sojusznika. Zatem podstawowe zadanie, z którego polskie władze, w tym Prezydent RP, od lat się wywiązują, to troska o nasze bezpieczeństwo. Ale poza bezpieczeństwem mamy oczywiście wiele innych istotnych wyzwań, choćby w zakresie dyplomacji gospodarczej. Staramy się być aktywni w wielu



W polityce wszystko jest możliwe

SPIS TREŚCI



TEMAT NUMERU:

Europa będzie zaskoczona

Unia wchodzi w burzliwe czasy narastającej globalnej rywalizacji wyjątkowo źle przygotowana. Gospodarki najbogatszych państw europejskich nie tylko nie mają zapasów finansowych, lecz również przygniecione są ciężarem długu publicznego

str. 12

WYDARZENIA:

Plan eurokratów na rolnictwo

Decydenci z Brukseli i Strasburga dwoją się i troją, by za pomocą ekologicznych dyrektyw oraz zarządzeń obniżyć konkurencyjność, a tym samym zmniejszać opłacalność upraw na Starym Kontynencie

str. 34



WYDARZENIA:

Tani Armani

Second handy biją rekordy popularności nawet wśród zamożnych osób. Na czym polega fenomen sklepów z używaną odzieżą i dlaczego ich obroty rosną aż 11 razy szybciej niż sprzedaż nowych ubrań?

str. 42

FINANSE:

Sztuka – najpewniejsza z inwestycji

Wraz ze wzrostem fortun rosną prywatne kolekcje. Tę prawidłowość możemy zaobserwować także w Polsce. Trudno nie odnieść wręcz wrażenia, że inwestycja w sztukę jest jak przepustka do wyższej ligi

str. 72



od redakcji 3

wywiad gospodarczy

W polityce wszystko jest możliwe

Mieszko Pawlak, podsekretarz stanu, szef Biura Polityki Międzynarodowej w KPRP: Znów jesteśmy w sytuacji, w której NATO było przed kilkudziesięciu laty – w obliczu realnego zagrożenia wojną 6

temat numeru

Zmiany na geopolitycznej mapie.

Czy Europa odnajdzie się w nowym świecie?

Marek Budzisz: Europa znowu będzie zaskoczona 12
Agnieszka Łakoma: Bój o elektryki trwa. Co na to WTO? ... 17
Trudna przyszłość Europy. Globalne trendy według ESPAS .. 20

wydarzenia

Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu:
Ludzie oczekują od rządzących, że sytuacja gospodarcza będzie lepsza, a nie gorsza 24
Arkady Saulski: Kolejne miliardy na obronę 30
Piotr Filipczyk: Plan eurokratów: ziemię zaorać, żywność sprowadzać 34
Artur Ceyrowski: Kto zarabia na polskich autostradach? 38
Grzegorz Szafraniec: Tani Armani 42
Joanna Buczyńska: Wynajem mieszkań mniej opłacalny 46
Agnieszka Łakoma: Przemysł europejski potrzebuje koła ratunkowego 48
Dariusz Lipiński: Polska polityka unijna nie istnieje, bo... .. 52
Bartosz Życiński: Więcej integracji i migracji, ale... Paul Krugman w Szkole Głównej Mikołaja Kopernika 56
Niedoceniany kapitał ludzki 60

finanse

Prof. Małgorzata Iwanicz-Drozdowska, prezes Krajowego Związku Banków Spółdzielczych: Starzenie się społeczeństwa i depopulacja to realne przeszkody 64
Stanisław Koczot: Nie ma litości dla byłych zarządów 68
Beata Zubowicz: Sztuka – najpewniejsza z inwestycji 72
Folder Finanse 76

historia gospodarcza

Małgorzata Dygas: Sztuka wędzenia z tradycjami 78

felietony

Małgorzata Zaleska 33
Jan Rokita 45
Ryszard Czarnecki 51
Stanisław Koczot 59
Krzysztof Kotowski 77
Grzegorz Szulczewski 82



WYWIAD GOSPODARCZY:

W polityce wszystko jest możliwe

Znów jesteśmy w sytuacji, w której NATO było przed kilkudziesięciu laty – w obliczu realnego zagrożenia wojną.

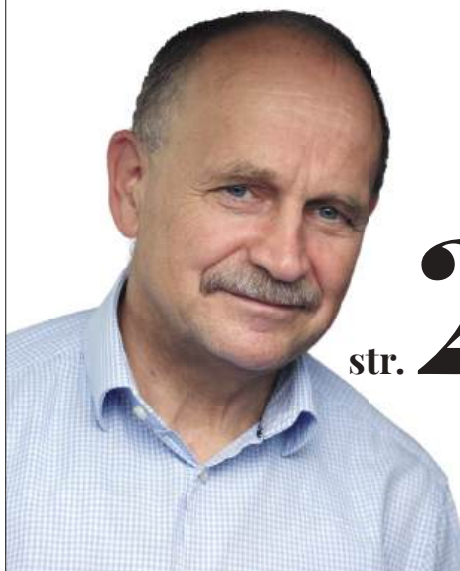
I musimy się do tego przygotowywać. Na szczęście w Polsce jest tego świadomość po wszystkich stronach politycznego sporu – mówi minister Mieszko Pawlak, podsekretarz stanu, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

str. **6**

WYDARZENIA:

Czego Polacy oczekują od rządzących?

Jesteśmy uczestnikami procesu, który zmienia europejską politykę i europejską gospodarkę. Zmienia też myślenie o tym, jak rozwiązywać najtrudniejsze sprawy. I to jest właśnie ten czas nowych liderów – mówi Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu.



str. **24**

FINANSE:

Polski sektor bankowy jest bezpieczny

Wyniki finansowe banków spółdzielczych są bardziej wrażliwe na zmiany poziomu stóp procentowych. Istotne jest zatem, aby budowały zdolność do generowania przychodów pozaodsetkowych – wyjaśnia prof. Małgorzata Iwanicz-Drozdowska, prezes Krajowego Związku Banków Spółdzielczych, kierownik Katedry Systemu Finansowego, Kolegium Zarządzania i Finansów SGH



str. **64**

REDAKCJA

ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa
tel. (22) 616 36 00
redakcja@gb.pl

REDAKTOR NACZELNY

Maciej WOŚKO maciej.wosko@fratria.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Stanisław KOCZOT

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof KOTOWSKI

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Joanna BUCZYŃSKA, Ryszard CZARNECKI,
Małgorzata DYGAŚ, Agnieszka ŁAKOMA (wGospodarce.pl), Jan ROKITA,
Arkady SAULSKI, Grzegorz SZAFRANIEC, prof. Grzegorz SZULCZEWSKI,
prof. Małgorzata ZALESKA, Beata ZUBOWICZ

RADA PROGRAMOWA

prof. Grażyna Ancyparowicz, GWSH; dr hab. Dominik Bierecki, Spółdzielczy Instytut
Naukowy w Sopocie, kancelaria Jedliński, Bierecki i Wspólnicy w Gdyni; Tomasz Chrośny;
prezes UOKiK; prof. Leszek Działko, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu;
prof. Andrzej Gospodarowicz, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu;
dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, Uniwersytet Warszawski; prof. Alojzy Z. Nowak,
Uniwersytet Warszawski; Zdzisław Sokół, doradca Prezydenta RP;
Henryk Uzdrowski, Grupa Fratria; prof. Małgorzata Zaleska, SGH;
prof. Jerzy Żyżyński, Uniwersytet Warszawski

WYDAWCA



Fratria sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
www.fratria.pl

PREZES

Romuald ORZEŁ

DRUK

Walstead Kraków Sp. z o.o.

DYREKTOR KREATYWNY

Michał KORSUN michal.korsun@fratria.pl

STUDIO GRAFICZNE

Andrzej SKWARCZYŃSKI andrzej.skwarczynski@fratria.pl
Lidia SŁOWIKOWSKA-SMOLINSKA lidia.slowikowska@fratria.pl
Paweł ŻURAWSKI

FOTODYDZIA

Anna ŁABĘCKA anna.labecka@fratria.pl

KOREKTA

Anna WOLF

PRODUKCJA I DYSTYBUCJA

Mariola BARCIKOWSKA mariola.barcikowska@fratria.pl

DYREKTOR DS. MARKETINGU,
KOMUNIKACJI ORAZ ORGANIZACJI EVENTÓW
Joanna MAZUR joanna.mazur@fratria.pl

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU

Katarzyna MARCHEWKA – katarzyna.marchewka@fratria.pl,
tel. 603 097 503

PATRONATY MEDIALNE

marketing@fratria.pl

BIURO REKLAMY

e-mail: reklama@fratria.pl
tel. (22) 463 49 93

PRENUMERATA REDAKCYJNA

prenumerata@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00

Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.gb.pl

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
nr konta: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Publikacja jest chroniona przepisami prawa autorskiego.
Wykonywanie kserokopii lub powielanie inną metodą oraz
rozpowiadanie bez zgody wydawcy w całości lub w części
jest zabronione i podlega odpowiedzialności karnej.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega prawo redagowania
nadesłanych tekstów. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezpłatna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Zdjęcia na okładce:

Andrzej Wiktor (x2), Shutterstock (x2)

Między wierszami...

W czasach szczęśliwie minionych, w rozkwicie PRL-u, każdy w miarę ogarnięty obywatel potrafił czytać komunikaty podawane w ówczesnym „Dzienniku Telewizyjnym”. Jak było o złych „prywaciarzach” – będą podwyżki, jak trafił się felietonik o kolejkach w sklepach – nie będzie dostaw, jak o zasypanych drogach – nie będzie mleka, a gdy prowadzący zapowiadał huczne rozpoczęcie sezonu grzewczego – będzie zimno, a kaloryfery powieją chłodem. Przypominam sobie to czytanie między wierszami za każdym razem, gdy słucham obecnego premiera, bądź co bądź wykształconego historyka, pamiętającego wszakże ówczesne „Dzienniki”.

„Wszyscy zaskoczeni wzrostem polskiej gospodarki w drugim kwartale tego roku. Miało być 2,7 proc., a jest 3,2 proc. Jesteśmy lepsi od wszystkich dużych państw Unii Europejskiej, a Niemców to bijemy na głowę” – napisał premier, gdy GUS, ku zaskoczeniu ekonomistów, ogłosił prognozy wzrostu za drugi kwartał. Pogratulować! Tyle, że wciąż czekamy na szczegóły tego sukcesu, bo najpewniej stoi za nim wysoki poziom konsumpcji wewnętrznej przy szorującym po dnie eksporcie i słabym poziomie inwestycji. Jak to czytać? Cóż – macie pieniądze na zakupy, dość rosnących pensji (o ile je dostaliście). Przecież „bijemy Niemców na głowę”.

„Wydaje się coraz bardziej oczywiste, że decyzje, jeśli chodzi o stopy procentowe, chyba są nacechowane jakimś negatywnym stosunkiem pana prezesa Glapińskiego do dzisiejszej polskiej rzeczywistości” – skomentował premier Tuska, pytany przez dziennikarzy o przedłużenie mechanizmu wakacji kredytowych. I tu warto się zatrzymać, postać prezesa NBP pojawia się bowiem w wypowiedziach polityków Koalicji zawsze, gdy trzeba przygotować grunt pod gospodarcze turbulencje. Od dawna wszak wiadomo, że prof. Glapiński odpowiada za wszelkie ekonomiczne nieszczęścia, jakie w ostatnich latach dotknęły nie tylko polską, lecz i światową gospodarkę. Jak to czytać? Inflacja skoczy i was zaskoczy, ale o wakacjach zapomnijcie...

Inflacja w lipcu 2024 r. wyniosła 4,2 proc. – poinformował Główny Urząd Statystyczny. Ceny ruszyły w górę z 2,6 proc. w czerwcu do 4,2 proc. w lipcu, a ceny energii wzrosły aż o 8,7 proc.

Odnosić też należy, że oto Trybunał Konstytucyjny orzekł, iż przepisy Ustawy o Trybunale Stanu odnoszące się do procedur przed sejmową komisją odpowiedzialności konstytucyjnej stosowanych wobec prezesa NBP są niezgodne z konstytucją.

„Sprawy pana Glapińskiego – niezależnie czy dziś, czy jutro – będą rozstrzygnięte. Polska polityka i polska demokracja w przeciągu ostatnich 30 lat nie ma doświadczeń pozytywnych z efektywnym przedstawieniem komukolwiek wniosków finalnych przed Trybunałem Stanu” – skomentował wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. I jak to czytać?

Maciej Wośko

MACIEJ WOŚKO

Redaktor naczelny „Gazety Bankowej”



PODRĘCZNA BIBLIOTEKA EKONOMICZNA DLA KAŻDEGO

Skorzystaj z obszernego archiwum
wydań „Gazety Bankowej”

www.gb.pl/archiwum



Dostępne także na Appstore i Google Play

